

MAŁGORZATA J. KURSA



Osiedlowy duet w akcji!

Padniecie trupem z wrażenia!

*Malwina i Eliza na tropie*  
**WSZYSTKO  
PRZEZ  
KRASNALĄ**



Ciepła i pełna humoru  
komedia kryminalna

LIRA  
WYDAWNICTWO

MAŁGORZATA J. KURSA



*Malwina i Eliza na tropie*  
**WSZYSTKO  
PRZEZ  
KRASNALĄ**

**L i R A**  
WYDAWNICTWO

WARSZAWA 2020

© Copyright by Lira Publishing Sp. z o.o., Warszawa 2020  
© Copyright by Małgorzata J. Kursa, 2020

Redaktor inicjujący: Paweł Pokora  
Redakcja i korekta: Joanna Fortuna  
Skład: Klara Pereptyś-Pająk

Projekt okładki: Magdalena Wójcik  
Zdjęcia na okładce: © Tetiana Kulikova,  
© Eike Leppert/123rf.com, © anela47/AdobeStock.com  
Zdjęcie Małgorzaty Kursy: © archiwum prywatne  
Retusz zdjęcia okładkowego: Katarzyna Stachacz  
Redakcja techniczna: Kaja Mikoszewska

Producenci wydawniczy: Marek Jannasz, Anna Laskowska






Wydanie elektroniczne 2019

Lira Publishing Sp. z o.o.  
Wydanie pierwsze  
Warszawa 2020

ISBN: 978-83-66503-63-2 (EPUB); 978-83-66503-64-9 (MOBI)

  
L I R A  
WYDAWNICTWO

[www.wydawnictwolira.pl](http://www.wydawnictwolira.pl)

Wydawnictwa Lira szukaj też na:     

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej

 **publio**

# Spis treści

Dedykacja

Dzień pierwszy. WIELKI PONIEDZIAŁEK

Dzień drugi. WIELKI WTOREK

Dzień trzeci. WIELKA ŚRODA

Dzień czwarty. WIELKI CZWARTEK

Dzień piąty. WIELKI PIĄTEK

Dzień szósty. WIELKA SOBOTA

Dzień siódmy. WIELKANOC

Dzień ósmy. PONIEDZIAŁEK WIELKANOCNY

Od autorki

Podziękowania

*Grażynie*

## DZIEŃ PIERWSZY WIELKI PONIEDZIAŁEK

Malwina Letycja Pędziwiatr po raz kolejny przejeżdżała przez Krukielniki, usiłując opanować zniecierpliwienie, zmęczenie sześciogodzinną jazdą i chęć natychmiastowego ubicia najlepszej przyjaciółki.

Miesiąc wcześniej panie zgodnie doszły do wniosku, że pora na wnuki (najchętniej płci żeńskiej). Obie wciąż są dziarskie i pełne energii, bogate w życiowe doświadczenia. Jeśli swoją wiedzę mają przekazać następnemu pokoleniu, nie mają na co czekać. Wiadomo, że starość to stan umysłu, ale ciało swoje fochy miewa, a i przypadki chodzą po ludziach. Lepiej nie kusić losu. Zanim wnuki będą w stanie przyswoić sobie (i zapamiętać!) babcine mądrości, trochę czasu minie... Najpierw należało jednakowoż te wnuki mieć. Dlatego Malwina i Eliza uznały, że tydzień przed Wielkanocą i same święta spędzą z dala od dzieci. Niech się potomstwo spokojnie rozmnaża.

Ponieważ Malwina już wiedziała, że przed każdymi świętami ma mnóstwo zamówień i musi się z nich wywiązać (była właścicielką barku, a coraz więcej klientów zamawiało u niej jedzenie na różne okazje), sprawę zakwaterowania scedowała na Elizę. Nie przewidywała trudności. Przyjaciółki od lat spędzały wakacje w Ostrowiu Kierwińskim, z gospodarzami były zaprzyjaźnione, wystarczyło zadzwonić i zaklepać ulubiony dwuosobowy pokój. Kiedy jednak okazało się, że wszystkie kwatery są już zajęte, Eliza najpierw wpadła w popłoch (bo od razu wyobraziła sobie utyskiwania przyjaciółki i jej złośliwe docinki, że niczego nie potrafi załatwić), a potem zacisnęła zęby i, wspomagana przez synową, zaczęła szukać innego lokum. Znalazła je w Krukielnikach właśnie. Na zdjęciu załączonym do oferty widniał niewielki, ale przyjemny dla oka parterowy dom z werandą. Zza budynku wyglądała ściana lasu, przed nim rozpościerał się bujny ogród, po lewej niewielki sad. Cena dwuosobowego pokoju była do przyjęcia, właścicielka gwarantowała dostęp do kuchni, w pobliżu zaś do dyspozycji gości była karczma z regionalnymi potrawami, rzeka i jezioro. Należało jedynie wpłacić trzysta złotych zaliczki, co też Eliza uczyniła. Wydrukowała sobie zdjęcie kwatery i, uzbrojona w konkretny argument, zademonstrowała je przyjaciółce, kiedy tylko się spotkały. Zapracowana Malwina nawet nie pyskowała, że decyzja została podjęta bez jej udziału. Dom ze zdjęcia przypadł jej do gustu.

Teraz od godziny przemierzały cholerne Krukielniki w tę i z powrotem, usiłując znaleźć swoją kwaterę. W Malwinie narastał bulgot, zaś Eliza Barnaba z coraz większą paniką przesuwała wzrokiem po ogrodzeniach mijanych posesji, usiłując wypatrzeć podany w ogłoszeniu adres.

– Zatrzymaj się – poprosiła wreszcie z desperacją. – To nie metropolia, wszyscy się znają. Wsiądę i zapytam kogokolwiek, gdzie jest ten dom.

– Oby w ogóle był! – warknęła Malwina, zjeżdżając na pobocze. – Bo całkiem możliwe, że ktoś cię oszukał, wziął zaliczkę, a potem zlikwidował ogłoszenie! Uprzedzam, że nie zamierzam nocować pod gołym niebem!

Eliza zdusiła złośliwą uwagę na temat wątpliwej inteligencji GPS-u, z irytacją wyciągnęła z półeczki wydruk oferty i pośpiesznie wysiadła z samochodu, bo dojrzała kobietę robiącą wrażenie tutejszej.

– Proszę pani! Proszę pani! – Dopadła nieznajomej i podetknęła jej pod nos trzymaną w dłoni kartkę. – Zna pani ten adres? Jak tam dojechać? Bo chyba się zgubiłyśmy...

Zaczepiona czterdziestokilkulatka zerknęła na wydruk i uniosła brwi.

– Adres to ja znam, ale dom... Nazwisko pani wie?

– Gospodyni? Wiem – przytaknęła Eliza z nadzieją. – Józefina Hauke.

– Józefina? – Nieznajoma wyduła usta z powątpiewaniem. – Żadnej Józefiny... Zaraz. Pani poczeka... – Wyszarpnęła z kieszeni swetra komórkę i wcisnęła numer. – Maryśka? Czy ja dobrze kombinuję, że ta Józka Kolejarka to może mieć Józefina ze chrztu...? Ja? Nic, ale tu jakaś kobita jej szuka... Aha. No dobra... – Schowała telefon, otaksowała wzrokiem siedzącą w czerwonej mazdzie elegancką Malwinę i pochyliła się ku Elizie. – Musicie zawrócić. To na końcu wsi. Prawie za. Pojedźcie prosto i skręćcie w prawo za kapliczką. Ten dom, co go będzie widać z drogi, to wasz adres. Ale... No, ja nie wiem... – Pokręciła głową i westchnęła. – Józka Kolejarka... Jakby co, to tam niedaleko jest pensjonat dla turystów. „Olszynka” się nazywa. Michotek tam gospodarzy. W razie czego u niego pytajcie o nocleg. Może... – Spojrzała na zegarek i podskoczyła. – Cholera, spóźnię się! Muszę lecieć... Pani pamięta: za kapliczką w prawo!

Eliza powiodła za nią spojrzeniem, zerknęła na trzymaną w dłoni kartkę i poczuła, że ogarnia ją niepokój. Reakcja rozmówczyni była nieco dziwna. Może rzeczywiście to ogłoszenie to oszustwo? Ale przynajmniej adres nie jest wymyślony. I imię prawie się zgadza... Oj tam, nie ma co kombinować. Jeśli im coś nie przypadnie do gustu, znajdą inną kwaterę. Chyba cała wieś postawiła na turystów, bo większość domów wyglądała jak pensjonaty, gdzieś musi być miejsce.

Nieco pocieszona, podreptała do samochodu.

– Już wszystko wiem – oznajmiła, wsiadając i udając, że nie dostrzega nabzdyczonej miny przyjaciółki. – Nie mogłyśmy trafić, bo to prawie za wsią i nie przy głównej ulicy... Zawracaj. Musimy skręcić w prawo za kapliczką i to już będzie meta.



Malwina bez słowa sprawdziła, czy szosa jest pusta, po czym płynnie zawróciła. Jechała wolno, by nie przegapić kapliczki, bo sama myśl, że będą się plątać po tych cholernych Krukielnikach przez kolejną godzinę, doprowadzała ją do furii. Spędziła za kierownicą kilka godzin. Postój na obiad zrobiły dopiero w Giżycku i był to głupi pomysł, bo na widok cen prawie ją krew zalała. Głodna nie była, ale zmęczenie już dawało o sobie znać. Nie wymagała wiele – chciała się umyć i wyciągnąć na wygodnym łóżku. Jej kręgosłup domagał się wypoczynku.

– Tu! Malwina, jest kapliczka! – Podekscytowana Eliza stuknęła palcem w boczną szybę, wskazując umocowaną na drzewie drewnianą skrzyneczkę z malowaną figurką jakiegoś świętego. – Tu mamy skrócić!

– Słuch mi działa, a demencji też jeszcze nie mam i pamiętam, co powiedziałaś – wycedziła przez zęby przyjaciółka, ale poczuła nikłą ulgę i nadzieję. Dotarli do celu, mimo że GPS robił wszystko, by im w tym przeszkodzić. – Też mi wskazówka. Póki liści ledwo trochę, widać, że to kapliczka, ale jak przyjdzie lato... A wystarczyłaby nazwa ulicy...

Eliza ugryzła się w język i nie skomentowała. Wiedziała, że przyjaciółka musi odreagować czas spędzony za kierownicą. Przejdzie jej do jutra. Najważniejsze, że dotarli na miejsce.

Minęły kolejne drzewa rosnące po prawej stronie drogi i jednocześnie dostrzegły metalowe ogrodzenie, zza którego prześwitywały jakieś ozdobne iglaki imitujące ogród, a w głębi stał parterowy dom ze spadzistym dachem. Niby taki sam jak na zdjęciu, ale coś tu nie pasowało.

Malwina gwałtownie zahamowała i wyszła z samochodu, lustrując wzrokiem widok.

– Gdzie ten las? – zapytała z pretensją Eliza, która wyskoczyła za nią z wydrukiem i teraz porównywała zdjęcie z ogłoszenia ze stanem rzeczywistym.

– Tam chyba. – Malwina machnęła ręką w bok; kilkadziesiąt metrów na lewo widać było szaro-brązową ścianę pni przetkaną gdzieś tam ciemną zielenią sosen. – Ale żadnego jeziora tu nie widzę – dodała z urazą. – A napisali, że jest parę metrów od domu. Nagle wyszło? I ten ogród... Ja bym się przyjrzała z bliska. Coś mi tu nie pasuje...

– Podejźmy – zgodziła się przygnębiona Eliza, która właśnie stwierdziła, że jej osobiście nic tu nie pasuje.

Niepewnie zbliżyły się do ogrodzenia i przez uchyloną furtkę zajrzały na posesję. Eliza z rozgoryczeniem kontemplowała bezlistne, dość rachityczne krzewiny poutykane bez ładu i składu pomiędzy iglakami, które w niczym nie przypominały bujnego ogrodu ze zdjęcia zamieszczonego w ofercie. Przemknęło jej przez głowę, że może to wina pory roku. Wiosna dopiero się przymierzała do upiększania natury; może w rozkwicie ogród rzeczywiście wyglądał okazalej? Czasy teraz takie, że wszystko się zmienia z dnia na dzień w zależności od ludzkich kaprysów. Może i las za domem jakaś pazerna,

bezmyślna zaraza wycięła?

Malwina zastygła obok niej i wszelkie bodźce przestały do niej docierać. Poza jednym. Osłupiałe i pełne obrzydzenia spojrzenie utkwiała w jednym punkcie. Tuż za furtką, pomiędzy niskimi iglakami, tkwił brodaty, uśmiechnięty filuternie krasnal z rumianymi pyzatymi policzkami. Miał ciemnoniebieski kubraczek, w gipsowej ręce dzierzył lampę typu karbidówka, a głowę osłaniała mu nieco przekrzywiona czapka, która Malwinie skojarzyła się z wojskiem.

– Co to jest?! – wysyczała, kiedy głos jej wrócił. – Gdzie ty mnie przywiozłaś?! Nie ma mowy, żebym tu mieszkała! To jest... To jest... – zabrakło jej słów.

– Ja? – zdziwiła się Eliza, odrywając się od kontemplacji. – Przecież ja nie mam prawa jaz... – urwała, bo dostrzegła wreszcie to, co przyjaciółkę tak zbulwersowało. Doskonale znała niechęć Malwiny do ogrodowych durnostojek. Krasnale zajmowały na tej liście szczytne pierwsze miejsce. – Przestań. Jednego jakoś przeżyjesz. Wielki bardzo nie jest, z domu pewnie go nawet nie widać, a jak będziemy wychodziły, ominiemy go wzrokiem...

– Ale jest! I ja o tym wiem! – warknęła Malwina i rzuciła jej wściekłe spojrzenie. – Tu nic nie jest takie, jak na zdjęciu! Dlaczego tego nie sprawdziłaś?! Nie spędzę tygodnia pod jednym dachem z tą gipsową szkaradą!

– A jak miałam sprawdzić? – zirytowała się Eliza. – Telepatycznie? Odczep się od tego krasnala! On w ogóle nie jest pod żadnym dachem, tylko w plenerze! Nie wlezie ci do pokoju!

– Nie będę tu mieszkać! – wyrąbała twardo Malwina. – Widziałam po drodze mnóstwo normalnych domów. Nie wierzę, że nie znajdziemy innej kwatery! Zabieramy się stąd!

W tym momencie otworzyły się drzwi domostwa i stanęła w nich powitalnie uśmiechnięta gospodyni.

Józefina Hauke miała siedemdziesiąt sześć lat i w Krukielnikach mieszkała od zawsze. Funkcjonowała w pamięci tubylców jako Józka Kolejarka z prostego powodu – jej ojciec był kolejarzem, jej mążonek był kolejarzem, a ona sama przez kilkanaście lat pracowała jako dróżniczka. Nieżyjący od dziesięciu lat mąż był jedyną osobą, która nazywała ją czule Józinką, toteż wspominała go z niegasnącym sentymentem. Byli bezdzietni, mieszkali na uboczu, więc po śmierci mążonka Józefinie brakowało towarzystwa. W tej samej wsi mieszkała wprawdzie jej siostra z rodziną, jednakże rzadko się widywały, bo ta wymawiała się brakiem czasu. Prawda wyglądała inaczej – Józefina była męcząca na dłuższą metę. Lubiła mówić i – dorwawszy ofiarę – czyniła to z takim zaangażowaniem, że wszyscy unikali jej jak ognia. Czasami tylko udawało się jej do kogoś dodzwonić i wtedy mogła godzinami snuć wspomnienia z dawnych, pięknych czasów. Tyle że dziwnie często coś się działo z siecią i nagle przerywało połączenie.

Potrzebowała stacjonarnego rozmówcy. Widocznego i reagującego na jej opowieści. Dlatego postanowiła dać ogłoszenie. Nachalnie nagabywana na ten temat siostrzenica – jedyna osoba, która w miarę regularnie składała jej wizyty, bo matka ją zmuszała do robienia ciotce zakupów – szybko się zorientowała, że nadarza się okazja do przerwania gehenny i przy pomocy kilkorga przyjaciół sprokurowała zachęcający widoczek oraz tekst oferty. Nie zaświtało jej w głowie, że kogoś oszukuje. Liczyło się tylko jedno – żeby ciotka przestała gadać do niej, a zaczęła do kogokolwiek innego. Dwaj rodzinni nieboszczycy, dziadek i wuj, główni bohaterowie tych opowieści, prześladowali ją po nocach. Miała dość. Trzysta złotych zaliczki uznała za godny ekwiwalent za uszczerbek, jakiego doznała od ciotki (podała numer konta, które założyła internetowo z pomocą przyjaciółki) i popadła w euforię, kiedy pojawił się odzew na ogłoszenie. Miała duże nadzieje na święty spokój. I nadprogramową kasę.

Józefina od rana krzątała się po domu, sprawdzając, czy na pewno wszystko jest przygotowane na przybycie gości. Nerwowo poprawiała ułożone na łóżkach poduchy i poduszeczki, postawiła na komodzie swój ukochany złoty zegar (plastik powleczony złotym sprayem), nabyty ongiś od białoruskich handlarzy; gdzie się dało, poukładała zmywalne serwetki imitujące ręcznie robione; w łazience powiesiła wielkie chińskie ręczniki, na stole zaś ustawiła kryształowy wazon ze sztucznymi piwoniami, które – wedle jej mniemania – wyglądały lepiej niż prawdziwe. Wtedy dopiero założyła ulubioną żałobną sukienkę, by się godnie gościom zaprezentować. Wszak miała w dorobku dwóch szacownych nieboszczyków i nie mogła im przynieść wstydu. Siwe, ale gęste włosy zaczesła w koczek na środku głowy (przypominał postawiony na sztorc wałeczek) i ozdobiła czarną kokardą. Przejrzała się w wielkim lustrze, z zadowoleniem pokiwała głową i stanęła przy oknie, niecierpliwie wyczekując nieznanym słuchaczek (siostrzenica uprzedziła, że przyjeżdżają dwie sztuki), którym bez końca będzie mogła opowiadać o swoich ukochanych nieboszczkach. Wszystko w niej śpiewało z radości.

Józefina stała przy oknie już od godziny i przestępowała z nogi na nogę, ale nie schodziła z posterunku. Jako kulturalna gospodyni zamierzała wyjść przed dom i stosownie przywitać tak oczekiwanych gości. Zamarła z ekscytacji, kiedy dojrzała czerwony samochód zatrzymujący się przed jej posesją. Przez chwilę z uwagą obserwowała dwie kobiety, które z niego wysiadły. Jedna była wysoka, szczupła i wyglądała dość młodo. Miodowe, w nietypowym odcieniu, ładnie przycięte włosy okalały jej pociągłą twarz, a dyskretny makijaż sprawiał, że trudno było Józefinie określić jej wiek. Miała na sobie czarne legginsy, które podkreślały zgrabne nogi obute w markowe sportowe buty, i dopasowaną popielatą kurtkę zakrywającą biodra, a pod szyją zamotaną ciemnoniebieską tkaną chustę. Druga, niższa, włosy miała ciemne, a panująca na zewnątrz wilgoć zwinęła je w loczki.

Pyzata nieco twarz i duże oczy lustrujące otoczenie sugerowały osobę ciekawą świata i dobroduszną. Józefina oceniła ją na jakieś – plus, minus – pięćdziesiąt lat. Ciemnowłosa miała na sobie brązową kurtkę z kapturem, spod szyi wyglądał beż apaszki, a na stopach tkwiły brązowe pantofle. Korpulentna sylwetka nieznajomej bardziej przypadła Józefinie do gustu niż wytworna postać jej towarzyszki. Była pewna, że znajdzie w kobiecie wdzięczną słuchaczkę. Zalała ją błogość, która wywołała szeroki uśmiech na jej przywiedłej twarzy. Porzuciła punkt obserwacyjny i pośpiesznie podreptała ku drzwiom, by zaprosić przyjezdne w gościnne progi swego domu. No, nie tylko swego. I dwóch ukochanych zmarłych.

– Witam, witam! – pokrzykiwała rażno, stając w drzwiach i prezentując przybyłym w serdecznym uśmiechu możliwości tutejszego protetyka (a te były duże: obie szczęki lśniły hollywoodzką bielą). – Jak ja na was czekała, kochanieńkie! Wejździe, złociutkie, wejździe!

Wygłoszone gromkim głosem zaprosiny jakby spłoszyły obie damy, bo spojrzały na siebie bezradnie, westchnęły i potulnie ruszyły w jej kierunku. Jedna usiłowała nie patrzeć na rozpartego wśród iglaków obrzydliwego stwora, druga dojrzała wybetonowany placyk przed werandą, biały plastikowy stolik i także dwa krzeselka oraz mało urodziwy pasiasty parasol osłaniający to całe ustrojstwo, ale udało jej się powstrzymać okrzyk obrzydzenia.

Józefina, cała w skowronkach, połyskująca porażającą bielą zębów, wyciągnęła rękę na powitanie i oznajmiła gromko (była nieco przygłucha):

– Jestem Józefina Hauke, wdowa po nieboszczyku Anastazym. Był kolejarzem aż do emerytury. Mój nieboszczyk tatuś też. – I łypnęła na obie panie pytająco.

„Wdowa po nieboszczyku” sprawiła, że przyjaciółki spojrzały na siebie z popłochem, ale grzecznie uściśnęły wyciągniętą dłoń, zaś Eliza poczuła się zobligowana do zabrania głosu w imieniu obydwu:

– Malwina Pędziwiatr i Eliza Barnaba. Z Kraśnika.

– Jakie piękne imiona! – zachwyciła się szczerze Józefina i poprowadziła gości do reprezentacyjnego pokoju, w którym miały mieszkać. – Tu się zmieście, złociutkie. Wygodnie wam będzie. Siadajcie. Zaraz sobie pogadamy.

Na widok lokum Malwina i Eliza doznały wstrząsu. Natłok mebli w pokoju wywoływał klaustrofobię. Kobylasta komoda, na której stało pozłociste monstrum udające rokokowy zegar, walczyła o przestrzeń z dwiema czterodrzwiowymi szafami. Pod oknem tkwiło wiekowe drewniane łóżko pamiętające chyba czasy przedwojenne. Na łóżu zalegała wielka pierzyna obleczona w śnieżnobiałą poszwę i elegancko ułożone w stos rozmaitych gabarytów poduszki. Do ściany przeciwległej do szaf przytulała się, również już zmęczona życiem, wersalka przykryta narzutą w wersji „raz na ludowo”, bijącą po oczach jadowniczymi różami.

Na jej bokach i oparciu rozpierały się, będące w mocnym kolorystycznie dysonansie, jasieczki. Środek pokoju zajmował stół i sześć krzeseł. Nawet upiorny krasnoludek z ogrodu miałby trudności, by się w takich warunkach przemieścić.

Józefina rzuciła się ku jednej z wielkich szaf i zapraszająco uchyliła jej drzwi.

– Tu mogą się wypakować – oznajmiła życzliwie. – Na tydzień to się zmieszczą ze wszystkim. Reszta zajęta jest. Tam kolejarskie mundury wiszą. – W jej głosie dźwięczała duma. – Nieboszczyka tatusia i nieboszczyka męża. I mój też. Bo ja za dróżniczkę byłam. Bo ja z kolejarskiej rodziny... A widziały kolejarza w ogrodzie? Karbidówkę ma jak tatuś, a czapkę to po mężu mu dałam... Ha! Niby krasnal, a kolejarz prawdziwy...! Oj, jak my będziemy gadać! Ja o tej naszej kolei to wszystko wiem! Jeszcze tatusiowi nosiłam do pracy jedzenie i razem my patrzyli na pociągi. Duży ruch tu był, a teraz... – Posmutniała, ale zaraz oczy jej błysnęły. – Ha, złociutkie, a co ja się napatrzyła na wypadki różne! Jak w Starych Juchach ten pociąg z dziećmiakami z torów poleciał, to ja młoda kobita jeszcze byłam. Nieboszczyk tatuś i nieboszczyk mąż mnie opowiadali, co tam się działo. Bo oni wtedy pomaga... – Dojrzała niewyraźne miny swoich gości i popchnęła obie kobiety na krzesła. – Sięda se, bo pewnie zmordowane. Herbaty przyniosę.

Kiedy Józefina znikła z pola widzenia, przyjaciółki popatrzyły na siebie. W oczach Elizy widniał popłoch, w spojrzeniu Malwiny była furia.

– Czyś ty całkiem oszalała?! – wysyczała zniżonym głosem. – Musiałaś akurat tę babę wydłubać?! Nie wierzę, że tam było tylko jedno ogłoszenie! „Wdowa po nieboszczyku”! Mam przez tydzień wysłuchiwać historii kolei i opłakiwać nieznanym nieboszczyków?! Chciałam odpocząć, a nie odprawiać pokutę! Ten cholerny krasnal i ten zagracony dom to za wiele na mnie jedną! Przecież tu się nawet kroku nie da zrobić! Mam fruwać?! – Spojrzenie jej poleciało w kierunku okna i prawie się zachłysnęła. – Matko Boska, dwa nieboszczyki domowe, a w sąsiedztwie pewnie pół tych Krukielnik leży! Cmentarz tam jest!

– Nie denerwuj się – wyszeptwała Eliza, spoglądając bojaźliwie na drzwi, za którymi zniknęła gospodyni. – Ta kobieta, z którą wcześniej rozmawiałam, podała mi namiary na pensjonat. Ale nie wiem, jak się z tego teraz wyłgać... Chyba tej Józefinie przykrość zrobimy. Głupio jakoś... No i zaliczkę wpłaciłam. Trzysta złotych...

– Wisi mi zaliczka! – warknęła wściekle Malwina. – Nie zostanę tu ani chwili dłużej! Wiesz, gdzie ten pensjonat?

– Gdzieś blisko chyba – odparła niepewnie Eliza. – Po wyjeździe z tej drogi trzeba skręcić w prawo. To musi być gdzieś tam, bo we wsi nie widziałam. Jak pensjonat, to pewnie... Czekaj, przecież Lala nauczyła mnie smartfona! Internet nam pokaże, co robić. Aha, wiem, że właściciel nazywa się Michotek, a pensjonat „Olszynka”. Trafimy. Żeby tylko były miejsca.

– Módl się o to, bo jeśli nie będzie, to cię zabiję i pójdę siedzieć – mruknęła złowrogo Malwina i ruszyła do drzwi. – Spadamy stąd! Już! – ponagliła, kiedy przyjaciółka się zawahała. – Nawet nie próbuj się tłumaczyć. „Wdowa po nieboszczyku” popadnie w przygnębienie, a ty od razu zmięknieś! Znam cię! Potem będziesz się kajać! Teraz chodź! Szybko!

Obie pośpiesznie przemknęły przez sień i pognały przez ogródek do zbawczego samochodu. Kiedy Józefina wróciła do pokoju, dzierząc w dłoniach dwa kubki herbaty, po gościach nie było śladu, ni popiołu. Postawiła kubki na stole i podeszła do okna pewna, że obie panie poszły po swoje bagaże, ale samochód też zniknął.

Józefina westchnęła z żalem, upiła z kubka łyk herbaty, po czym wyjęła z szafy kolejarzki mundur po mężu, położyła go z czułością na wersalce i przysiadła obok.

– Widzisz, jak to się na świecie porobiło, Anastazy? – Pogładziła pieśczołtliwie mundur. – Wszyscy mają wymagania, wszyscy gdzie się śpieszą. Nikt nie ma czasu, żeby drugiego posłuchać... A to przecież tak niewiele...

– Zobacz! To chyba tu! – Eliza wskazała palcem szeroką bramę prowadzącą na sporych rozmiarów podjazd. Wisiała na niej błękitna tabliczka, na której białymi literami wypisano nazwę: PENSJONAT OLSZYŃKA.

Malwina przerwała emocjonalną tyradę na temat powodów swojej niechęci do wszystkich krasnali świata oraz sąsiedztwa cmentarzy i łypnęła wrogo we wskazanym kierunku, zatrzymując samochód. Po chwili wrogość w niej nieco skłęsała.

Na wprost wjazdu stał duży jednopiętrowy budynek zwieńczony spadzistym czerwonym dachem, z którego ku dwóm milczącym krańniczankom połyskiwały lśniąca szyby wykuszowych okien. Do drzwi wejściowych prowadził podparty dwiema kolumnami ganek. Przed domem na nieśmiało zieleniejących trawnikach nasadzono grupy bezlistnych aktualnie krzewów, zaś wzdłuż otaczającego posesję muru rosły brzozy, których delikatne gałązki kołysały się na wietrze.

Ponieważ brama była otwarta na oścież, Malwina bez wahania wjechała na posesję i zaparkowała.

– Olszynek tu żadnych nie widzę – oznajmiła, wysiadając. – To się chyba „Brzezinki” powinno nazywać.

– Olszyna jest za domem. Z tamtej strony. – Do samochodu podszedł starszy jegomość, a za nim stanęła milcząca młoda kobieta. – Tu kiedyś też rosła. Przestała, kiedy właściciele położyli kostkę na podjeździe. Dobrze zrobili, bo tu straszne błoto było po deszczach. Pewnie przy okazji podsuszyli grunt, bo wszystkie krzaki poschły. No to posadzili brzozy... Panie tu chyba pierwszy raz?

Malwina i Eliza, która również zdążyła wysiąść, jednocześnie skinęły

głowami, przyglądając się ukradkiem niedobrej parze. Mężczyzna był wysoki i chudy jak szczapa. Palto miał rozpięte, bo mimo wiatru było dość ciepło. Malwina natychmiast doceniła dobrej jakości marynarkę, zaś Eliza z niedowierzaniem wpatrywała się w wyglądającą spod garnituru jedwabną kamizelkę. Siwe, gęste włosy były nieco rozwichrzone z powodu wiatru, twarz porwana zmarszczkami, ale spojrzenie ciemnych oczu miało ostrość lasera. Stojąca nieco z tyłu kobieta głowę miała spuszczoną. Szczupła, jasnowłosa, niższa od swojego towarzysza, figurę ukrywała pod zbyt obszerną popielatą kurtką. Malwina dojrzała jednak drobne, zadbane dłonie o smukłych palcach z paznokciami muśniętymi delikatnym różem i od razu poczuła do nieznajomej sympatię. Elizę zastanowiły nerwowe ruchy tych dłoni skubiących torebkę i wbity w czubki butów wzrok młodej kobiety. Wyraźna różnica wieku pomiędzy tą dziwną parą doprowadziła ją do wniosku, że starszy pan jest zamożnym biznesmenem, zaś jasnowłose dziewczę jego wykorzystywaną pracownicą. Zrobiło jej się żal nieszczęśnicy.

– Owszem. Pierwszy raz – powiedziała z mimowolnym chłodem w głosie, bo wyzyskiwaniu podwładnych była zdecydowanie przeciwna.

Starszy mężczyzna wyprostował się gwałtownie i przepaszającym gestem położył dłoń na piersi.

– Panie mi wybaczą. Nie przedstawiłem się. Seweryn Kozięłło herbu Nowina, a to moja siostrzenica, Klara Malicka...

– Herbu? – nie wytrzymała Malwina, bo Eliza zaniemówiła.

– Junosza. – Herbowy Kozięłło nie wyczuł sarkazmu. – Od lat jestem emerytem, ale onegdaj byłem znanym architektem. Nawet komuniści docenili moje umiejętności. – Powiódł po obu kraśniczankach wzrokiem pełnym dumy. – Można rzec, że jestem stałym gościem. Przyjeżdżałem do „Olszynki” jeszcze za życia ojca obecnego właściciela. No, wtedy to jeszcze była zwykła poniemiecka willa z dobudówką dla gości. Dziś... Skromnie przyznaję, że mam w tym swój udział. To ja zasugerowałem, żeby pan Michotek zdecydował się na budowę pensjonatu w typie polskiego dworku. Prawda, że pa...

– Przepraszam, ale musimy się dowiedzieć, czy znajdzie się dla nas pokój – przerwała Malwina, którą wszelkie samozachwyty (szczególnie gdy prezentowała je płec męska) napełniały niesmakiem. – Być może będziemy musieli poszukać innej kwatery, a już popołudnie... Liza, idziemy.

Eliza nie zgłosiła sprzeciwu, bo towarzystwo herbowego szlachcica nieco ją przytłoczyło. Przeszło jej przez myśl, że może pozostali goście pensjonatu spotykają się tu od lat i tworzą zgrane, zamknięte grono, bogate i snobistyczne, co nie wróżyło najlepiej. Na Malwinie pewnie nie robi to wrażenia, ale ona czuła się lepiej w mniej ekskluzywnym środowisku. No i obawiała się poważnie, że pobyt w tym miejscu może przerastać ich możliwości finansowe.

– Klaro, za mną – wydał komendę Kozięłło herbu Nowina i potruchtał

energicznie za kraśniczankami. – Trzeba paniom pomóc w kłopotcie. Z pewnością uda mi się namówić pana Michotka, by znalazł dla nich miejsce.

Malwina i Eliza w milczeniu pokonały schody i weszły do środka. Pierwszą napędzała nadzieja, że wreszcie będzie mogła się odświeżyć i odpocząć po podróży, drugiej towarzyszyło nieprzyjemne uczucie, że właśnie popełnia straszliwe *faux pas*, bo jej strój nie jest odpowiedni do *entourage'u* – miała mgliste wrażenie, że powinna mieć na sobie długą kiecę i koniecznie kontusik obszyty futerkiem.

Malwina pierwsza weszła do przestronnego holu, rozejrzała się i od razu rzucił jej się w oczy wielki napis RECEPCJA, a obok widniała strzałka skierowana w prawo. Kobieta bez namysłu ruszyła w tę stronę i zaraz za załomem ściany dostrzegła recepcyjny kontuar, a za nim młodego człowieka, który na widok wchodzących uśmiechnął się szeroko.

– Czym mogę służyć?

– Dwuosobowym pokojem na tydzień – poinformowała go niecierpliwie Malwina.

Rudowłosy młodzian zamienił uśmiech na współczującą minę i bezradnie rozłożył ręce.

– Bardzo mi przykro, ale niestety wszystkie pokoje mamy zajęte. Zawsze mamy komplet na każde święta. Stali goście, rozumie pani...

– Nie ruszę się... – zaczęła kłótliwie Malwina, która na myśl, że czeka ją kolejna przejażdżka po okolicy, poczuła, że robi się jej ciemno przed oczami, ale jej wypowiedź przerwał przyjemny dla ucha baryton.

– Igor, jedyńka jest wolna. Ta aktorka wczoraj wieczorem zdała mi klucze, bo musiała wracać do Warszawy. Zobacz, wiszą za tobą... Tam jest jedno łóżko, ale duże, dwuosobowe. Jeśli to paniom nie przeszkadza...

– Nie przeszkadza – oznajmiła stanowczo Malwina i odwróciła się, by podziękować niespodziewanemu sojusznikowi za interwencję. – Panie...

– Tomasz Tomanek. – Uśmiechnął się czarnowłosy, opalony trzydziestokilkulatek odziany w sportowy dres. – Tutejszy *man-of-all-work*, czyli człowiek od wszystkiego. – Spojrzał wesoło na recepcjonistę. – Stompka już nie wróci przed świętami. Zwolniła pokój, bo wezwali ją do teatru. Widziałem, jak odjeżdżała. Możesz spokojnie dać paniom klucz.

– Ale tam chyba jeszcze nie sprząkali...

– Marlenka ogarnęła cały parter. Jedynekę też, widziałem... Przepraszam, ale biegałem i muszę się przemyć... – Skinął głową na pożegnanie i pośpiesznie zawrócił ku sieni.

Odprowadziło go ukradkowe spojrzenie Klary i nieprzyjazny wzrok recepcjonisty Igora.

– Proszę się pośpieszyć, panie Igorze. – W głosie herbowego szlachcica dźwięczał spiż. – Panie z pewnością są zmęczone, a jeszcze muszą dopełnić formalności meldunkowych...

Malwina, wreszcie odświeżona i pachnąca, wyszła z łazienki i machnęła



ręką ku zadumanej przyjaciółce.

– Nareszcie czuję się jak człowiek. Jeszcze chwila i zaczęłabym gryźć... Całkiem luksusowo tu mają. To jacuzzi świetnie mi zrobiło na obolały kręgosłup... Co cię tak spomnikowało? Zwolniłam łazienkę. Możesz się kąpać.

Eliza westchnęła, pokręciła głową i spojrzała markotnie na zadowoloną Malwinę.

– No właśnie. I za ten luksus każą płacić. Trzy stowy już przepadły, a kwota, której sobie ten chłoptaş zażyczył...

– Przecież zapłaciłam kartą za nasz pobyt. – Malwina wzruszyła ramionami. – Nie panikuj. Możesz mi oddawać po kawałku, a na razie zapomnij o pieniądzach. Pomyśl sobie, że ominęła nas wątpliwa przyjemność wypoczynku w towarzystwie koszmarnego krasnala, tłumy cmentarnych nieboszczyków i wykolejonej wdowy. Tu będziemy miały raj!

– I starego ramola, który pewnie przy kolacji zacznie nam recytować swój rodowód – mruknęła Eliza niechętnie. – Może moi przodkowie kiedyś zasuwali na dobrobyt jego przodków... Mam mu powiedzieć, że któraś praprababcia była arystokratką, ale się zdeklasowała, bo uciekła z guwernerem?

– A dlaczego miałybyś opowiadać takie głupoty? – zainteresowała się Malwina. – Co ci przeszkadza, że jesteś uczciwą księgową z Kraśnika? Masz kompleks prowincjuszki?

– Nie mam kompleksu prowincjuszki, tylko nigdy nie rozmawiałam z herbową szlachtą i boję się, że dam plamę! – warknęła Eliza. – Ten stary ramol miał na sobie jedwabną kamizelkę! I rodowy sygnet na palcu!

– A niech ma i gronostaje. – Malwina wzruszyła ramionami. – Jeśli okaże się sympatyczny, zapomnisz o sygnecie. A jeśli nie... Od jakiegoś czasu mamy demokrację, pomiatać tobą nie będzie. Jeśli okaże się zarozumiałym chamem, będziemy go z mieszczańską godnością lekceważyć... Idź się kąpać, bo ten ramol mówił, że o szesnastej trzydzieści podają podwieczorek. Będziemy miały okazję, żeby poznać resztę gości. Może trafi się ktoś ciekawy.

– W sensie podrywu? – zapytała Eliza, posłusznie wyciągając z torby podróźnej kosmetyki.

– W sensie rozmowy – poprawiła przyjaciółka. – Podrywy mnie nie interesują. Dobrze mi solo.

Kiedy Eliza zniknęła w łazience, Malwina jeszcze raz rozejrzała się po pokoju, w którym miały spędzić tydzień. Duże i wygodne (sprawdziły) podwójne łóżko wezgłowieм dotykało ściany, pościel była świeża i przyjemnie pachniała bergamotką. A – co najważniejsze – nie groziło im wzajemne deptanie po sobie; każda miała ze swojej strony dostęp do łóża (raz trafiły na gospodarza, który ustawił mebel wzdłuż ściany i przysięgły sobie, że nigdy więcej tej rozrywki nie zażyją). Naprzeciwko stała pojemna trzydrzwiowa szafa, w której z pewnością wygodnie pomieszczą swoje ubrania, a obok niej niewysoka komódka z szufladami, nad którą wisiało

lustro. Podłogę pokrywały imitujące dębinę panele, ładnie kontrastujące z jasnym wystrojem pokoju. Fotel był wprawdzie tylko jeden, ale za siedziska mogły służyć brzoszowe pieńki, na które rzucono poduszki.

Malwina przebrała się szybko i podeszła do dużego balkonowego okna. Odsunęła śnieżnobiałą firankę i stwierdziła, że to nie balkon, tylko taras, z którego można zejść do ogrodu.

– Chyba dobrze trafiłyśmy – mruknęła do siebie. – Nawet jeśli na żadne atrakcje nie można tu liczyć, to przynajmniej będzie gdzie spacerować. Ten ogród wygląda na duży... Właściwie jestem już gotowa. – Spojrzała na zegarek. – Zanim Liza wylezie, zdążę powiesić swoje ciuchy. Ciekawe, czy wieszaków wystarczy dla dwóch bab...

Z łazienki dobiegły odgłosy świadczące, że przyjaciółka lada moment pojawi się w pokoju, więc Malwina pośpiesznie postawiła torbę na komodzie i otworzyła szeroko podwójne drzwi szafy. Najpierw uderzył ją w nos silny zapach bergamotki, a potem popatrzyła w dół i zastygła jak kamień. Na dnie szafy spoczywało ciało nieznamym kobiecie z wytrzeszczonymi – jakby w niedowierzaniu – oczami.

Malwina zamrugnęła, ale widok nie zniknął. Nie było się co oszukiwać – trafiła im się dzika lokatorka. Bardzo martwa i bardzo niepożądana. Błyskawiczna kalkulacja nasuwała jeden wniosek: jeśli powiadomią o znalezisku personel, pojawi się policja, zabezpieczy pokój i będą musiały szukać innego lokum. Ten rudy recepcjonista wyraźnie dał im do zrozumienia, że pensjonat ma pełne obłożenie.

Na samą myśl o poszukiwaniu innej kwatery Malwinie zrobiło się ciemno przed oczami. Nie ruszy się stąd! Prędzej osobiście wystawi tę wytrzeszczoną dziewczynę na korytarz, na taras, gdziekolwiek, byle tylko nie pozbawili ich obu dachu nad głową.

Na wszelki wypadek Malwina wydłubała z torebki woreczek foliowy po kanapkach, wytrząsnęła starannie okruszki, schyliła się i dotknęła przez folię dłoni nieboszczki. Była sztywna i zimna.

– Co ci się stało? – Zaniepokojony głos Elizy przerwał jej rozmyślenia. – Dysk ci wypadł, nie daj Boże?

– Nic mi nie wypadło. – Malwina westchnęła i wyprostowała się, po czym odwróciła się ku przyjaciółce, trzymając palec na ustach. – Tylko nie wrzeszcz – uprzedziła stanowczo. – Mamy nadprogramową lokatorkę, Liza. W naszej szafie zagnieździła się jakaś obca nieboszczka.

Eliza błyskawicznie znalazła się obok, zajrzała do otwartej szafy i wbiła wzrok w ciało. Nieznajoma kobieta głowę miała opartą o boczną ściankę, nogi podkurzone. Platynowe kędziory peruki przekrzywiły się nieco, ukazując rzadkie, mysiego koloru włosy. Nieboszczka miała na sobie czarne legginsy i ramoneskę z zasuniętym do piersi suwakiem, spod którego wyglądał jedwabny golf w kolorze purpury, na nogach zaś czarne szpile na niebotycznym obcasie.

– Wygląda na młodą – oznajmiła księgowa Barnaba, której umysł od razu przestawił się na tryb śledczy, i pociągnęła nosem. – Co to za zapach? Czujesz? Taki orzeźwiający. Jakoś mi do niej nie pasuje...

– Nie pasuje ci, bo to męski zapach – wyjaśniła Malwina. – To bergamotka. Kupiłam podobny zięciowi na gwiazdkę. Za straszne pieniądze, ale uznałam, że zasłużył. Diora mu zafundowałam.

– Pewnie, że zasłużył – przyznała Eliza i dokładniej przyjrzała się zwłokom. – Mam wrażenie, że to baba, choć głowy bym za to nie dała. Te gendery są strasznie mylące... Ubrana jak baba, makijaż ma babski... No, ta peruka trochę...

– Baba – przerwała Malwina stanowczo. – I wcale nie taka młoda, jak ci się wydaje. Usta na pewno poprawiała. – Wyciągnęła palec. – Zobacz, jakie nadmuchane... Pod oczami makijaż jest mocniejszy. Pewnie żeby worów nie było widać... Na moje oko ma... miała – poprawiła się rzeczowo – ponad czterdziestkę.

– Naprawdę? – W głosie Elizy dźwięczało niedowierzanie. – A nie wygląda... Skąd wiesz takie rzeczy?

– Żona mojego szefa w Kanadzie wydawała kupę kasy na poprawianie urody. Miała siedemdziesiątkę, a dawali jej najwyżej czterdzieści lat... Słuchaj, co z nią zrobimy?

– Może wyeksmitujemy – podsunęła Eliza z nadzieją. – Tydzień z nieboszczką w jednym pokoju może być męczący zapachowo. Ta bergamotka wywietrzeje, a sprzątaczką może nie mieć kataru i będzie na nas. No i szafa jednak by nam się przydała... Malwina – dodała z naciskiem, widząc wahanie przyjaciółki – przecież mamy uprawę. Tego parszywca z twojego ogródka pozbyliśmy się bez problemu. Damy radę! Tylko powinnyśmy chyba poczekać do wieczora.

– W pierwszym momencie sama pomyślałam, że trzeba się jej pozbyć – wyznała Malwina z westchnieniem. – Ale po zastanowieniu... Liza, w Kraśniku było łatwiej, bo byliśmy na swoim terenie, a sytuację cały czas miałam pod kontrolą dzięki zięciowi. Jak ma się znajomości w policji, zawsze można się wybronić. A tu? Nie mam pojęcia, kto tu dowodzi i czy da się z nim dogadać. Może jakiś służbista? Albo gamoń, który nas uzna za zbrodniarki i wsadzi do ciupy? Znasz jakiegoś dobrego adwokata? Bo ja nie.

– Adwokata? – Elizie zrzędała mina. – Do tej pory nie potrzebowałam żadnego. Sabinę Rozbicką znam, ale ona od rozwodów... I prokuratora – przypomniała sobie.

– Prokurator oskarża – powiedziała zniecierpliwiona Malwina. – Dużo by nam pomógł... Obawiam się, że nie mamy wyjścia, Liza. Musimy tę nieboszczkę ujawnić. Nikt się do nas nie przycepi, bo ona już sztywna. Pomacałam ją – wyznała. – Musiała zginąć przed naszym przyjazdem. Poza tym nie znamy jej i nie miałyśmy powodu, żeby ją u...

– Ale możemy poszukać mordercy! – przerwała Eliza z błyskiem w oku. – Umieemy! I tak nas stąd nie wypuszczą przed zakończeniem śledztwa, bo wszyscy goście i personel są podejrzani! Będziemy miały czas!

– Akurat nas mogą spokojnie wypuścić. – Malwina westchnęła. – Nie było nas tutaj, kiedy ta nieszczęśnica została zabita. Pokój uznają za miejsce zbrodni, a my znowu będziemy musiały szukać kwatery. Upprzedzam, że do tego cholernego krasnala nie wrócę, nawet gdybym musiała spać w samochodzie!

– Jak to?! – jęknęła z oburzeniem Eliza.

– Tak to. – Ton Malwiny był cierpki. – Włącz myślenie. To rude indywiduum powiedziało wyraźnie, że pozostałe pokoje są zajęte... Czekaj! Coś mi przyszło do głowy! Obejrzyjmy ją dokładniej. Bez dotykania, oczywiście.

– Mogłybyśmy dotknąć – sprzeciwiła się Eliza. – Kto nam udowodni, że nie próbowałyśmy jej rato...

– Zatrzemy ślady – ucięła Malwina. – Bez dotykania, mówię. Może uda nam się zorientować, od czego ona zginęła.

Zanim przykucnęły, Eliza wyciągnęła z torebki smartfona i zrobiła kilka zdjęć. Potem z uwagą przeskanowały wzrokiem nieruchome ciało i spojrzały na siebie z desperacją.

– Nic nie widać. Na pewno jej nikt nie udusił, nie zastrzelił, nie dźgnął ani nie rozwalił głowy – powiedziała rozczarowana Eliza. – Otruli ją? Coś wstrzyknęli? Bez macania tego nie sprawdzimy.

– Macanie też nic nam nie da, bo nikt nam raportów składał nie będzie. I weź pod uwagę, że ona ma perukę. Może pod nią są jakieś ślady. Od czegoś w końcu nie żyje... Wiesz, Liza, obawiam się, że tym razem sobie nie poradzimy. – Malwina z troską pokręciła głową.

– Ale przynajmniej będziemy miały zajęcie – stwierdziła optymistycznie przyjaciółka. – To co? Wrzeszczymy?

– Poczekaj! Musimy się przygotować. – Malwina wygrzebała z torby Elizy pierwszą bluzkę, jaka wpadła jej w ręce i upuściła ją na podłogę przy łóżku. Z własnej torebki wyjęła puderniczkę i delikatnie ułożyła ją przy komodzie. Rozejrzała się i skinęła głową z zadowoleniem. – Teraz zapamiętaj, co mówię. Było tak: wyszłaś z łazienki, zamierzałaś się ubrać po kąpieli, ja otworzyłam szafę, żeby powiesić ciuchy i jednocześnie zobaczyłyśmy ciało.

– Nie mogę się normalnie ubrać? – zapytała spłoszona Eliza.

– A co? Goła nie jesteś. Szlafrok masz na sobie... Zrozum, musimy sprawiać wrażenie straszliwie wstrząśniętych, żeby nikomu nie przyszło do głowy nas stąd wyrzucić... Umiesz udawać, że mdlejesz?

– Nigdy w życiu nie...

– Dobra, ja się poświęcę... No, to chyba wszystko mamy dograne. Możemy wrzeszczeć. Pamiętaj, że to ma być wrzask przerażenia. Wyobraź sobie coś, czego najbardziej się boisz... Już? – Eliza skinęła głową zaróżowiona z emocji.

– Uwaga, liczę: raz, dwa, teraz!

Obie nabrały powietrza i jednocześnie wydały z siebie mrozący krew w żyłach wrzask.

Sierżant Alfred Bryzgul, komendant tutejszego posterunku, liczył sobie pięćdziesiąt lat i wyglądał jak skrzyżowanie pluszowego misia (z sumiastymi wąsami) z Mikołajem (bez brody). Miał okrągłą, poczciwą twarz, krzaczaste brwi, spod których spoglądały brązowe oczy o zwykle życzliwym wyrazie, i nos typu kartofel nabierający koloru intensywnej czerwieni, kiedy sierżant był zdenerwowany. Mieszkańcy Krukielnik stan komendanckiego nosa traktowali jako swoisty probierz nastroju i starali się dostosowywać swoje roszczenia lub tłumaczenia do jego wskazań. Tym razem nos sierżanta przybrał barwę soczystej czerwieni, albowiem jego właściciel bliski był wybuchu. Ostatnią nockę spędził na komendzie pozbawiony wsparcia, ponieważ jeden jego podkomendny warował w szpitalu przy rodzącej żonie, zaś drugi przejął dyżur dopiero rano. Nocka dała się Alfredowi we znaki akustycznie – doprowadzony na posterunek, zakłócający spokój mieszkańców tutejszy pijacek, nim wreszcie padł, przez kilka godzin katował wrażliwe uszy komendanta przeraźliwym wyciem przeboju swego ulubionego artysty. Nieszczęsny, umordowany eskalacją bełkotliwych dźwięków policjant przysiągł sobie w duchu, że każdego, kto kiedykolwiek w jego obecności odważy się odśpiewać „Przez twe oczy zielone”, wsadzi do paki na czterdzieści osiem godzin. Wychowawczo. Ale najpierw zaklei mu gębę. Profilaktycznie.

Teraz sierżant Bryzgul siedział w jadalni doskonale sobie znanego pensjonatu „Olszynka”, usiłując jakoś pozbierać myśli, a jazgot, płacze i lamenty zebranych w pomieszczeniu ludzi prawie rozrywały jego nadwerżoną cholernymi „Zielonymi oczami” głowę.

Przy jednym stoliku tkwił sześćdziesięciosześcioletni Bronisław Michotek, właściciel pensjonatu, którego oblicze na zmianę czerwieniało i bladło. Przyciskał rękę do piersi, z wysiłkiem łapał oddech i wyglądał, jakby za chwilę miał powiększyć grono nieboszczyków. Obok siedział jego wnuk Igor Michotek pełniący funkcję dziadkowej podpory i recepcjonisty w „Olszynce”. Palce obu rąk wplótł w przydługawe rude włosy i bezwiednie zamieniał estetyczną koafiurę w coś w rodzaju kołtuna. W jego niebieskich oczach czaiła się panika. Sąsiednie krzesło zajmowała szczuplutka blondyneczka w jasnozielonym fartuszk. Siedziała nieruchomo z oczami wbitymi gdzieś w przestrzeń. Marlena Zięba, na co dzień gaduła i śmieszka, jedna z dwóch pokojówek, tym razem milczała jak głaz, a na jej przeraźliwie bladej twarzy malowało się niedowierzanie i szok.

Towarzystwo przy drugim stoliku nie miało żadnych oporów w wyrażaniu swoich uczuć. Obfite kształty Kaziowej, kucharki słynącej w całej okolicy i podkupionej przez Michotka z pobliskiej karczmy regionalnej, podrygiwały w rytm wyrzucanych głośno i zawodząco

lamentów. W dziele tym wspierała ją ofiarnie kuchenna pomocnica Oliwia, zwana familiarnie Oliwką. Przy doskonale zgranych przenikliwych głosach obu pań głośne szlochy kelnerek, Roksany i Patrycji, ginęły w tle niczym zbyt słaby akompaniament.

Przy trzecim stoliku siedział Tomasz Tomanek i przytulał rzetelnie zapłakaną drugą pokojówkę Florę, której owo przytulanie najwyraźniej bardzo odpowiadało. Nie odpowiadało chyba jednak urodziwej i zadbanej Nikoli Jagodzińskiej, bo jej pełna stosownej zgrozy mina kłóciła się z jadowitymi spojrzeniami posyłanymi ku szlochającej dziewczynie. Od czasu do czasu Nikola wygłaszała nieprzyjemnym dla ucha, wysoko ustawionym głosem krótkie komunikaty, które jasno dawały do zrozumienia, że wszelkie wydarzenia wykraczające poza opłacone atrakcje uważa za skandaliczne. Nie przeszkadzało jej to w pisaniu SMS-ów do miastowych psiapsiółek, którym chwaliła się, co właśnie jej się przydarzyło. Siedzący obok, starszy o jakieś dwadzieścia lat małżonek, zamożny właściciel firmy transportowej, po każdym komunikacie wydawał z siebie dyscyplinujące połowicę niecierpliwe syczenie.

Czwarty stół zasiedlały cztery kobiety. Malwina od czasu do czasu omdlewającym gestem przykładła naprzemiennie dłoń do czoła lub do piersi i wzdychała głośno, ale spod przymrużonych powiek z uwagą obserwowała zachowanie zebranych. Eliza już dawno zapomniała o skrępowaniu z powodu swego niekompletnego stroju i zachłannie słuchała, patrzyła, rejestrowała. Dyskretnie kopana pod stołem przez przyjaciółkę, usiłowała sprawiać wrażenie istoty do głębi wstrząśniętej, ale nie bardzo jej to wychodziło.

Obok dwóch kraśniczanek siedziała czterdziestokilkuletnia kobieta, której asymetrycznie obcięte do ramion blond włosy połśniewały jaśniejszymi o ton refleksami. Miała na sobie czarne legginsy i wycięty w serek ciemnobłękitny sweterek eksponujący dorodny biust. W jej oczach błyszczała dziwna satysfakcja i jedynie łapczywie palona cienka cygaretką sugerowała zdenerwowanie. Była to Laura Kawecka, aktorka znana z epizodów serialowych i drugoplanowych ról teatralnych.

Kolejne krzesło zajmowała wysportowana pięćdziesięciokilkulatka, która nie spuszczała uważnego spojrzenia z właściciela pensjonatu. Teresa Zaborska była cenioną przez pacjentów kardiolożką. Od lat przyjeżdżała do „Olszynki”; bywała tu, kiedy pensjonat mieścił się jeszcze w niewielkiej willi, przyjaźniła się z obojgiem gospodarzy, a po śmierci żony z wdowcem. Wiedziała, że Bronisław Michotek ma kłopoty z sercem. Nie zamierzała czekać, aż stanie się nieszczęście. Sięgnęła do plecaka, z którym nigdy się nie rozstawała, w poszukiwaniu ciśnieniomierza.

Seweryn Kozięłło z nieodłączną siostrzenicą zajmował następny stół. Wytwornie odziany, siedząc sztywno, jakby połknął kij od szczotki, donośnym głosem wyjaśniał milczącej Klarze, że nie ma się czego bać,

albowiem denatka z pewnością padła ofiarą własnych chuci, bo mizdrzyła się do każdego przedstawiciela płci przeciwnej. Policja zajmie się ujęciem zbrodniarza, a panowie bezpieczeństwem pań. On, Seweryn Kozieńko herbu Nowina, którego papa służył onegdaj w kawalerii, jest gotowy, by objąć pierwszą nocną wartę.

Komendant Bryzgul był niewyspany, obolały i nie miał siły, żeby przekrzyknąć ten harmider. Rąbnął pięścią w stolik, co tak zaskoczyło wszystkich, że zapadła błogostawiona cisza, i dopiero wtedy spokojnie, ale stanowczo zażądał:

– Cicho ma być! To nie jarmark! Tam już techniczni z Giżycka pracują! Jeszcze tylko brakuje, żeby do sprawy przystali kogoś z powiatu! Będziecie mówić, jak będę pytał. I nie razem, tylko po kolei... Niech Kaziowa przestanie lamentować, bo to kobiecie i tak już nie pomoże!

Aniela Młynarzowa, od lat po mężu nazywana Kaziową, rzuciła policjantowi urażone spojrzenie, chlipnęła ostatni raz, hałaśliwie wydmuchała nos i posłusznie zamilkła. Organ powonienia komendanta był czerwony jak pomidor, wołała nie ryzykować.

– Broniu, podwiń rękaw. – Do właściciela pensjonatu podeszła z ciśnieniomierzem w dłoni Teresa Zaborska. – Widzę, że jesteś zdenerwowany. Masz przy sobie nitroglicerynę? To dobrze. Weźmiesz zaraz, ale najpierw sprawdzę ciśnienie...

Alfred Bryzgul przeniósł wzrok na starszego Michotka i poczuł ulgę na myśl, że zajmie się nim fachowiec. Broniek rzeczywiście sprawiał wrażenie, jakby w każdej chwili miał zejść z tego świata.

– Pani go dopilnuje, pani Tereniu.

– Ja bym go od razu do szpitala zawiozła, panie Fredziu – oświadczyła lekarka, z obawą patrząc na pomiar. – Na wszelki wypadek. Od lat go leczę, ale takiego ciśnienia jeszcze... W szpitalu od razu zrobią EKG... Broniu, nie siniej mi tu! Nitro pod język! Już! Panie Tomku, pan doprowadzi mój samochód pod wejście – poleciła, podając kluczyki Tomankowi. – A ty, Igor, pomożesz mi wyprowadzić dziadka... Powolutku!

Kiedy wychodzili, Kaziowa z przestachem w oczach przeżegnała się pośpiesznie i jęknęła:

– Jezusie, Maryjo! Bez te jedną bezkurcyję jeszcze Michotka krew zaleje! Puszczalskie to było, że strach!

– Bezkurcyję? Puszczalskie? – Komendant zmrzążył oczy i złośliwie zapytał: – To po co Kaziowa takie lamenty wcześniej odprawiała?

– Bo tak się każdemu nieboszczykowi należy! – parsknęła kucharka. – Żle o nich mówić to grzech!

– A kłamać to nie grzech? – Bryzgul uniósł brwi i groźnym wzrokiem potoczył po zgromadzonych. – Mnie kłamstwa nie pomogą w złapaniu zabójcy Joanny Stompki. Macie mówić prawdę, rozumiano? Fałszywe pochwały ku czci nieboszczki możecie sobie darować! Wiem, jaka była.

Przyjeżdżała tu od trzech lat!

Wzrok komendanta zatrzymał się na dwóch kompletnie nieznanym mu kobietach. Jedna sprawiała wrażenie wyniosłej i skupionej na sobie, ale druga wydawała się zagubiona i jakaś taka swojska.

– To panie znalazły denatkę? Skąd panie się tu wzięły?

Zanim Malwina zdążyła się odezwać, Eliza wbiła w sierżanta pełne respektu spojrzenie i wyjaśniła z westchnieniem:

– Nas w ogóle nie powinno tu być, bo miałyśmy zamówioną zupełnie inną kwatere, ale stwierdziłyśmy, że warunki nam nie odpowiadają i trafiłyśmy tutaj. Ktoś ze wsi nam to miejsce podpowiedział, no i cudem dostałyśmy tu pokój... Bo poprzednia lokatorka podobno zrezygnowała i dlatego był wolny...

– I nie ma mowy, żebyśmy się wyprowadziły! – wtrąciła twardo Malwina, porzucając rolę wstrząśniętej do głębi delikatnej kobietki. – Zapłaciłyśmy za cały pobyt!

Alfred Bryzgul nie zareagował na jej wypowiedź. Swoją uwagę skupił na Elizie, którą uznał za bardziej przystępną.

– Będę musiał to sprawdzić. U kogo panie miały się zatrzymać?

Zirytowana Malwina zacisnęła usta, a Eliza w zakłopotaniu zatrzepotała rękami.

– Adres mam zapisany na kartce, ale ona jest w pokoju, a tam ci policjanci pracują... Nazwiska gospodyni też nie pamiętam... O, drogę mogę opisać! Skręca się za kapliczką.

– Krasnal sterczy w ogródku – nie wytrzymała Malwina. – A obok jest cmentarz...

– A gospodyni ciągle mówiła o kolejarzach – wtrąciła szybko Eliza. – I w ogóle ciągle mówiła, więc...

– Józka Kolejarka! – powiedziały jednym głosem słuchające uważnie Kaziowa i Oliwka.

– Józefina Hauke – poprawił komendant i zapisał coś w notesie. – Sprawdź... Nazwiska pań poproszę. Jak ekipa wyjdzie z pokoju, spiszę dane z dokumentów...

– Mamy przy sobie – oznajmiła wyniosłe Malwina. – Żadna normalna kobieta nie zostawi torebki w towarzystwie nieznanym nieboszczki... Proszę. – Podeszła do stolika, przy którym siedział Bryzgul i położyła na blacie dowód osobisty. – Liza, dawaj swój. Miejmy to za sobą.

Alfred Bryzgul przyjrzał się jej podejrzliwie i zaczął notować w milczeniu.

– A w towarzystwie znajomej nieboszczki by pani zostawiła? – zachichotała nerwowo Laura Kawecka, ale od razu zakrzyczał ją Seweryn Koziełło.

– Przecież to oczywiste, że panie tu zostaną – oznajmił gromko. – Po takich wstrząsających przeżyciach... Tylko... Czy nie będą się panie bały spać w... hm... w takim pokoju?



Zanim któraś z kraśniczanek zdążyła go pouczyć, że sporo już w życiu widziały i nie należą do przesadnie strachliwych, odezwał się uspokajająco Tomasz Tomanek, który właśnie wrócił do jadalni:

– Panie Sewerynie, co to za straszenie gości? Stało się nieszczęście i trudno. Bywa. Pan komendant zajmie się śledztwem, a my dopilnujemy, żeby nikomu więcej nic się nie przydarzyło... Marlenka, Florka, dacie radę posprzątać pokój, jak ekipa wyjdzie?

Marlenka bez entuzjazmu pokiwała głową, ale Florka rozszłochała się jeszcze bardziej.

– Pan się nie martwi, panie Tomku – powiedziała Marlenka drewnianym głosem. – Poradzę sama.

– W razie czego my pomożemy – zapewniła życzliwie Eliza.

– Co pani taka wyrywna? – fuknęła z niesmakiem Nikola Jagodzińska, odrywając wzrok od najnowszej wersji smartfona. – Łaski nie robią. Płacą im za to.

W oczach Malwiny mignął złowrogi błysk, ale sytuację błyskawicznie opanował Tomasz.

– Panie komendancie, Igor pojechał z dziadkiem i panią Teresą. Mnie pan Michotek zlecił nadzór nad wszystkim do swojego powrotu. Mogę panu udostępnić jego gabinet, gdyby pan potrzebował spokojnego miejsca – zaproponował, patrząc wyczekująco na Bryzgula. – Bo rozumiem, że musi pan wszystkich przepytac na tę przykrą okoliczność?

– Dobrze pan rozumie, panie Tomanek. To prowadź pan, tylko najpierw zajrzemy do techników.

Kiedy obaj wyszli, w jadalni zapanowało pełne napięcia milczenie. Tylko Eliza i Malwina spojrzały na siebie ze zdziwieniem. Z tego, co im było wiadomo, świadków i podejrzanych policja zwykle starała się trzymać z dala od miejsca zbrodni. A Tomasz Tomanek, człowiek od wszystkiego, z pewnością zaliczał się do podejrzanych. Jak każdy z gości i personelu. Dlaczego komendant dopuszczał go do tajemnicy śledztwa? Czyżby obaj zamierzali mataczyć? A może próbowali chronić starego Michotka? Może ten źle się poczuł, bo ma nieczyste sumienie? Nie zdążył uprzątnąć trupa i mleko się wylało?

Było po dwudziestej pierwszej. Malwina i Eliza, zmęczone wrażeniami i wreszcie do syta najedzone, rozsiadły się na wielkim łóżku, opierając się o wysoko położone poduszki, z ulgą wyciągnęły nogi i przez chwilę obie delectowały się błogim uczuciem lenistwa. Nic nie musiały i ten przyjemny stan miał potrwać cały tydzień. Podczas spóźnionej kolacji – bo o podwieczorku zapomniano – Koziełło herbu Nowina zaznajomił je z tutejszym regulaminem. Śniadanie typu szwedzki stół podawano między siódmą a dziesiątą i każdy brał to, na co miał ochotę, a wybór ponoć był duży. O czternastej był obiad składający się często z potraw regionalnych,

w przyrządzaniu których kucharka Kaziowa była mistrzynią, ale można było zamówić i dania wegetariańskie, jeśli gość zastrzegł sobie taką opcję przy meldunku. Podwieczorek podawano o szesnastej trzydzieści, a kolację – również w postaci szwedzkiego stołu – o osiemnastej. Czas pomiędzy posiłkami goście mogli wykorzystywać dowolnie. Koziełto polecał przede wszystkim spacer, których był maniakiem. Zachwalał wędrówki wzdłuż płynącej za posiadłością, obrośniętej olszyną, rzeczki; obiecywał pokazać najkrótszą drogę nad pobliskie jezioro, którego część dzierżawił Michotek i które było rajem dla wędkarzy; opowiadał o rozmaitych atrakcjach organizowanych od kilku miesięcy przez Tomanka. Obie kraśniczanki słuchały z uwagą, ale doskonale wiedziały, że tej dzisiejszej atrakcji, jaką była znaleziona w szafie nieboszczka, nic nie przebije. I że każdą wolną chwilę poświęcą na rozwikłanie zagadki jej śmierci.

– Jak się nazywało to, co jadłyśmy na kolację? – zapytała Eliza, ziewając. – Jakoś tak śmiesznie. Dla mnie to wyglądało jak placki ziemniaczane przekładane smażonym boczkiem i podane z sosem. Ale nie wiem, z czego ten sos.

– Z twarogu, śmietany, cebuli, czosnku i szczypiorku – odparła rozleniwiona Malwina. – Pytałam kelnerki. Plince się nazywają po ichniemu. A ten sos to pomoćka. Właśnie się zastanawiam, czy by tego u siebie nie wprowadzić do menu, bo dobre i niedrogo wychodzi. A gdyby jeszcze zrezygnować z boczku, to moim klientom w wieku zaawansowanym wyszłoby na zdrowie... Liza, damy radę na gorąco podsumować wszystkie informacje? Czy zostawimy to na jutro i kropniemy się spać? Strasznie jestem zmęczona.

Eliza natychmiast porzuciła dywagacje kulinarne i wyprostowała się jak dźgnięta ostrogą. Sięgnęła po leżącego na nocnej szafce smartfona.

– Malwina, przestań! Oczywiście, że damy radę! Wyspać się jeszcze zdążysz, a następna okazja na śledztwo może nam się nie trafić... Dzieci mi wgrały specjalną aplikację i nauczyły robić notatki na smartfonie. Nie masz pojęcia, jakie to wygodne...

– Mam – nadeła się od razu Malwina. – Terminy sobie zapisuję. Ale nie wiedziałam, że i coś dłuższego można.

– Można... – Eliza przesunęła palcem po ekranie i wyczekująco spojrzała na przyjaciółkę. – Od czego zaczynamy?

– Od ofiary, oczywiście. – Malwina wygodniej ułożyła się na swojej połowie łóżka, splotła ręce na piersiach i zaczęła dyktować: – Ofiara: Joanna Stompka, lat czterdzieści sześć...

– Naprawdę? – Eliza przerwała pisanie, a na jej twarzy pojawiło się niedowierzanie. – Jesteś pewna? Nie wyglądała na tyle!

– Jestem. Jak wchodziłam na to gabinetowe przesłuchanie, zrobił się przeciąg i z biurka spadły jakieś papiery. Okazałam życzliwość i podniosłam, nim usiadłam. Ale refleks jeszcze mam. Zdążyłam przeczytać, że miała

czterdzieści sześć lat, mieszkała w Warszawie i była aktorką. Chyba jakąś podrzędną, bo nigdy o niej nie słyszałam – oznajmiła Malwina z satysfakcją.

– Od czego zginęła, dalej nie wiemy...

– Wiemy! Ten patolog rozmawiał na korytarzu z komendantem, jak ją wynosili. Powiedział, że zginęła od uderzenia w potylicę. I że śmierć nastąpiła między północą a drugą w nocy.

– Dlaczego ja tego nie usłyszałam? – mruknęła z niezadowolaniem Eliza, zapisując informację.

– Bo wróciła ze szpitala ta doktorka i od razu włączyły ci się samarytańskie odruchy – stwierdziła Malwina złośliwie. – Zamiast słuchać tego, co ważne dla śledztwa, użalałaś się nad nieszczęsnym Michotkiem, który został w szpitalu!

– A bo dzisiaj te szpitale... – zaczęła obronnym tonem Eliza, ale zrezygnowała i wróciła do tematu: – No to podsumujmy. Znamy wiek i nazwisko ofiary, wiemy, skąd pochodziła i że była aktorką. I jak zginęła. Mało trochę.

– Od jutra będziemy się dowiadywać dalej. Trzeba znaleźć motyw, a wtedy będziemy miały z górki – pouczyła ją przyjaciółka.

– Tyle to i ja wiem... Czekaj! – przypomniała sobie Eliza. – Jednego wroga miała na pewno. Ta Laura Kawecka, co siedziała obok nas. Obserwowałam wszystkich w tej jadalni. Ona jedna wyglądała na zadowoloną. Też aktorka. Może się pożarły o rolę?

– Może się i pożarły – zgodziła się Malwina. – Ale nie wierzę, że ona zabiła. Jest aktorką. Odegrałaby wielką scenę rozpaczki albo hysterii... Ja bym się zastanowiła nad tym Michotkiem. Starszym. Bo co go aż tak zdenerwowało, że w szpitalu wyładował?

– A ty byś się nie zdenerwowała, gdybyś przyszła do swojego barku i zastała martwego klienta? – Eliza spojrzała na nią z naganą i pokręciła głową. – Michotek nie. On rzeczywiście jest sercowy. Sama go przez chwilę podejrzewałam, dlatego rozmawiałam z tą lekarką. Ona tu od samego początku przyjeżdża. Po śmierci żony chłopina popadł w depresję i wszystkiego mu się odechciało. W dodatku jedyna córka związała z domu i ślad po niej zaginął. Dopiero niedawno dowiedział się, że ma wnuka. Ten Igor ponoć pojawił się bez zapowiedzi i na dzień dobry zameldował, kim jest. Michotek z wrażenia prawie zawału dostał.

– Nazwisko mają to samo – zauważyła nieufnie Malwina. – Jeden i drugi Michotek. Mamusia powiła na użytek własny? Wnuk się pojawił, a co z córką marnotrawną?

– Podobno zesłała w Wielkiej Brytanii. Zaćpała się. Tako rzeczce wnuk.

– I on z tej Wielkiej Brytanii przyjechał na stałe do nas? Zwariował?

– Tam trzeba pracować, żeby jeść, a mnie ten Igor wygląda na miglancę. – Eliza z niechęcią pokręciła głową. – Może wiedział od mamusi, że dziadek ma biznes i przyjechał, żeby go spadek nie ominął? Ta Zaborska chyba za nim nie

przepada.

– Za to nad starym skacze – mruknęła Malwina i westchnęła. – Dobra. Z obu Michotków rezygnujemy. Gdyby zginął dziadek, stawiałabym na wnuka, ale tak... Ta Zaborska tak ci wszystko opowiedziała? Obcej babie? A nie wygląda na bardzo gadatliwą.

– Bo ze mnie bije empatia – wyjaśniła skromnie Eliza. – A ona bardzo się przejęła stanem zdrowia starszego Michotka. Przyjaźnią się od dawna. To ona go wyciągnęła z depresji i pożyczyła kasę na rozwój interesu. Czuje się tu jak u siebie.

– A może uznała tę Stompkę za rywalkę i usunęła raz, a dobrze? – podsunęła Malwina z nadzieją. – Słyszałaś, co Kaziowa mówiła? Że nieboszczka żadnemu chłopu nie darowała. Mogła startować i do Michotka.

– A na cholerę jej był Michotek? Ona w Warszawie mieszkała. I jakąś tam karierę chyba robiła. Chyba że próbowała omotać młodszego, ale to Zaborskiej w niczym nie przeszkadzało. – Eliza westchnęła. – Czekaj, Malwina. Jak pójdziemy w hipotezy, to się pogubimy już na starcie. Spiszmy sobie wszystkich i dopiszmy nasze wrażenia. Potem będziemy eliminować.

– W porządku – zgodziła się przyjaciółka i spojrzała na nią pytająco. – To co tam już mamy? Ofiarę i dwóch Michotków, tak?

– Tak. Oraz Zaborską i Kawecką.

– Najpierw personel. Mieli najwięcej okazji i możliwości, bo znają dobrze miejsce, gości i tutejsze zwyczaje... Kaziową i tę jej pomocnicę bym wykluczyła. Nie pasują mi. I obu w nocy nie było, bo mieszkają we wsi. Dopytałam kelnerki. Roksany albo Patrycji. Ja ich nie rozróżniam, wyglądają tak samo.

– Poza domem – dopisała posłusznie Eliza i zaraz dodała: – Ale Marleny i Florki, tych pokojówek, jeszcze bym nie skreślała.

– Bo co? – zainteresowała się Malwina.

– Bo przyglądałam się wszystkim, jak wlecieli do pokoju na nasz wrzask. Na widok zwłok zareagowali normalnie. Obie kelnerki, Kaziowa i Oliwka też zaczęły wrzeszczeć. Starszy Michotek złapał się za serce, młodszy rozglądał się po pokoju, jakby myślał, że z jakiegoś kąta wyskoczy morderca, a Zaborska pchała się do ciała. To chyba taki lekarski odruch. Dobrze, że ten Tomanek ją powstrzymał. Kawecką wrzasnęła i zasłoniła sobie usta, jakby jej się zrobiło niedobrze, Kozieńko wytrzeszczył oczy i kazał Klarze natychmiast wyjść z pokoju. Jagodziński zmarszczył brwi i wzruszył ramionami, jakby go to wszystko niewiele obeszło, a ta jego dzidzia tylko się skrzywiła...

– I ty to uważasz za normalne zachowanie? – Malwina spojrzała na nią ze zgrozą.

– Normalne w tym sensie, że nie wyglądali na takich, którzy maczali w tym palce i teraz się boją – wyjaśniła rzeczowo Eliza.

Malwina zastanawiała się przez chwilę, po czym skinęła głową.

– Mierzi mnie to, ale rozumiem, o co ci chodzi. A co z Marleną i Florką? Czymś ci podpadły?

– Florka tylko zajrzała i od razu wypadła na korytarz, a potem zaczęła wyć wniebogłosy. Jakby jej kogoś z rodziny utłukli. Marlena głosu z siebie nie wydała, bo widać było, że ją całkiem замуrowało. Wyglądała, jakby nie rozumiała, co widzi... Kurczę, nie wiem, jak ci to wytłumaczyć... Jakby to, co widzi, nie miało prawa się wydarzyć? Jakby nie mieściło się jej w głowie? Albo jakby nagle coś do niej dotarło?

– Pomagałaś jej tu sprzątać – przypomniała Malwina. – Mówiła coś?

– Nie. Tylko bardzo sumiennie sprzątała. W każdym kątku, a szczególnie w szafie po nieboszczce. Jakby miała nadzieję, że trafi na coś, co policja przeoczyła i... Myślisz, że wie, kto to zrobił? – W głosie Elizy dźwięczało napięcie.

– Nawet jeśli nie – odparła Malwina po zastanowieniu – to z pewnością wie więcej niż my. Może użyjesz tej swojej empatii i spróbujesz jutro coś z niej wyciągnąć?

– Spróbuję – obiecała Eliza i wyłączyła smartfona, w którym zapisała pierwsze ustalenia podjętego przez nie śledztwa. – Mam nadzieję, że mi się uda... A teraz – ziewnęła – chyba powinnyśmy się położyć, bo rano będziemy jak zombie. Nastawiłam budzik w telefonie. Na ósmą. Wystarczy?

– Wystarczy. Szybki makijaż mam opanowany.

Józefina Hauke, zwana przez miejscowych Józką Kolejarką i powszechnie uważana za męczącą, nieco poszkodowaną na umyśle staruszkę, siedziała po ciemku w swojej kuchni i smętnie spoglądała to w okno, to na powieszony na oparciu krzesła kolejarski mundur. I wciąż mówiła. O tym, że wszyscy ją omijają, że nie ma do kogo gęby otworzyć, że kiedyś wszędzie było jakoś bliżej, a ludzie nie siedzieli całymi dniami z oczami utkwionymi w ekrany telewizorów czy komputerów, tylko ze sobą rozmawiali.

Józefina nie była przesadnie oszczędna, a dom był podłączony do sieci elektrycznej. Czasami włączała telewizor i próbowała oglądać jakiś program, ale problemy pokazywane na ekranie były jej zupełnie obce. Nie potrafiła się w nie wczuć, więc ją nudziły. No i była trochę przygłucha, więc ustawiała odbiornik na dużą głośność, a kiedy zdarzyło jej się przysnąć podczas oglądania, niespodziewany ryk reklam podrywał ją na równe nogi. Dlatego wołała siedzieć w ciemnej, oswojonej od lat kuchni i monologować do munduru po nieboszczyku mężu. I udawać, że Anastazy wciąż tu jest. Choć i tak był niedaleko, bo zaraz za domem. Po jego śmierci specjalnie kazała zrobić furtkę w swoim ogrodzeniu, żeby nie chodzić naokoło. Przechodziła po prostu pomiędzy okalającymi cmentarz drzewami i po kilku krokach stawała przy grobie ukochanego małżonka. Tatus i mamusia spoczywali nieco dalej, ale Józefina z nimi też lubiła gawędzić. Swoim zmarłym czuła się bardziej potrzebna niż żyjącym krewnym. Jeszcze tylko oni mieli dla niej pokłady cierpliwości i czas.

Józefina westchnęła boleśnie, wspominając dawne czasy, kiedy w każdą niedzielę po mszy mieszkańcy Krukielnik pozdrawiali się wzajemnie, wypytywali sąsiadów o nowiny, plotkowali, chwalili się nowymi nabytkami. I zawsze wspólnie celebrowali każde chrzciny, wszystkie wesela i pogrzeby. Jakże to się zmieniło...

Pogładziła z czułością rękaw wiszącego munduru, spojrzała odruchowo w okno i nagle zamarła. Pomiędzy cmentarnymi drzewami migotało światełko.

Przez chwilę nie mogła złapać tchu z wrażenia, bo przemknęło jej przez myśl, że to może Anastazy daje znać, że jest przy niej i słucha. Ale zaraz przypomniało się jej, że już kilka razy z rodzinnych grobów zniknęły drogie znicze i sztuczne bukiety, których kupno kosztowało ją wiele zachodu, bo za każdym razem musiała prosić zięcia siostry, by ją podwiózł do tutejszej kwiaciarni. Na myśl, że jakaś hiena cmentarna właśnie próbuje okraść kolejne groby, poderwało ją z krzesła. Z kieszeni munduru wygrzebała stary gwizdek męża, po ciemku podreptała do sieni, pośpiesznie założyła kurtkę, złapała laskę, której za żywota używali obaj rodzeni nieboszczycy i wyszła z domu zdecydowana dopaść złodzieja. Już ona go oduczyci okradania bezbronnych zmarłych. Jeśli mu nie nabije rozumu laską, to przynajmniej na dobre odstraszy. Dźwięk gwizdka był donośny, a Józefina dmuch miała mocny.

Naoliwiona furtka nie skrzypnęła, kiedy się przez nią przeciskała. Józefina przyłgnęła do pnia starej lipy, ostrożnie wyjrzała zza drzewa i stwierdziła, że złodziej musiał chyba zażyć dla kurażu procentów, bo światełko miotało się jak oszalałe. Ani chybi łajdak miał problemy z zachowaniem pionu. To i lepiej. Łatwiej będzie go nastraszyć.

Józefina przemknęła przez najbliższą alejkę i dopadła rozrośniętej tui, która rosła przy jednym z grobów. Teraz dała jej bezpieczną osłonę i czas, by przemyśleć strategię ataku. Postanowiła, że znienacka wypadnie zza krzaka i wyda z siebie przeciągłe zawodzenie, które zabalsamowany promilami złodziej z pewnością weźmie za jęk potępionej duszy. Z wysiłkiem powstrzymała pełen euforii chichot, bo dotarło do niej, że opowieść o nocnej eskapadzie wreszcie zapewni jej słuchaczy. Wystarczy telefon do siostry, która na pewno nie zatrzyma wieści dla siebie, a wszystkie miejscowe plotkarki będą pielgrzymować do źródła informacji. Czyli do Józefiny.

Uśmiechnęła się szeroko, przerzuciła przez głowę rzemyk z zawieszonym gwizdkiem, nabrała tchu i skoczyła jak kozica na główną aleję, wymachując wojowniczo laską. Nic więcej zrobić nie zdążyła, bo przy jednym z grobów dojrzała leżącą postać, co tak ją zaskoczyło, że drugiej, zasłoniętej okazałym nagrobkiem, nie dostrzegła. Zastygła jak kamień z otwartymi do krzyku ustami i uniesioną laską, usiłując zrozumieć, co widzi. Uderzenie w tył głowy przerwało jej wysiłki.

## DZIEŃ DRUGI WIELKI WTOREK

Malwina siedziała przy stoliku, smarując idealnie usmażone francuskie tosty upojnie aromatyczną konfiturą z poziomek. Obok Eliza konsumowała delikatny omlet, wcześniej dołożywszy mu do towarzystwa sporą porcję tej samej konfitury.

– Witam, drogie panie! – Seweryn Koziełło dzierżył w dłoniach talerz, na którym spoczywał kopczyk jajecznicy ze szczypiorkiem i dwa ogromne plastry okolonej tłuszczem wiejskiej szynki. Stojąca za nim siostrzenica wybrała twarożek i kilka plasterków pomidora. – Możemy się przysiąc? – Kiedy skinęły głowami (bardziej z grzeczności niż entuzjazmu), Koziełło spojrzął na Klarę i z naganą stwierdził donośnie: – Pomidora mogłaś sobie darować, moja droga. Pochodzi ze szklarni i nie ma absolutnie żadnych wartości odżywczych. O tej porze roku prawdziwe pomidory jeszcze nie owocują. To pewnie sama chemia. Nie pomoże ci schudnąć.

Nieszczęsna dziewczyna oblała się krwistym rumieńcem i jeszcze niżej zwiesiła głowę. W oczach Malwiny mignął złowrogi błysk, Eliza zaś poczuła, że nie znosi przemądrzałego ramola i zaraz mu to okaże z całym chamstwem, na jakie ją stać. Herbu nie posiada, więc nie czuje się zobowiązana do zachowania kultury.

– Jak się paniom spało w tym... hm... nieszczęśliwym pokoju? – zapytał Koziełło, grzecznie odczekawszy, aż zakłopotana Klara usiądzie.

– Dobrze – odparła chłodno Malwina, ostrzegawczo kopiąc pod stołem przyjaciółkę. Nie mogły sobie pozwolić na niegrzeczne potraktowanie rozmówcy. Mógł dysponować wiedzą, która pomoże im skierować śledztwo na właściwy tor. – Nie znałyśmy nieboszczki, więc nie miała powodu, by nas straszyć.

– Ha, ha! – huknął śmiechem starszy pan. – Co za poczucie humoru! Myśli pani, że biedna Joanna straszyła kogoś z tu obecnych? Bo znaliśmy ją wszyscy i każdemu się naraziła, ale widocznie komuś bardziej niż innym... Panie Tumanek, żadna zmora pana we śnie nie nawiedziła?

W jadalni zapadła krępująca cisza.

– Tomanek – poprawił spokojnie zaczepiony. – Dlaczego akurat mnie miałyby nawiedzać? Pracuję tu od zeszłego roku. Widziałem ją ledwie dwa razy. Na Boże Narodzenie i teraz...

– Ale już zdążyła pana omotać! – wtrąciła z przekąsem Nikola Jagodzińska, która z naburmuszoną miną popijała koktajl warzywno-owocowy. – Wszyscy widzieli, jak wisała na panu przy każdej okazji!

– Aśka wisała na każdym, kto nosi spodnie. W teatrze startowała do każdego chłopca, który mógł jej coś załatwić, a tu też nie próżnowała. – Laura Kawecka uśmiechnęła się złośliwie, patrząc na drogo, lecz bez gustu wystrojoną Nikolę. – Nie przepuściła ani Igorowi, ani pani mężowi. Pan Tomek akurat dawał czytelne sygnały, że nie jest zainteresowany.

– A ktoś dawał, że jest? – wyrwało się Elizie.

Obie kelnerki bezszelestnie stawiały na bufecie pod ścianą dzbanki z napojami, usiłując nie uronić ani słowa z rozmowy gości.

– Mój mąż na pewno nie! – wybuchnęła Jagodzińska. – Przecież to było stare pudło! Antyk!

– To mnie pewnie uważasz za wykopalisko, co? – Teresa Zaborska, która już wczesnym rankiem zdążyła złożyć wizytę w szpitalu, spojrzała kpiąco na rozwścieczoną kobietę. – Młoda jeszcze jesteś, to możesz nie wiedzieć, że antyki mają zwykle większą wartość niż najnowsze nabytki. One przetrwały lata i wciąż mają klasę, a dzisiejsza moda szybko się zmienia... Patrycj, możesz mi przynieść soku pomidorowego Kaziowej? – zwróciła się do jednej z kelnerek. – Wybieram się na spacer z kijkami. Muszę się wzmocnić, żeby się nie rozsypać. – Uśmiechnęła się.

Upokorzona Nikola cisnęła na stolik serwetkę i wybiegła z jadalni.

– Młodzi teraz myślą, że są wieczni – westchnął z ubolewaniem Seweryn Kozięłło.

– A pan w ich wieku myślał inaczej? – Lekarka wzruszyła ramionami.

– Ja? – Starszy pan posmutniał. – Ja się cieszyłem, że przeżyłem wojnę. Straciłem wielu bliskich i przyjaciół. To mnie nauczyło, że nic nie jest wieczne... No, ale nie ma co wracać do złych czasów. Wybieramy się z Klarą na spacer, żeby spalić śniadanie. Dołączą panie do nas? – Spojrzał pytająco na obie kraśniczanki. – Okolica naprawdę jest piękna.

– Ja bardzo chętnie – oświadczyła Malwina, ku zaskoczeniu przyjaciółki. – Liza nie jest miłośniczką spacerów, więc pewnie będzie wolała zostać.

– Zwariowałaś?! – wybuchnęła Eliza, kiedy znalazły się w pokoju. – Będziesz się szwendać z tym starym ramolem, kiedy mamy śledztwo na głowie?! Co ja tu sama zdrałam?!

– Przestań siać defetyzm. – Malwina uciszyła ją niecierpliwym machnięciem ręki, jakby odganiała natarczywą muchę. – Ramol, nie ramol, ale bywa tu od lat i na pewno sporo wie o tych ludziach. Pociągnę go za język. A ty w tym czasie pogadasz z personelem. Podobno tryskasz empatią. Jak ich odpowiednio podejdziesz, może im się wypsnąć więcej niż do policji... Byłabym ciekawa, gdzie się podział ten rudzielec i Jagodziński. Żadnego nie widziałam na śniadaniu... Liza, przestań mi tu fukać i zacznij



myśleć. Tydzień szybko zleci. Musimy się porządnie przyłożyć do roboty, jeśli chcemy wyjaśnić tę sprawę. To nasza pierwsza całkowicie samodzielna. Do tej pory miałyśmy wspomaganie ze strony policji... Jak wrócę, spiszę, czego się dowiedziałyśmy.

Kiedy Malwina wyszła z pokoju, obok schodów prowadzących na piętro, czekał już Seweryn Koziełto ze swoją – jak zwykle milczącą – siostrzenicą. Z aprobatą pokiwał głową, widząc, że kraśniczanka ma na sobie kurtkę z kapturem, spodnie i odpowiednie na wędrowkę buty.

– Bardzo rozsądnie – pochwalił. – Bardzo. W zeszłym roku latem pan Lucjan po raz pierwszy przywiózł ze sobą Nikolę. To jego trzecia żona. I proszę sobie wyobrazić, że musieli jeździć do Giżycka na zakupy, bo ona miała tylko szpilki!

– Widocznie liczyła na inne atrakcje – mruknęła Malwina i od razu zapytała: – On przypadkiem nie jest sporo od niej starszy? To jeden z tych, co wciąż szukają nowszego modelu? Jeśli tak, nie wróżę biedaczce długiego szczęścia.

– Są wyjątkowo niedobrani – zgodził się Koziełto. – Nikola nie grzeszy inteligencją, ale odnoszę wrażenie, że w środowisku, w jakim obraca się pan Lucjan, wystarczy odpowiednia aparycja, a tę jego żona niewątpliwie posiada.

– Niewątpliwie – przytaknęła Malwina nieuważnie, bo coś ją zastanowiło. – Panie Sewerynie, te schody prowadzą na piętro, prawda? – Wskazała palcem szerokie schody znajdujące się tuż obok pokoju, który zajmowały z Elizą. – Piętra pan Michotek nie wynajmuje? Mieszka tam z wnukiem?

– Nie. – Koziełto pokręcił głową i westchnął. – Pokoje są wykończone, ale wciąż brakuje wyposażenia. Najpierw dostawca przysłał armaturę niezgodną z zamówieniem. Trzeba było czekać na wymianę. Potem był problem, żeby znaleźć ekipę montażową. A jak się w końcu udało, okazało się, że okoliczni fachowcy od układania płytek i glazury już mają zajęte najbliższe terminy. No, pech po prostu. Pan Tomek chwilowo zajmuje jeden pokój na górze. Samodzielnie zrobił dwie łazienki... Rzeczywiście potrafi – przyznał łaskawie. – Mam nadzieję, że kolejny Nowy Rok będziemy tu już witać w większym gronie... Chodźmy, moje panie. Wyjdziemy tylnymi drzwiami, żeby nie przeszkadzać w jadalni. Przy okazji zobaczy pani ogród i willę, w której mieszka pan Bronisław z wnukiem. Igor – mówił, skręcając w lewo tuż za schodami – w zasadzie ma mieszkanie przy recepcji. I to całkiem spore, bo docelowo Michotek zamierza zatrudnić na jego miejsce kogoś z rodziną...

– Nie układa mu się z wnukiem? – zainteresowała się Malwina.

– Nie pytałem, to ich prywatne sprawy. – W głosie Koziełty pobrzmiwała nutka przygany. – Myślę, że pan Bronisław szykuje Igora na swego następcę. Przecież to jego jedyny krewny. Komu ma wszystko przekazać?

Otworzył drzwi, szarmancko przepuścił przodem obie panie i ostrzegł:

– Pani Malwino, to wyjdźcie na tylny taras. Tam są schodki, proszę uważać.

Odruchowo spojrzała pod nogi, ale zaraz jej wzrok przykuł ogród, któremu wytyczone alejki, ławki, żywopłoty i drzewa nadawały wygląd sporego parku.

– To projekt mojego znajomego – wyjaśnił z dumą Koziełło, widząc zaskoczenie Malwiny. – Dopasował nasadzenia do tutejszej roślinności. Żywopłoty to przycinane graby, a lipy, klony i dęby są gatunkami naturalnymi w mazurskich lasach.

– To prawdziwy park. Tylko olszyny zabrakło. – Malwina wyduła usta, choć pomysł jej przypadł do gustu.

– Jest – roześmiał się pan Seweryn, drepcząc główną alejką. – Rośnie nad Krukielką i dodaje rzeczce uroku. Zaraz za tym parkiem zobaczy pani przedwojenny dom, w którym pan Bronisław przyjmował pierwszych gości. Rodzina Michotków zajęła go po wojnie, bo nikt tam nie chciał mieszkać. Nie dość, że wtedy stał całkiem na uboczu – a czasy były ciągle niespokojne – to jeszcze ludzie mówili, że straszy w nim duch oficera SS, który go zajmował.

– A straszy? – zainteresowała się Malwina.

– Osobiście nigdy na niego nie trafiłem, choć przez wiele lat zajmowałem pokój, w którym ponoć partyzanci wykonali egzekucję na tym Niemcu. – Koziełło wzruszył ramionami i zmienił temat. – Po śmierci ojca pan Bronisław odkupił od gminy ten grunt aż do szosy i kawałek nad samym jeziorem. I zabrał się za budowę pensjonatu z prawdziwego zdarzenia nastawionego na dobrze sytuowanych gości.

– Aż tak się dorobił na wynajmie kilku pokojów? – Malwina uniosła brwi, spoglądając wymownie na widniejący u wylotu alei jednopiętrowy dom.

– Rodzina pomogła – wyjaśnił bez oporów pan Seweryn. – W Wielkiej Brytanii został po wojnie stryj, rodzony brat ojca. Zmarł bezpotomnie, a cały swój majątek zapisał bratankowi. Do tego doszły pieniądze od kilku udziałowców i kredyt... Czemu to panią tak interesuje? – Spojrzał na nią podejrzliwie.

– Bo usiłuję zrozumieć, co tu się właściwie stało – odparła uczciwie Malwina. – Gnębi mnie pytanie, dlaczego ciało tej biedaczki trafiło do naszego pokoju. Nie wydaje się panu dziwne, że powiedziała panu Tomankowi, że wyjeżdża, oddała klucze, a potem wróciła? Jak weszła do pokoju? Nikt jej nie widział?

– To pan Tomanek twierdzi, że wyjechała – zauważył sucho Koziełło. – Nikt poza nim nie był tego świadkiem. A wejść mogła bez problemu. Jeśli drzwi tarasowe były uchylone, mogła się wślizgnąć niezauważona.

– A co z samochodem Joanny? – Głos truchtającej w milczeniu Klary rozległ się tak nieoczekiwanie, że oboje aż stanęli. – Przecież musiała go gdzieś zostawić, a na podjeździe go nie ma...

– Klaro, jest pani genialna! – oznajmiła gromko Malwina, kiedy ocknęła

się z zaskoczenia. – Trzeba o tym powiedzieć policji!

– Już powiedziałaś – wyszemrała Klara. – Mieli szukać. Pan Tom... Tomanek pamiętał rejestrację.

– Brawo, moja droga – pochwalił łaskawie Koziełło i poklepał ją po ramieniu. – Cuda się zdarzają. Jak Pan Bóg dopuści, to i z kija wypuści... Raz przysłała ci do głowy sensowna myśl.

Klara natychmiast oblała się rumieńcem zażenowania, a Malwina wyraźnie poczuła, że ma wielką ochotę trzasnąć w szlacheckie, zadowolone z siebie oblicze swoją ordynarną plebejską ręką.

– Idziemy nad jezioro, moje panie. Proszę za mną, bo ścieżka nad rzeczką jest wąska. – Koziełło wyrwał się do przodu, nie dając Malwinie szansy na realizację przyjemnej fantazji.

Szli dalej w milczeniu, bo Klara znowu zaniemówiła, a Malwinę rozsadzała furia. Przestało do niej docierać piękno okolicy, ledwo jednym okiem rzuciła na dobrze utrzymaną poniemiecką willę. Obraza na kolejnego samca, który z sadystycznym zadowoleniem pastwił się nad nieszczęsną dziewczyną, przesłoniła jej cały świat. Jedyne, do czego w tym momencie czuła się zdolna, to wymyślanie rozmaitych wariantów ukarania starego ramola. Dopiero gdy furia nieco opadła, ułagodzona podsuwanymi przez wyobraźnię wizjami, Malwina zaczęła się zastanawiać, dlaczego dorosła kobieta pozwala się tak poniżać. Nim zdołała wymyślić jakąś sensowną teorię, komórka Klary zadźwięczała sygnałem przychodzącego SMS-a. Dziewczyna wyszarpnęła ją nerwowo z kieszeni kurtki, spojrzała na ekran i rumieniec na jej twarzy ustąpił miejsca bladości.

– Co się stało? – Seweryn Koziełło z czytelną dezaprobatą spojrział na siostrzenicę. – Czyżby moja siostra, a twoja matka doznała znowu jakichś straszliwych przypadłości na zdrowiu, które wymagają twojego natychmiastowego powrotu? – zainteresował się cierpkim tonem.

– To wiadomość od pana Tom... Tomanka – powiedziała cicho Klara. – Mamy natychmiast wracać. Do „Olszynki” przyjechał komendant Bryzgul i chce wszystkich przesłuchać.

Koziełło zeszytniał na moment, po czym bez słowa zawrócił. Za nim ruszyła zaintrygowana Malwina i milcząca Klara.

Po wyjściu przyjaciółki Eliza przez chwilę zastanawiała się, czy w ogóle uda jej się upolować jakiegoś rozmówcę. Nie miała pojęcia, jak wygląda zwykły dzień w „Olszynie”. Personel z pewnością będzie zajęty, natomiast goście... Akurat stary ramol był maniakiem spacerów, na które wyciągał swoją nieszczęsną siostrzenicę, nie pytając jej o zdanie. Ale co z resztą? Jagodziński nie wyglądał na takiego, który lubi się bratać z pospólstwem. Wczoraj przy kolacji zachowywał się jak mruk, dziś na śniadaniu w ogóle się nie pokazał... Zaborska poszła na kijki; pozostawały Kawecka i Nikola, o ile nie znalazły sobie innej rozrywki. Pierwsza sprawiała wrażenie złośliwej plotkary, drugiej mogło się wypsnąć coś ciekawego mimo woli,

bo inteligencja z niej nie tryskała.

Ku swojemu zdziwieniu w jadalni zastała zdenerwowaną pokojówkę Florkę, która wymachiwała rękami nad siedzącym przy stoliku Tomaszem Tomankiem.

– Przecież mówię panu Tomku, że nie przysła dzisiaj! – Język jej się splątał z przejęcia. – Dzwonię do niej od rana! SMS-y wysyłam, a ona nic! Wczoraj też dziwna była! Mówię panu Tomku, że coś się stało!

– Spokojnie, Florka. – Tomanek podniósł głowę znad laptopa i sięgnął po komórkę. – Zaraz zadzwonię do jej rodziców. Może się dziewczyna rozchorowała...

– Do Ziębów też dzwoniłam! Na noc nie wróciła! Wiedzą, że ona nie latawica żadna, myśleli, że tu nocuje! Panie Tomek, może ją ten bandyta porwał! Albo zaciukał jak panią Joannę...! Panie Tomek, pan jej szuka!

Tomasz Tomanek zmarszczył brwi i gwałtownie wstał. Uspokajająco poklepał roztrzęsioną pokojówkę po ramieniu i z telefonem w ręku wypadł z jadalni. Kiedy zniknął, uchyliły się drzwi do kuchni i ostrożnie wyjrzała z nich głowa Kaziowej. Kucharka pokiwała zachęcająco dłonią ku dziewczynie i ściszone głosem powiedziała:

– Chodź do kuchni, Florka. Ziółek ci zaparzę. Na spokojność... No, chodź. Ręce ci latają, jeszcze co gościom potłuczysz... Chodź.

Florka Pawłowska, której rzeczywiście coraz bliżej było do rzetelnej hysterii, pociągnęła nosem i potulnie poszła do kuchni. Odprowadził ją jadłowity wzrok Nikoli Jagodzińskiej siedzącej w kącie na małej sofie i leniwie przesuwającej palcem po ekranie drogiego smartfona.

– Widziała pani? – Kiwnęła głową w stronę kuchni i przeniosła spojrzenie na Elizę, z pogardą wydymając pełne wargi. – Co za wiocha. Nie rozumiem, co Lucjan widzi w tym pensjonacie. Przecież to jakiś koniec świata! – sapnęła ze złością. – Już obrabiają nam tyłki. Kaziowa jest lepsza niż *Pudelek*. Czego nie wie, to sobie dośpiewa. A te pokojówki... – Przewróciła oczami. – Jedna chodziła za Joanną jak wierny pies, a drugą przytapałam na grzebaniu w moich kosmetykach! I ta nuda! Lucjan ciągle gdzieś znika, a ja tu siedzę jak na pokucie! Tomek miał mnie zabrać na spacer i też sobie poszedł!

Z drugiego kąta dobiegło prychnięcie i Eliza dojrzała Laurę Kawecką układającą pasjansa.

– Czekam na wiadomość z teatru – wyjaśniła aktorka, podchwyciwszy wzrok kraśniczanki. – Dyrekcja się waha między *Żabusią* a *Ślubami panińskimi*. Wolałabym to pierwsze. Może bym się załapała na główną rolę. Aśka już wypadła z konkurencji... Boże, gdzie te czasy, gdy grałam Anielę – westchnęła i nagle zerwała się z krzesła, przyciskając ręce do piersi i patrząc przed siebie rozmarzonym wzrokiem. – „Nie wiesz, jak miło, gdy czucia pieszczące z godnym zapałem męska pierś wygłosi: to w uszach łechce, to coś w oczach parzy, to biegnie, biegnie jakby dreszcz po twarzy – zmysłowym gestem przesunęła dłońmi po policzkach – to z twarzy w serce;

to jak kropla wrząca z serca się w górę, w górę wznosi i tak tu ściśnie – dotknęła szyi – tak w gardle zadusi, że, koniec końców, westchnąć cię przymusi”.<sup>[1]</sup> – Wydała z siebie teatralne westchnienie i skrzywiła się z niechęcią. – Teraz to już chyba obsadziliby mnie jako Dobrójską... Ale na tytułową Żabusię mogłabym się jeszcze załapać – dodała z nadzieją i uniosła brwi, widząc wbite w siebie oczy Nikoli. – Co tak patrzysz? Jestem dyplomowaną aktorką. Klasykę mam w małym paluszku. Uczyłam się u mistrzów.

[1] A. Fredro, *Śluby panińskie. Zemsta*, Krajowa Agencja Wydawnicza, 1987, str. 107-108.

– Może i tak. – Jagodzińska wyduła pogardliwie pełne wargi. – Ale nikt już takich rzeczy nie ogląda. Artyści mają dostosować się do widzów, a nie odwrotnie. To my decydujemy, co chcemy oglądać, bo za to płacimy.

– I na tym właśnie polega cały dramat. – Laura usiadła i westchnęła. – Płacie. Gdyby, jak kiedyś, mecenasem kultury było państwo... A, o czym tu gadać...

– Czasami jest – odezwała się Eliza i też smętnie westchnęła. – Tylko trochę jakby... wybiórczo. Na szczęście jeszcze w necie można trafić na coś, co się da obejrzeć... Pani Lauro, nie zastanawiała się pani, kto zabił pani koleżankę?

Kawecka wyprostowała się gwałtownie i w jej oczach mignął złośliwy błysk.

– Jasne, że się zastanawiałam. Od wczoraj nic innego nie robię.

– I do jakich wniosków pani doszła? – przycisnęła Eliza.

Aktorka rzuciła ukradkowe spojrzenie na nadstawiającą uszu Nikolę, pochyliła się w stronę kraśniczanki i scenicznym szeptem, z przesadnie idealną dykcją, oznajmiła:

– To musiała być Nikola. Aśka nie miałaby nic przeciwko temu, żeby na plecach Jagodzińskiego wspiąć się trochę wyżej w teatralnej hierarchii. On ma kasę, ona miała ambicje. Znali się od kilku lat. Nie ukrywali zażyłości. Wiem, że od paru miesięcy próbowała go namówić, żeby został producentem monodramu, który sobie upatrzyła. Żeby wykupił prawa do niego i zagwarantował jej rolę. W końcu postawiłaby na swoim. Podobno w łóżku była świetna.

– Ty stara żmijo! – wrzasnęła Nikola, podrywając się z krzesła. – Sama byś ją chętnie zabiła! Myślisz, że nie słyszałam, jak się kłóciłyście?! Kasę ci wisiała! Ja mam alibi, bo byłam wtedy z Lucjanem! Ciekawe, jak ty się wytłumaczysz policji, kiedy im o wszystkim powiem!

– Mąż jako alibi? – Laura uśmiechnęła się kpiąco. – Słabe, moja droga. Policja może uznać, że wzajemnie się kryjecie. On też mógłby mieć powód, żeby Aśkę zabić. Może była zbyt nachalna? Może dowiedziała się czegoś o jego interesach? Tych nieoficjalnych, rzecz jasna... Na mnie możesz

kablować. Pożyczyłam Aśce na kwity pięć tysięcy. Nie zabija się dłużnika, dopóki ten nie zwróci kasy. Jestem stratna. Nie kwalifikuję się do roli zabójcy.

Zanim rozwścieczona Nikola zdołała odeprzeć atak, do jadalni wszedł człowiek od wszystkiego, czyli Tomasz Tomanek. Minę miał ponurą.

– Nikola, skontaktuj się z mężem i powiedz, żeby natychmiast wracał. Wie ktoś, gdzie jest...? – Przerwało mu wejście rudowłosego recepcjonisty. – Gdzie byłeś?

– A co? Muszę się tłumaczyć? – burknął nieprzyjaźnie Igor i wzruszył ramionami. – W szpitalu u dziadka. Zawiozłem mu książki i prasę. Już od rana mi... Znaczą, rano dzwonił. Nawet śniadania nie zdążyłem zjeść. Powiedz Kaziowej, żeby mi coś naszykowała. Wszystko jedno co, byle dużo.

– Powiem. Ale jedz szybko, bo zaraz tu będzie komendant... Nie ruszajcie się stąd – poleciał Tomanek i zniknął w kuchni, skąd po chwili dobiegł jazgotliwy głos Kaziowej.

Eliza przeprowadziła w myślach błyskawiczną kalkulację i policzyła obecnych. Brakowało Jagodzińskiego, do którego właśnie dzwoniła wyraźnie przestraszona Nikola, starego ramola, Malwiny i Klary, którzy byli na spacerze, zalegającego w szpitalu Michotka i Marlenki. Oraz... Kurka flaczek, jak mawiał jej ulubiony przedstawiciel policji sierżant Tadzio Skotnicki, brakowało jeszcze kogoś! Teresa Zaborska samotnie spacerowała z kijkami. Czyżby coś jej się stało? I co z Marleną, która zniknęła bez śladu? Co się dzieje w tej „Olszyncy”? Trafiły do „Czerwonej Oberży”, czy co?

Nim zdążyła się podzielić swoimi obawami z resztą towarzystwa, w drzwiach stanęła Teresa Zaborska i przesunęła wzrokiem po obecnych.

– Co się dzieje? Pan Tomek mówi, że komendant chce z nami rozmawiać. Coś się stało? Złapali zabójcę Joanny?

– Tyle wiemy, co i pani – burknął niegrzecznie Igor i zaatakował talerz z jajecznicą, który postawiła przed nim Patrycja.

– Gdzie reszta? – Zaborska nie zwróciła na niego uwagi.

– Lucjan zaraz będzie – oświadczyła krótko Nikola i ponownie wróciła do zabawy smartfonem, odcinając się od towarzystwa.

– Zniknęła ta mała, co tak snuła się za Aśką – mruknęła Laura Kawecka z dziwną nutą w głosie.

– Ziębówna? – Teresa Zaborska uniosła brwi i w jej oczach mignął błysk niepokoju. Usiadła obok milczącej Elizy i westchnęła. – Tyle razy jej mówiłam, żeby poszukała sobie innej idolki. Dobre dziecko, ale strasznie naiwne. Mam nadzieję, że nie napytała sobie jakiejś biedy.

– Może przynajmniej Florka się ocknie i przestanie roić, że zostanie wielką aktorką – nie wytrzymała Nikola. – Słyszałam, jak się chwaliła, że Joanna pomoże jej przygotować się do egzaminów. – Wydała z siebie pogardliwe prychnięcie.

– Joanna to w zasadzie już nikomu nie może pomóc. Ani zaszkodzić –

stwierdziła złośliwie Laura i dodała, patrząc wyzywająco na Jagodzińską: – Ale ja chętnie z Florką popracuję. O ile ma talent, oczywiście.

Nikola przewróciła oczami, ale zmilczała.

Po chwili w drzwiach stanęły Malwina i Klara, a za nimi Kozięłło. Elizie ulżyło, kiedy zobaczyła przyjaciółkę całą i zdrową. Przeniosta spojrzenie na pozostałą dwójkę. We wzroku herbowego szlachcica była czujność, w oczach Klary strach, który zniknął dopiero wtedy, gdy w jadalni pojawił się Tomasz Tomanek. Zastanowiło ją to. Czyżby ta milcząca, potulna dziewczyna miała coś na sumieniu?

Kiedy do środka wszedł wyraźnie niezadowolony Lucjan Jagodziński i usiadł obok małżonki, o nic nie pytając, w jadalni zapanowała pełna napięcia cisza. Przerwało ją dopiero pojawienie się Alfreda Bryzgula. Nos komendanta wyglądał, jakby za chwilę miała z niego trysnąć krew, a jego oczy ciskały gromy. Zniknął gdzieś poczciwy Mikołaj. Alfred Bryzgul wyglądał jak rozwścieczony Kazimierz Pawlak z *Samych swoich*.

– Panie Tomanek, wezwij pan Kaziową i resztę obsługi – warknął przez zaciśnięte zęby. – Wszyscy mają być!

Tomasz nie zdążył się nawet podnieść z krzesła, kiedy do jadalni węgłowała dostojnie kucharka (podsłuchiwała pod drzwiami), a za nią – jak spłoszone stadko kurcząt – Oliwka, Patrycja, Roksana i Florka. Oczy Kaziowej płonęły ciekawością. Przycupnęła ze swoją czeredką przy stoliku i zawiesiła wzrok na komendancie.

– Na naszym cmentarzu znaleziono ciała starej Józefiny i małej Ziębówny – powiedział Alfred Bryzgul, z trudem panując nad głosem. – Obie zginęły w taki sam sposób jak Joanna Stompka. Jak dla mnie, możecie się wszyscy wybić. Ale swojaków nie daruję. Od teraz nikomu nie wolno opuszczać Krukielnik bez mojej wiedzy. Zrozumiano?

Przez chwilę panowała pełna konsternacji cisza, a potem rozległo się jęklliwe zawołanie Kaziowej i wtórujący mu histeryczny szloch Florke Pawłowskiej.

– Cicho, baby! – huknął komendant. – Z lamentami poczekajcie na pogrzeby! Zbierzcie się do kupy! Trzeba złapać tego antychrysta, zanim znowu kogo zabije! – Kiedy obie płaczki ucichły, przeleciał wzrokiem po zebranych. – Gdzie wczoraj był Tomanek, wiem. Interesuje mnie reszta. Co robiłeś wczoraj między je... dwudziestą trzecią a pierwszą, młody? – Spojrzał na Igora, który wyraźnie się spłoszył.

– Ja? A co miałem robić? O pierwszej to na pewno spałem, bo rano miałem jechać do szpitala. W domu dziadka, bo chciał, żebym mu dzisiaj parę rzeczy podrzucił. To żeby dwa razy nie latać, spałem u...

– A wcześniej? – Komendant nie odrywał od niego wzroku.

Igor podrapał się po rudej czuprynie i wyjaśnił niepewnie:

– No... Gadaliśmy z panem Lucjanem o... Bo planujemy z dziadkiem rozszerzyć działalność – zagadał pośpiesznie. – Pan Jagodziński działa

w transporcie. To chciałem się dowiedzieć, czy opłaciłby się wynajem busów wycieczkowych dla gości. Nie żeby od pana Lucjana akurat, ale chciałem wiedzieć, jak to wygląda cenowo... Chyba do północy gadaliśmy. On poszedł potem do pokoju, a ja do domu dziadka. I tyle.

Tylko Eliza dojrzała nieprzyjazny błysk w oczach Jagodzińskiego, kiedy słuchał nieskładnych wyjaśnień chłopaka.

– Czyli nie masz alibi – stwierdził bezlitośnie komendant.

– No jak nie mam, jak mam! – zaprotestował chłopak. – Przecież mówię, że razem by...

– Po północy byłeś sam – przerwał Bryzgul z paskudnym uśmiechem. – Dom jest pod lasem. Nikt by cię nie zobaczył. Mogłeś przelecieć na cmentarz i...

– Nic nie zrobiłem! – rozdarł się zdesperowany Igor. – Po co miałbym zabijać Marlenę?! A tej drugiej w ogóle nie znam!

– Panie Jagodziński, potwierdza pan zeznanie Igora? – Komendant zlekceważył protest chłopaka i przeniósł wzrok na warszawskiego biznesmena.

– Potwierdzam – oświadczył z widoczną niechęcią zapytany. – Z recepcji wróciłem do pokoju i już nie wychodziłem. Żona świadkiem.

Nikola skwapliwie pokiwała głową.

– Ja nie mam, niestety, alibi – odezwał się spokojnie Seweryn Kozięłło. – Byłem u siebie i czytałem książkę. Ale mogę zapewnić alibi mojej siostrzenicy. Mamy pokoje obok siebie połączone wewnętrznymi drzwiami. Na wypadek, gdybym źle się poczuł. W końcu mam dziewięćdziesiąt trzy lata – dodał wyjaśniająco. – Czytałem do drugiej, bo nie potrzebuję wiele snu, a książka była ciekawa. Przez cały czas słyszałem za drzwiami Klary stukanie na klawiaturze. Pisała na laptopie. Położyła się chyba później niż ja.

– Też nie mam alibi – westchnęła z przygnębieniem Teresa Zaborska. – Biedna dziewczyna... Byłam sama w pokoju. Martwiłam się o Bronka, więc jeszcze dzwoniłam do szpitala, a potem długo nie mogłam zasnąć. Nie wiem, która była godzina, kiedy mi się wreszcie udało.

– Obie byłyśmy w pokoju. – Eliza wbiła życzliwe spojrzenie w komendanta. – Wiem, że to żadne alibi, bo dajemy je sobie wzajemnie, a możemy być w zмовie... Byłyśmy okropnie zmęczone podróżą i wczorajszymi wrażeniami. Pogadałyśmy chwilę i padłyśmy. Nie wyszłybyśmy nigdzie po ciemku, bo nie znamy terenu i bałybyśmy się, że się zgubimy... Ale... Panie komendancie, co ta biedna Józefina robiła na cmentarzu w środku nocy? Sumienie mnie gryzie. Gdybyśmy u niej zostały, może by żyła... Po co ona tam poszła... – Oczy jej błysnęły. – Była strasznie gadatliwa. Może była też wścibska? Cmentarz miała za oknem. Może coś zobaczyła i poszła sprawdzić?

– Mogło tak być. – Alfred Bryzgul westchnął. – Skarżyła się kiedyś, że giną znicze... Nie, pań akurat nie podejrzewam. Obydwa ciała spryskano takim



samym zapachem jak zwłoki Stompki...

– Bergamotką! – krzyknęły jednym głosem Malwina i Eliza.

– ...Dlatego myślę, że to robota jednego drania – ciągnął komendant – a ta... bergamotka to...

– Znak rozpoznawczy! Kiler! Seryjny zabójca! – oznajmił tryumfalnie Igor. – Morduje kobiety! To nie może być nikt z nas!

– Na razie to ja prowadzę śledztwo – przywołał go do porządku Bryzgul i spojrzał na stolik, przy którym siedziała Kaziowa ze swoim stadkiem. – Wszystkie nocowałyście poza pensjonatem? Tylko krótko: tak albo nie.

Przestraszone pokiwały głowami.

– Florka, ty byłaś blisko z Ziębówną. – Komendant wytknął palec w kierunku struchlałej pokojówki. – Nic ci się nie rzuciło w oczy? Może coś mówiła? Bała się czegoś? Kogoś? Domyślasz się, po co łąziła na ten cmentarz?

– Ja nic nie wiem! – rozbeczała się Florka. – Jak pani Joanna obiecała, że mnie poduczy do egzaminów na aktorkę, to Marlena prawie przestała ze mną gadać! Tylko przez cały czas za nią łąziła! A tego dnia, co to niby pani Joanna wyjechała, wcześniej dzwoniła do Marleny i ona tylko potakiwała: Tak, pani Joanno. Nie ma sprawy, pani Joa...

– To czemu tego nie powiedziałaś na przesłuchaniu?! – Komendant zgrzytnął zębami, a jego nos – choć wydawało się to niemożliwe – poczerwieniał jeszcze bardziej.

– Że gadały? – Przestraszona Florka pociągnęła nosem i wzruszyła ramionami. – A co mnie do tego? Sama mogła powiedzieć... Donosić miałam? – obraziła się. – Przecież Marlena jej nic nie zrobiła!

Bryzgul sapnął ze złością, ale odpuścił. Przesunął wzrokiem po zebranych i prawie spokojnie zapytał:

– Ktoś jeszcze ma do powiedzenia coś, o czym wcześniej zapomniał? – Kiedy nikt się nie odezwał, sięgnął do swojej teczki, wyjął jakiś papier i podsunął go Tomankowi. – Panie Tomanek, trafił pan na takie coś w „Olszynie”?

Tomasz Tomanek, nieco zaskoczony, posłusznie zerknął na fragment policyjnego raportu. A po zerknięciu, usztywnił się jakby.

– Owszem – przyznał ponuro. – Mamy stałego dostawcę. Małą okoliczną firmę. Z tego, co wiem, pan Bronisław wybrał dla pensjonatu linię kosmetyków o zapachu bergamotki. Są we wszystkich łazienkach, a i personel z nich korzysta. Część gości preferuje oczywiście własne kosmetyki, ale zawsze wykładamy nasze. Mają nawet emblemat „Olszynki” – gałązkę olchy... Rozumiem, że potrzebuje pan do porównania składu, tak? Zaraz przyniosę. – Wstał bez zwykłej energii.

– Wypiszę panu kwit, żeby wam się rachunki zgodziły – obiecał komendant i spojrzał na stolik, przy którym siedziała Kaziowa ze swoim stadkiem. – A teraz gadać mi tu, jak na spowiedzi: żadna nie wyniosła swojego przydziału do domu? To nie przestępstwo – załagodził od razu,

widząc strach dziewcząt. – Ale muszę wiedzieć, czy od was nie powędrowało coś dalej.

– Ja ino mydło tu zostawiłam – wyznała kucharka bez oporów. – W kuchni nie mam czasu na te ichnie psikadła. W domu mam dezodorant, płyn do kąpeli, kostkę do ki... znaczy: do ubikacji, żeby nie śmierdziało, szampon i pastę do zębów. A, i taki psikacz, żeby pachniało... Dziewuchy pewnie też, bo one tu czasu nie mają na...

– W szafkach mamy dezodoranty – przerwała Roksana. – Resztę też zabieramy do domu, bo w łazience dla personelu jest, co trzeba. Możemy wziąć prysznic przed wyjściem, jak która chce.

– I nikomu nic nie dajemy – wtrąciła Florka – bo pan Michotek mówił, że w sklepach takich nie ma. Że to tylko dla „Olszynki” robią.

– Wniosek z tego taki – stwierdziła uważnie słuchająca Eliza – że ten wredny bergamotek to ktoś z nas!

– Znaleźliście samochód pierwszej nieboszczki? – zapytała Malwina w nagle zapadłej ciszy, zawieszając spojrzenie na komendancie.

Nieco ustabilizowany kolorystycznie nos Alfreda Bryzgula znowu przybrał barwy wojenne, ale nim komendant zdążył pouczyć irytujące kraśniczanki, kto tu prowadzi śledztwo, do jadalni wrócił Tomasz Tomanek, niosąc płócienną torbę z logo „Olszynki”.

– Na wszelki wypadek włożyłem tu po jednej sztuce wszystkiego, co mamy – powiedział, podając ją komendantowi. – Chodźmy do gabinetu szefa. Wypisze mi pan od razu ten papier, żeby nie było kłopotu. – Zerknął na zegar wiszący na ścianie i przeniósł wzrok na kucharkę. – Zdąży pani z obiadem, pani Kaziowa?

– A co mam nie zdążyć? – westchnęła i ciężko podniosła się z krzesła. – Chodź, Oliwka. Zupę trza doprawić i za drugie się brać...

Bryzgul, idąc za Tomankiem, obejrzał się jeszcze na siedzących w ponurym milczeniu gości.

– Wycieczki na miejscu możecie sobie robić, ale w grupach, nie pojedynczo. Bez mojego zezwolenia nie wolno nigdzie wyjeżdżać. Po nocy nigdzie się nie plątać, żeby was krzywda nie spotkała. Na wszelki wypadek ktoś od nas będzie miał oko na dom.

– Może na wszelki wypadek sami powinniśmy się jakoś zorganizować? – podsunął Seweryn Koziętko po wyjściu komendanta.

– I ułatwić zabójcy kolejną eliminację? – Laura Kawecka uniosła brwi. – Słyszał pan sam: pani twierdzi, że to ktoś z nas. Nie mam ochoty na towarzystwo kogoś, kto może mnie zabić. Wolę się zamknąć w pokoju.

– Nie ja twierdzę, tylko z faktów to wynika – poprawiła Eliza. – Z tego, co mówił komendant, wywnioskowałam, że ślad prowadzi do pensjonatu. Pan Tomanek powinien sprawdzić, czy mu się zgadza stan posiadania tych bergamotowych kosmetyków.

Malwina otworzyła usta, ale w porę ugryzła się w język. Nie zamierzała

dzielić się swoimi domysłami z ludźmi, wśród których mógł znajdować się zabójca.

– To nie może być nikt z nas! – zaprotestował Igor Michotek. – To jakiś seryjny kiler! Morduje tylko kobiety! Psychopata! Rzuciłby się taki w oczy, nie?

– Nie – odparła spokojnie Teresa Zaborska. – Nie jestem psychiatrą, ale z tego, co wiem, większość psychopatów potrafi doskonale wtopić się w każdą społeczność. Przyjeżdżam tu od lat i zawsze było spo...

– A może to robota konkurencji? – przerwał jej Igor. – Coś tu śmierdzi. Najpierw nawalili z tymi armaturami, a teraz nie można znaleźć ekipy do montażu. Piętro już od zeszłego roku powinno na siebie zarabiać!

– Ja bym chciała wiedzieć co innego. – Zamyślona lekarka zlekceważyła emocjonalną wypowiedź młodego Michotka. – Chciałabym wiedzieć, dlaczego Joanna wyjechała tak nagle i w jaki sposób znalazła się w pokoju.

– Odpowiedź na to pytanie jest chyba kluczowa dla śledztwa – przyznał Koziełło, kiwając z uznaniem głową i nieoczekiwanie zwrócił się do milczącego Jagodzińskiego: – A pan się nie boi, panie Lucjanie? O swoje interesy? Nie wiadomo, jak długo będą nas tu przetrzymywać, a...

– Czego mam się bać? – warknął biznesmen, rzucając mu ostre spojrzenie. – Od czego są telefony? Trzymam wszystko pod kontrolą. A jak będzie trzeba, uruchomię prawnika. Za coś mu w końcu płacę.

Do jadalni zajrzały kelnerki i zaczęły porządkować stoliki. Malwina i Eliza skorzystały z okazji. Wymknęły się do pokoju, by się przebrać i omówić postępy w swoim własnym, prywatnym śledztwie.

– Nie masz wrażenia, że tu się dzieje coś dziwnego? – zapytała Malwina, wyciągając z niedawno zajmowanej przez nieboszczkę szafy sukienkę, którą zamierzała założyć.

– Które „coś” masz na myśli? – zainteresowała się ostrożnie Eliza. – Tu się dzieje głównie dziwne. Jesteśmy tu od wczoraj, a już zaliczyliśmy trzy damskie truchła. I tylko pierwsze było nam kompletnie obce.

– Dwa pozostałe w zasadzie też – stwierdziła przyjaciółka, po namyśle odkładając wytworny ubiór i sięgając po mniej efektowny, ale też dobrej marki. – O Józefinie mogę powiedzieć tylko, że była oszustką internetową i straszną gadułą. O pokojówce wiem jeszcze mniej... Mam na myśli śledztwo komendanta. Jakoś dziwnie je prowadzi. W ogóle nie zapytał Jagodzińskiego, gdzie się podziewał od rana, za to wyżył się na młodym Michotku. To po pierwsze. – Odwróciła się ku Elizie i zmarszczyła brwi. – Podtyka urzędowy dokument, czyli policyjny raport osobie postronnej. A teoretycznie Tomanek też się zalicza do podejrzanych. To po drugie. A po trzecie: jakoś nie zauważyłam, żeby się przyłożył do poszukiwań samochodu pierwszej nieboszczki... I po czwarte! – przypomniała sobie. – Nie miałam możliwości, żeby podsłuchiwać, kiedy wczoraj przesłuchiwał innych w Michotkowym gabinecie, ale mam wrażenie, że jakieś wybrakowane te przesłuchania były.

Nas spławił błyskawicznie.

– Bo od początku starałyśmy się robić wrażenie wystraszonych idiotek. No i uznał, że nie mogłyśmy zamordować tej aktorki. – Eliza wzięła komendanta w obronę. – Czekaj, bo się pogubię. Za dużo naraz do mnie powiedziałaś... Najpierw truchła. Tu się z tobą nie zgodzę. Józefina nie wyglądała mi na internetową oszustkę. I nawet nie jestem pewna, czy w ogóle miała komórkę, bo widziałam w tym kłębowisku kłopotów telefon stacjonarny. A pokojówka... Sama słyszałaś, że leciała na każde skinienie Stompki. Może to ona ułatwiła nieboszczce powrót do pokoju? Może wiedziała, po co Joanna tu wróciła? Kiedy sprzątałyśmy po policji, zachowywała się, jakby spodziewała się coś znaleźć. Najpierw pomyślałam, że taka dokładna, a potem, że...

– Zaraz! – przerwała jej Malwina. – Myślisz, że chciała znaleźć coś, czym mogłaby szantażować zabójcę?

– Nie wiem, co chciała znaleźć, ale sprawiała wrażenie, że wie, czego szuka. Gdyby nie to, że zginęła, podejrzewałabym, że sama maczała palce w zabójstwie. – Eliza zamachała rękami. – Poczekaj. Najpierw ja. Bo zgubię wątek... Z tym śledztwem komendanta rzeczywiście masz rację. Niby wyglądał na wściekłego, a pytał tak, jakby nic go nie obchodziło, albo jakby... wszystko wiedział? – dokończyła niepewnie.

Malwina prawie podskoczyła. Oczy jej błysnęły.

– To jest to, co mnie od wczoraj uwierało! Nie wierzę, że go nie obchodzi – stwierdziła stanowczo. – Musi go obchodzić, bo jak nie znajdzie zabójcy, to będzie miał na karku powiat!

– A może już ma? – podsunęła przyjaciółka. – Może zaczęli wcześniej, bo na coś wpadli, a pierwsza nieboszczka była ich informatorką?

Malwina zdjęła ciepły golf, który miała na sobie wcześniej, zarzuciła przez głowę sukienkę i już zamierzała pozbyć się spodni, ale zastygła w pół gestu.

– Co?! – zaktywizowała się natychmiast Eliza, ściskając w dłoni sznur granatów, które postanowiła założyć, by pokazać cholernemu ramolowi herbu Nowina, że też posiada rodowe klejnoty (granaty należały ongiś do prababki, która była pokojówką we dworze i, wedle rodzinnej legendy, były zapłatą za przymknięcie oczu na konkiety pani pod nieobecność pana; Eliza skłaniała się raczej ku opcji, że to prezent od pana za usługi erotyczne). – No, mów szybko!

Malwina zdjęła spodnie i obrzuciła ją ponurym spojrzeniem.

– Musimy cholernie uważać, jeśli chcemy same wykryć tego bergamotka. Właśnie przyszło mi do głowy, że to wszystko jest pozorowane. Komendant udaje, że prowadzi śledztwo, bo tak naprawdę nie ma nic do gadania. I nie wiem, czy to dobrze, czy przeciwnie. Bo może jest tak, że jakiś inny kawałek policji w tym grzebie, a może... – urwała złowieszczo.

– ...sprzedał się bandziorem – dokończyła przyjaciółka pełnym zgrozy szeptem. – Nie jestem pewna, czy ten krasnal nie był mniej szkodliwy...

– Był! – Malwina aż się wstrząsnęła. – Oświadczam ci, że wolę mieszkać pod jednym dachem z zabójcą niż z krasnałem-kolejarzem! – Spojrzała groźnie na Elizę i od razu ją poderwało. – Co ty na siebie założyłaś?! Zostaw tę kieckę na Wielkanoc! Będzie idealna. Biżuterię też! Nie idziesz na proszony obiad u Potockich, tylko na normalny, za który w dodatku zapłaciłaś! Załóż tę kopertową spódnicę i bluzkę!

– Jeszcze nie zapłaciłam – burknęła urażona Eliza, ale posłusznie zaczęła się przebierać.

Obiad, choć smaczny, upłynął w dość ponurej atmosferze. Nikt nie miał ochoty na rozmowę, chociaż Tomasz Tomanek starał się, jak mógł, by rozładować napięcie. Nawet zwykle rozchichotane kelnerki nie reagowały na jego żarty.

– Nie miałyby panie ochoty przejść się po obiedzie? – Teresa Zaborska odsunęła talerz i spojrzała na siedzące obok kraśniczanki, przerywając ciszę, która zapadła, kiedy Tomanek się poddał. – Nad Krukielkę. To zaraz za starą willą. Nie sądzę, żeby na spacerze coś nam groziło... Panie Tomku, widzi pan jakieś przeciwwskazania?

– Żadnych – odparł zagadnięty. – Sam chętnie wybrałbym się z paniami, ale muszę sprawdzić, czy nie mamy braków w... Komendant prosił, żeby przeliczyć te kosmetyki. Florka – obejrzał się na przygnębioną pokojówkę, która wyjątkowo jadła obiad ze wszystkimi zamiast w pokoju przeznaczonym dla personelu – dasz radę mi pomóc?

W milczeniu pokiwała głową. W towarzystwie Tomanka czuła się bezpiecznie. Gości zaczynała się bać.

– Świetnie. – Lekarka uśmiechnęła się z ulgą. – W tych ścianach zaczynam doznawać klaustrofobii... Przejdą się panie ze mną?

– Bardzo chętnie – wyrwała się Eliza, która lubiła wędrówki wśród natury. – Malwina choć jezioro zobaczyła, a ja jeszcze nic.

– Nie zobaczyłam, bo nas zawrócił pan Tomek – sprostowała natychmiast przyjaciółka i spojrzała pytająco na Zaborską. – To nad Krukielką rosną te olszyny, od których nazwano pensjonat, tak? W takim razie też jestem chętna.

– Klaro – lekarka przeniosła wzrok na milczącą towarzyszkę Koziełły siedzącą przy stoliku obok – a może też z nami pójdziesz? Dobrze ci zrobi trochę tlenu.

Zanim dziewczyna zdążyła odpowiedzieć, dość kategorycznym tonem odezwał się jej wuj:

– Klara musi mi pomóc. Mam dziewięćdziesiąt trzy lata i spisuję wspomnienia. Bóg mi świadkiem, że mam o czym opowiadać... Potrzebuję Klary do pisania. Lepiej sobie radzi z laptopem niż ja. No i oczy ma młodsze. A tlenu jej nie brakuje. Codziennie spacerujemy.

Obie kraśniczanki zmierzyły starszego pana morderczym wzrokiem, ale

heroicznie powstrzymały się od komentarzy. Klara uśmiechnęła się przeprasząco do lekarki i pochyliła na talerzem.

– Szkoda – westchnęła Zaborska. – Czasem zmiana towarzystwa, bodaj na chwilę, dobrze robi...

– Jak widać, nie wszystkim – wtrąciła napastliwie Nikola, nie zważając na posykiwanie męża. – Może pan Koziełto obawia się, że to nowe towarzystwo – obrzuciła kraśniczanki pogardliwym spojrzeniem – zaszkodzi siostrzenicy – zawiesiła głos – ostatecznie?

Malwinę aż podrzuciło, a w jej oczach pojawił się złowrogi błysk.

– Co pani insynuuje?!

– Dopóki was tu nie było, był spokój! – zapiszczała Nikola histerycznie. – Nikt nikogo nie mordował! Zjawiacie się nie wiadomo skąd i od razu trup za trupem!

– Zaraz dam jej w gębę – mruknęła rozwścieczona Eliza, ale nim zdążyła się podnieść, zareagowała Teresa Zaborska.

– Uspokój się, moja droga, i przestań wygadywać głupstwa. Niech ci Kaziowa zaparzy tych swoich „ziołek na spokojność”. Spędzimy razem przynajmniej kilka dni, o ile nie więcej. Jeśli zaczniemy sobie skakać do oczu i wzajemnie się oskarżać, zamienimy ten pobyt w piekło.

– To już jest piekło! – wrzasnęła Jagodzińska. – Wśród nas jest morderca! Lucjan! Chcę wyjechać! Natychmiast!

Małżonek spojrział na nią bez słowa. W jego oczach była taka furia, że Nikola struchlała.

– Przestań histeryzować – wycedził przez zęby. – Nic ci tu nie grozi. I nie wyjedziesz stąd, dopóki policja nie pozwoli. Słyszałaś, co Bryzgul powiedział. Jak ci się nudzi, włącz sobie te debilne seriale na laptopie, ale język trzymaj za zębami. Za głupie gadanie też są paragrafy!

Nikola rzuciła z głośnym brzękiem sztućce na talerz, poderwała się od stolika i wybiegła, szlochając. Laura Kawecka powiodła za nią pełnym złośliwej uciechy wzrokiem, Seweryn Koziełto z czytelnym potępieniem pokręcił głową, a Tomanek westchnął bezradnie.

– Dziewczyny, poproście Kaziową o te ziółka – zwrócił się do kelnerek. – I niech któraś zanieś do pokoju... Czarno to widzę – westchnął ponownie. – Mam nadzieję, że policja szybko tę sprawę rozwiąże, bo jak nam nerwy puszcza, wszyscy się powybijamy...

– Nie trzeba było mówić, że to ktoś z nas – burknął młody Michotek, łypiąc nieprzyjaźnie ku kraśniczankom. – To na pewno jakiś świr ze wsi... Nie mówię, że tutejszy – dodał pośpiesznie, widząc oburzone miny obu kelnerek i Florki. – Przyjezdny. Gość. Tu prawie wszyscy żyją z obcych. Bryzgul powinien się rozejrzeć po innych kwaterach, a nie czepiać się „Olszynki”. Może i od nas się zaczęło, ale skąd wiadomo, czy tej aktorki ktoś obcy nie podrzucił? Przecież się wyprowadziła. Może i ona wcześniej była na cmentarzu? – Potoczył po zgromadzonych roziskrzonym wzrokiem. – To

na pewno jakiś świr! Nigdy go nie złapią, a on sobie spokojnie wyjedzie! Do śmierci będziemy tu wszyscy tkwić?!

– Zostaw to policji i zajmij się swoimi sprawami – uciął Tomanek. – Podobno miałeś zawieźć dziadkowi ładowarkę do komórki...

– A niby jak? – Igor poczerwieniał ze złości. – Siedzimy tu jak w więźniu!

– W recepcji masz zeszyt. Wpisz swoje nazwisko i godzinę wyjazdu – powiedział Tomek spokojnie. – Jak wrócisz, pokaż się Florce. Będzie siedziała w recepcji. Wpisze godzinę powrotu. Komendant się zgodził pod warunkiem, że każdy wyjazd będzie uzgodniony ze mną.

– Mnie to też obejmuje? – ożywił się Jagodziński.

– Owszem. Jeśli tylko nie opuści pan terenu województwa i poda cel podróży.

– To się da zrobić – stwierdził biznesmen po namyśle i wzruszył ramionami pogardliwie. – Nie mam nic do ukrycia, za to kilka spraw do załatwienia.

Teresa Zaborska zastukała w tarasowe drzwi, kiedy obie przyjaciółki zakładały okrycia. Malwina natychmiast ją wpuściła.

– Już prawie jesteśmy gotowe. Daleko ta rzeczka?

– Przez park i obok willi. Niedaleko. Zaraz za starym domem płynie Krukielka. – Lekarka weszła do pokoju i zamknęła za sobą drzwi. – Malutka rzeczka, ale wiosną i latem bardzo urokliwa. Jakimś cudem wciąż jeszcze płynie w niej czysta woda. Kaziowa mówiła, że ponoć i raki się zdarzają. Po obu stronach obrasta ją olszyna. Broniek zbudował kamienny mostek, żeby gościom było bliżej do lasu, bo tam po drugiej stronie jest raj dla grzybiarzy. Czasem udawało mi się wyrwać z Warszawy na jesienny weekend. Przywoziłam stąd całe wianki grzybów. Przy starej willi jest suszarnia. Broniek ją postawił, kiedy jeszcze Jadzia żyła, jego żona. Goście mogą korzystać.

– O, to ja bym kiedyś chętnie – zadeklarowała się z entuzjazmem Eliza. – Uwielbiam zbierać grzyby. Prawdziwki tu są?

– Owszem. Ale najwięcej koźlarzy. Pamiętam taki rok, że nawet w tej nadbrzeżnej olszynie pełno ich było. – Zaborska westchnęła do wspomnień. – To były czasy. Wtedy mało kto tu przyjeżdżał. Wszyscy siedzieli w ośrodkach pracowniczych. Głównie nad Niegocinem. Tu był spokój.

– Pan Kozięłto mówił, że on też tu bywał jeszcze w willi. – Malwina okręciła szyję chustą i spojrzała pytająco na lekarkę. – Ktoś jeszcze jest stałym gościem?

– Pan Seweryn? – Zaborska uśmiechnęła się z sympatią. – A jakże, bywał. To on mnie ściągnął do Krukielnik. Poznaliśmy się w Warszawie, kiedy przyszedł do mojego gabinetu... Ileż to lat minęło... Oboje szybko zaprzyjaźniliśmy się z gospodarzami i właściwie chyba poczuliśmy się jak w rodzinie. Co prawda pan Seweryn ma w Warszawie siostrę, ale rzadko się

spotykają. Ja straciłam męża po roku małżeństwa i nie tęskniłam za następnym. Tu oboje znajdowaliśmy namiastkę domu. Dlatego kiedy Broniek zaproponował nam udział w budowanym pensjonacie, nie wahaliśmy się ani chwili. Wtedy już od kilku lat przyjeżdżał tu Lucjan Jagodziński. Był więcej niż chętny do zainwestowania w taki biznes. Na szczęście udało nam się Bronka powstrzymać od wejścia w tę spółkę... Wychodzimy? To od razu ustawię tę gałkę w odpowiedniej pozycji, żeby paniom nikt nieproszony nie złożył wizyty podczas nieobecności. – Podeszła do drzwi tarasowych. – Już. Wyjdziemy tylnymi drzwiami. Też prowadzą na taras.

– Wiem – powiedziała niecierpliwie Malwina, bo ciekawa była dalszej opowieści. – Pan Seweryn mi pokazał.

Przeczekwała, aż dotarły do głównej alejki parku, ale nim zdążyła się odezwać, wyręczyła ją równie zaintrygowana przyjaciółka.

– To czym ten Jagodziński się zajmuje? Dlaczego państwo nie chcieli, żeby... To jakiś bandzior? Bo trochę wygląda...

Teresa Zaborska szła zwirową alejką w milczeniu, marszcząc brwi, jakby się nad czymś zastanawiała. Wreszcie wzruszyła ramionami.

– Właściwie to żadna tajemnica – stwierdziła niechętnie. – Jagodziński jest w Warszawie powszechnie znany. Głównie z tego, że od lat kręci się przy tych, którzy mają duże wpływy, choć nie zawsze czyste ręce. Już choćby dlatego woleliśmy trzymać Bronka z daleka od takiego współnika. Zainwestowaliśmy własne oszczędności, wzięliśmy kredyt i już prawie nam się udało. Wierzę, że letni sezon zapewni nam zyski. Z tego, co mówił pan Tomek, całe piętro jest już zamówione. A te... zabójstwa pewnie zrobią nam dodatkową reklamę – zaśmiała się niewesoło. – Trochę znam ten snobistyczny świat. Pieniądze i nuda domagają się adrenaliny...

– Powinniście zatrudnić panią Laurę, żeby udawała ducha tej pierwszej nieboszczki – podpowiedziała Malwina i skrzywiła się wymownie. – Ludzie czasami są straszni.

– A czym ten Jagodziński się zajmuje? – wróciła do tematu Eliza.

– Ma firmę transportową. Zaczynał od przewozu ludzi, a od kilku lat przestawił się na towary. Teraz podobno jego ciężarówki jeżdżą po całej Europie... – Lekarka przystanęła raptownie i popatrzyła z powagą na obie krańniczanki. – Nie przywiązuję wagi do plotek. Nie obchodzą mnie cudze opinie. Ale... Wierzę swojej intuicji. Zwykle mnie nie zawodzi. Jest w Jagodzińskim coś, co mi przeszkadza i co mnie niepokoi. Co ciekawe, pan Seweryn też za nim nie przepada.

– On chyba raczej w ogóle nie przepada za ludźmi – mruknęła z niechęcią Eliza. – Serdecznie współczuję tej biednej Klarze. Przecież to młodziutka dziewczyna. Obawiam się, że jeśli dalej tak pozwoli wchodzić sobie na głowę, wujaszek ją zamęczy! Żeby jej choć płacił za ten wyzysk!

Zaborska skręciła w lewo i ruszyła wzdłuż ponemieckiej willi. W jej



oczach zamigotały figlarne ogniki.

– Mam nadzieję, że panie nie należą do tych wojujących feministek, z których bucha zapach neofitek i wszędzie węższą spisek przeciwko swojej płci? – Uśmiechnęła się. – Znam sytuację Klary. Nie będę o tym mówić, bo to ich rodzinne sprawy. Pozory mylą. Proszę mi wierzyć, że pan Seweryn chce jej dobra. Naprawdę – podkreśliła, widząc wyraźny sceptycyzm na twarzach swoich towarzyszek. – Nikt Klary nie zmusza, by towarzyszyła wujowi w wyjazdach. To jej wybór. Pan Seweryn bierze na siebie koszty pobytu. A finansowo Klara nie jest w żaden sposób od niego zależna. Pracuje. Jest wziętą tłumaczką. Robi przekłady z angielskiego, niemieckiego i włoskiego. Tłumaczy nie tylko książki i artykuły. Również dokumenty. Jest znana w branży. Znakomicie zarabia. I wcale nie jest taka młodziutka. Ma trzydzieści dwa lata, choć nie wygląda. Jest dorosła.

– Po prostu nie możemy już patrzeć, jak ten sta... pan Seweryn się nad nią znęca – burknęła Malwina. – A ona to znosi! Zupełnie jakby nie miała własnej woli!

Zaborska spojrzała na nią z sympatią i roześmiała się w głos.

– Nie zdradzam sekretów ludzi, których lubię. Powtarzam: pozory mylą. Jeszcze nas może zaskoczyć i Klara, i pan Seweryn.

– A co z ludźmi, których pani nie lubi? – zainteresowała się niewinnie Eliza i od razu dodała: – Nie wypyujemy z ciekawości. Po prostu...

– Rozżłościły panie insynuacje Nikoli? Proszę machnąć na to ręką. Do niej chyba jeszcze nie do końca dotarło, że pieniądze i szczęście to dwie różne sprawy. Wciąż jest na etapie euforii z powodu pozycji, o jakiej nie śniła. Wcześniej była sekretarką w firmie Jagodzińskiego. Nawet nie od papierów, tylko od parzenia kawy bogatym klientom. To chyba mówi wszystko. Nikola nie grzeszy intelektem.

– Zdążyłyśmy zauważyć – mruknęła kwaśno Malwina. – Szczerze mówiąc, na wszelkie insynuacje jesteśmy odporne. Wypyujemy, bo kompletnie nie znamy tych wszystkich ludzi, a usiłujemy zrozumieć, co i dlaczego tu się wydarzyło.

– Bo w tego seryjnego mordercę nie bardzo wierzymy – dodała Eliza, wydymając usta.

– Ja również – przyznała lekarka i przystanęła, wyciągając przed siebie rękę. – Oto i nasza Krukielka. Jeśli pójdziemy brzegiem w lewo, trafimy na drogę prowadzącą nad jezioro. Jeśli w prawo – dojdziemy do cmentarza. A jeżeli przejdziemy przez ten mostek, wejdziemy do lasu. Jaki kierunek paniom odpowiada?

– W prawo – oświadczyły przyjaciółki jednocześnie.

Teresa Zaborska znowu się zaśmiała i pokręciła głową z rozbawieniem.

– A jednak pociąga panie mroczna strona... Proszę bardzo. Możemy pójść w prawo, choć nie sądzę, żebyśmy znalazły tam coś interesującego... Znam Alfreda Bryzgula od lat. Wiem, że jest pedantem, jeśli chodzi o pracę. Tutejsi

już nawet kraść przestali, bo komendant zawsze bezbłędnie typował złodzieja. Urodził się w Krukielnikach. Zna wszystkie grzeszki ziomków. I ma wrodzony chłopski upór. Poradzi sobie bez naszej pomocy.

Przyjaciółki spojrzały po sobie, niepewne, jak daleko mogą się posunąć w nawiązanej świeżo komitywie. W obu Zaborska wzbudzała odruchową sympatię, ale właściwie nic o niej nie wiedziały. Zakłopotane przeniosły wzrok na płynącą leniwie rzeczkę i stanęły raptownie.

– Tu dziko jest! – wyrwało się Elizie z zachwytem. – Nawet ten mostek niczego nie psuje! Kurczę, myślałam, że to będą krzaczory, a to stare drzewa!

Obie weszły na kamienny, omszały mostek, który idealnie wpasowany był w otoczenie. Malwina spojrzała w dół. Rzeczka miała najwyżej dwa metry szerokości, bardziej przypominała strumień. Przejrzysta woda pozwalała wyraźnie dojrzeć wyścielone jasnym piaskiem dno, na którym gdzieniegdzie zalegały duże ciemne muszle skójek. Ze spadzistych skarp okalających brzegi Krukielki wynurzały się niesamowite kształty korzeni nadrzecznych olch przypominające zsuwające się do wody jakieś pradawne stwory. Grube pnie niektórych drzew wyraźnie grawitowały ku rzeczce, inne, zgrupowane po dwa, po trzy, jakby się wzajemnie mobilizowały, by sięgnąć jak najwyżej. Ich kora obrosnięta naroślami, guzami, zryta pęknięciami wyglądała jak skóra smoka.

– Niech panie popatrzą w górę – powiedziała Zaborska, obserwując z aprobatą zauroczone kraśniczanki. – Kotki opadły. Zima była ciepła, więc już w lutym się pojawiły. Na niektórych gałęziach zostały jeszcze zeszłoroczne szyszki. A lada chwila, jeśli ciepło się utrzyma, buchną liście, bo już widzę duże pąki... Najpiękniej tu jest rano. Kiedy znad jeziora podnosi się mgła i osnuwa wszystko. Zawsze się wtedy czuję, jakbym trafiła do innego świata... Zapraszam w gościnę latem. Nad Krukielką panuje przyjemny chłód. Siadam sobie na mostku i podglądam przyrodę. Dużo się tu dzieje... Chodźmy, bo na cmentarz mamy kawałek. Jeszcze się panie napatrzą. Będziemy szły wzdłuż brzegu.

Malwina i Eliza wymieniły badawcze spojrzenia, ledwo dostrzegalnie skinęły głowami, porzuciły mostek i ruszyły za swoją przewodniczką.

– Wiem, jak pracuje policja – oznajmiła ostrożnie Malwina. – Mój zięć jest śledczym. Nie ukrywam, że obie z Elizą lubimy oglądać seriale kryminalne i porównywać fikcję z rzeczywistością. W filmach mają łatwiej – stwierdziła z wyraźnym żalem. – Coraz częściej już na początku potrafimy wytypować mordercę... Nie będę oszukiwać. Przyjechałyśmy tu w poszukiwaniu wypoczynku, a już pierwszego dnia trafiłyśmy na zwłoki. W dodatku nie mamy pojęcia, czy i kiedy w ogóle nas stąd wypuszczą. Dziwi się pani, że próbujemy...

– Nie rozumiemy, co się dzieje – przerwała jej Eliza. – Ale jesteśmy przywiązane do naszych rodzin i do Kraśnika, więc wolałybyśmy nie zwiększać sobą tutejszego zapotrzebowania na nieboszczki.

– Rozumiem – powiedziała wolno Zaborska.

Nie widziały jej twarzy, bo szła przodem wąską ścieżką i nie potrafiły wyczuć, co za chwilę usłyszą. Panująca wśród gości dziwna zmowa milczenia nie wróżyła najlepiej.

– No dobrze. – Lekarka przystanęła i odwróciła się ku kraśniczankom z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. – Proszę pytać. Uprzedzam, że nie czuję się upoważniona do wypowiedzania się w imieniu innych i nie sieję plotek. – Znów ruszyła przodem.

Przyjaciółki spojrzały na siebie lekko speszone i przez chwilę nie bardzo wiedziały, od czego zacząć, by już na początku nie zniechęcić do siebie źródła informacji.

– Jaka była ta Joanna? Przychodzi pani do głowy powód, dla którego ktoś miałby ją zabić? – zapytała Malwina po głębokim namyśle.

– Joanna? – Zaborska nie odwróciła się, ale zobaczyły, jak wzrusza ramionami. – Nie miała większych wad niż reszta bliźnich. Bliżej znała ją Laura, bo pracowały w jednym teatrze. Na pewno umiała zadbać o siebie. Znała tych, którzy mogli jej pomóc w karierze. Nie sądzę, żeby miała wielki talent, bo raz byłam na przedstawieniu, w którym grała. Nie jestem znawcą, ale nie zrobiła na mnie wielkiego wrażenia. Nikt jednak nie zabija aktorów z powodu braku talentu, prawda? – Ominęła zrećznie wystający korzeń i mówiła dalej: – Zaczęła tu przyjeżdżać, kiedy Jagodziński po raz kolejny się rozwiódł. Zanim ożenił się z Nikolą. Chyba miała nadzieję, że uda jej się zamienić etat aktorki na posadę żony biznesmena... Kiedyś trochę przesadziła z alkoholem i wyrwało się jej, że ma już dosyć aktorstwa. Nie była wybitna i męczyła ją walka. Ale – jakaś twardsza nuta zadźwięczała w głosie lekarki – chciała mieć stabilizację finansową. I wolę się nie zastanawiać, do czego byłaby zdolna się posunąć, żeby ją uzyskać. Wydaje mi się, że bez skrupułów wykorzystaby każdą okazję... Podkreślam, że to moje osobiste przemyślenia. Wnioski zostawiam paniom.

W milczeniu dotarły do cmentarza, bo obie przyjaciółki usiłowały przyswoić sobie zdobytą wiedzę i snuły w myślach kolejne hipotezy.

Stare lipy o potężnych pniach okalające miejsce spoczynku zachwyciły kraśniczanki i oderwały je od ponurych rozmyślań.

– Jakim cudem one się uchowały? – wyrwało się Elizie. – Jeszcze nikt sobie ich nie przeliczył na pieniądze?

– Przeliczył. Były proboszcz. Cmentarz we wsi jest jeden, więc nowy pasterz uznał, że należy do parafii. Ludzie szybko wyprowadzili go z błędu. – Zaborska uśmiechnęła się. – Kiedyś we wsi był mały cmentarz protestancki. Już go nie ma, niestety. Zaraz po wojnie przyjeżdżali tu na szaber z całej Polski i rabowali, co się dało, bo domy stały puste. To była wioska, z której w czasie okupacji całkowicie wyrugowano Polaków. Cmentarz zniszczono, kiedy pojawili się pierwsi powojenni osadnicy. Wielu zza Buga, bo już nie mieli tam do czego wracać. Zbudowali kościół, bo wcześniej musieli chodzić

do sąsiedniej parafii, i obok założyli cmentarz. To były trudne czasy – głód, bieda, brak opieki lekarskiej i leków, tęsknota za rodzinnymi stronami, trauma wojenna – westchnęła. – Tym, co zostali, cmentarz pomógł oswoić tę obcą dla nich ziemię. Oddali jej swoich najbliższych i wtedy już mogli uznać za swoją. Te lipy posadziło pierwsze pokolenie przesiedleńców. W oczach mieszkańców są własnością zmarłych i ich potomków, nie proboszcza. Są świadectwem ich trwania tutaj. Łącznikiem między przeszłością a teraźniejszością. Ksiądz był młody i nie chciał tego zrozumieć. Kiedy kościelny rozniósł po całej wsi, że będą wycinać cmentarne drzewa, ludzie pobiegli na ratunek. Nie chcieli muru, który im obiecywał. Tutaj świat zmarłych wciąż przecina się ze światem żywych... Włączyła się gmina. Okazało się, że teren cmentarza podlega wsi, nie proboszczowi.

– Żeby to wszędzie ludzie tacy byli – wyrwało się zasłuchanej Elizie.

– I tu są różni. – Zaborska westchnęła. – Pieniądze niektórym przesłaniają wszystko. Ale na szczęście wciąż jest paru zapaleńców, którzy potrafią się zorganizować i działać... To dobre miejsce na zwolnienie tempa i zaprzyjaźnienie się ze starością...

Malwina milczała, wpatrując się w niedomkniętą furtkę prowadzącą na posesję, którą znały z krótkiej wizyty. Potem z uwagą przyjrzała się domowi. Dwa okna wychodziły na cmentarz.

– Musiała coś zobaczyć – powiedziała i dodała, widząc zaskoczone spojrzenia swoich towarzyszek: – Józefina. Przez okno. I poleciała sprawdzić... Tu w nocy jest ciemno, prawda? Nikt o tej porze po cmentarzu nie łązi... Coś musiała zobaczyć... I ktoś ją uciszył...

– To możliwe – przyznała lekarka i wstrząsnęła się, jakby nagle zrobiło jej się zimno. – Nie znałam jej prawie. Chyba tylko z widzenia, z dawnych czasów... Wracajmy, bo spóźnimy się na podwieczorek.

– Chyba mogłabym tu zostać na zawsze – wyznała Eliza, już przebrana do snu, moszcząc się wygodnie na wielkim łożu. – Nawet ta nadprodukcja nieboszczyków mi nie przeszkadza. Okolica przepiękna i jakoś się uchowała przed dobrą zmianą...

– Chwilowo. Nie łudź się – mruknęła leniwie Malwina, poprawiając poduszkę.

– Może nie. Może ten chłopski upór, o którym wspominała Zaborska, wygra jednak z pazernością rządzących – odparła z nadzieją Eliza i poklepała się po brzuchu. – No i ta Kaziowa... Nie wiem, czy to zasługa jej umiejętności, czy może świeżego powietrza, ale wszystko mi tu smakuje, jak nigdy. W życiu nie jadłam takiej pysznej sielawy, a przecież bywałam na Mazurach, jak Piotruś był mały. Na wczasach pracowniczych. A jej sękacz rozpływa się w ustach. Mam poważne obawy, że mocno przytyję.

– Poproś starego ramola, żeby cię przewietrzył, to nadmiar kalorii od razu spalisz. On lata, jakby miał motorek w tyłku – powiedziała Malwina

złośliwie. – Nie wierzę, że ma dziewięćdziesiąt trzy lata... Odczep się na razie od rozrywek i wróć do rzeczywistości. Musimy jakoś poukładać to, czego się dzisiaj dowiedziałyśmy. Bierz telefon i uzupełniaj informacje. Może coś nam się rozjaśni.

Eliza posłusznie sięgnęła po smartfona i spojrzała wyczekująco na przyjaciółkę. Szczerze mówiąc, nie czuła się zdolna do prowadzenia śledztwa w tym momencie. Wrażeń miała aż nadto jak na jeden dzień, a spacer i smaczne jedzenie jakby przytłumiły umiejętność kojarzenia faktów.

– Dopisz kolejne ofiary – poleciła Malwina. – Józefina Hauke i Marlina Zię... Nie! Czekaj! Odwrotnie! Komendant się wiedzą nie dzieli, ale na mój babski rozum Ziębówna musiała zginąć pierwsza. I chyba na cmentarzu, bo nikt jej stąd nie włókł taki kawał drogi...

– Mógł samochodem przewieźć – sprzeciwiła się dla zasady Eliza.

– Byłoby słychać. Stawiałabym na to, że ona się z kimś na tym cmentarzu spotkała...

– Umawiałybyś się z chłopakiem w takim miejscu? – Eliza uniosła brwi z powątpiewaniem. – A, jeszcze jedno! – Z zadowoleniem zauważyła, że jej umysł zaczyna działać. – W domu się nie pokazała wczoraj w ogóle, tu też jej ponoć nie było od popołudnia. To gdzie przywarowała? Nikt się do niej nie przyznaje. Może rzeczywiście to ktoś z zewnątrz morduje?

– Nie! – oświadczyła stanowczo Malwina. – Przestań kombinować i pisz, co mówię... Zaraz, jak to było... Aha, ofiary: Marlina Zięba i Józefina Hauke... Józefinę na razie zostawmy. Uważam, że zginęła przez przypadek, bo zobaczyła coś, czego nie powinna... Z informacji, jakie zebrałyśmy, wynika, że pokojówka nagminnie plątała się przy Joannie. Może pomogła jej wślizgnąć się do... A! Gałka! – Spojrzała na słuchającą przyjaciółkę z błyskiem w oczach i wyskoczyła z łóżka żwawo jak sarna. – Chodź tu! – zażądała. – Coś ci pokażę!

Eliza odłożyła telefon i niechętnie wstała.

– Zobacz! Jeśli gałka jest w tej pozycji, nikt z zewnątrz nie wejdzie do środka. Sprawdziłam to ukradkiem, jak wracałyśmy ze spaceru. Być może Joanna sama zostawiła niedomknięte drzwi na balkon przed wyjazdem, żeby ukradkiem wrócić. Ale zabił ją ktoś stąd. Albo miał w pensjonacie współnika. Bo kiedy się wprowadziłyśmy, gałka była w pozycji wskazującej na zamknięcie. Pamiętam, że zastanawiałam się, w którą stronę trzeba przekręcić, żeby otworzyć.

– Niekoniecznie – zaprotestowała Eliza po namyśle. – Nie musiał wychodzić przez balkon. Frontowe drzwi zamyka na noc pan Tomek i włącza alarm. Podpytałam Florę. Ale zabójca mógł się wymknąć tylnym wejściem. Zdaje się, że wszyscy go chętnie używają. I goście, i personel. Ktoś z zewnątrz też mógł o tym wiedzieć.

Malwina rzuciła jej złe spojrzenie, sapnęła z irytacją i wróciła do łóżka.

– Trzeba się dowiedzieć, czy na noc też zamykają... Cholera, że też nie ma

sposobu, żeby coś wydusić z policji... Słuchaj, a może byś trochę poczarowała komendanta tą swoją empatią, Liza? Wydaje mi się, że on ma do ciebie słabość...

– Zwariowałaś?! – Eliza z impetem usiadła po swojej stronie łoża, zsunęła kapcie i ze zgrozą popatrzyła na przyjaciółkę. – Sama wyduś! Zięcia masz w policji! Ja się boję komendanta! Już mi Kaziowa powiedziała, że jak Bryzgul ma czerwony nos, lepiej mu się nie narażać! A ciągle ma czerwony jak ten dumny renifer z kreskówki!

– Ja bym go nawet podpytała – wyznała Malwina, nie reagując na irytację przyjaciółki. – O ten samochód. I osobiste kłamoty, bo przecież jakieś ze sobą musiała mieć. Ale on się chyba mnie boi, bo udaje, że nie słyszy, kiedy mówię. Może tobie by coś zdradził.

– Jakie kłamoty? – nie rozumiała Eliza.

– Joanny. Przyjechała na tydzień. Nie wierzę, że nie miała ciuchów i kosmetyków... A, i torebki też przy sobie nie miała. Tomanek mówił, że przyjechała swoim samochodem. To gdzie on się podział?

– A jaki to problem ukraść samochód? – Eliza wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, bo nigdy nie próbowałam – odparła z godnością Malwina i sapnęła zniecierpliwiona. – Czekaj, bo zaraz się pokłócimy... Dopisz ten samochód, bagaż i torebkę. I daj znak zapytania, bo to ważne jest. Żadna baba nie ruszy się nigdzie bez torebki. Chyba że zostawiła wszystko w samochodzie, bo miała się z kimś spotkać, a potem odjechać do Warszawy.

Eliza bez przekonania wykonała polecenie.

– Joanna została zabita z premedytacją – ciągnęła z werwą Malwina. – Tylko nie rozumiem, dlaczego zabójca ukrył ciało w szafie. Gdyby był inteligentny, podrzuciłby je gdzieś. Możliwości nie brakuje.

– Może ktoś go spłoszył... Słuchaj, a czemu uważasz, że ten samochód jest taki ważny?

– Bo może jest w nim torebka, a w niej komórka – wyjaśniła Malwina. – A w tej komórce wszystkie telefony, które ostatnio nieboszczka wykonywała. Jeśli z kimś się umawiała...

– Mogła na gębę – przerwała kłótnie Eliza.

– Mogła. Ale telefon robi też zdjęcia i nagrywa. Kiedy Klara na spacerze wspomniała o samochodzie...

– To ona mówi? – W głosie Elizy dźwięczało niedowierzanie.

– Kto?!

– Klara.

– A dlaczego miałyby nie? Bo nie pyskuje wujaszkwici? To, że ktoś milczy w towarzystwie, nie świadczy wcale, że musi być niemową – rozżłościła się Malwina. – Może jest kulturalna? Może herbową szlachtę obowiązuje jakaś specjalna hierarchia rodzinna i starych ramoli traktuje ze szczególną atencją? Może z innymi Klara akurat rozmawia. Musi ze wszystkimi?

– Już jej tak nie broń jak niepodległości – mruknęła Eliza. – Zdziwić się nie

można? Akurat ja jej głosu nie słyszałam. Zwykle odpowiada za nią wujaszek...

– Czekaj... Coś mi przyszło do głowy... – powiedziała wolno Malwina, marszcząc brwi z namysłem. – Ta Zaborska jest sprytna i najwyraźniej dużo wie o obecnych gościach pensjonatu. I nie mówi wprost, tylko tak jakoś... opłótkami. O! Sugeruje, ale w taki sposób, żeby nie wyglądało to na obmowę. Przypomnij sobie, co mówiła o Joannie, kiedy ją zapytałyśmy, jaki motyw mógł mieć zabójca.

Teraz i Eliza zmarszczyła brwi, wpatrując się z natężeniem w szafę naprzeciwko.

– Szantaż? Myślisz, że kogoś szantażowała? Zaborska wspomniała, że Joanna miała dość aktorstwa i... Ha! Mogło tak być! Coś o kimś wiedziała, zażądała kasy, miała ją dostać i zniknąć... Ale dlaczego udawała, że wyjeżdża?

– Bała się? Nie chciała, żeby inni coś podejrzewali? – podsunęła Malwina. – A może szantażowany tak to sobie wymyślił? Umówili się, że po kryjomu wróci, odbierze łup i zniknie mu z oczu na zawsze?

– Z oczu to mu za bardzo nie zniknęła – mruknęła Eliza, wydymając usta. – Przeciwnie. Wystąpiła w roli głównej przy pełnej widowni... To jakiś bałwan jest. Ten bergamotek. Dlaczego ją zostawił w pokoju? Ciemno było. Mógł ją wyeksmitować nad jezioro, nad rzeczkę, a jakby mu zabrakło kondycji, choćby do parku... I nie rozumiem, po co ją oblewał tymi wonnościami? Bo mówiłaś, że to męski zapach...

– Czekaj, czekaj... Muszę... – Malwina poczerwieniła z przejęcia. – Zaraz! Słuchaj i mów, czy ja dobrze kombinuję! Zjawiłyśmy się tu tylko z powodu tego cholernego krasnala. Gdyby kwatera u Józefiny spełniała nasze wymagania, nie miałybyśmy pojęcia o istnieniu „Olszynki”. Ten rudzielec był pewny, że wszystkie pokoje są zajęte, dopiero Tomanek wyprowadził go z błędu. Żadnych gości się nie spodziewali, bo mieli komplet. Pokój byłby pusty jeszcze przez tydzień. Czyli bergamotek mógł być przekonany, że ma czas na posprzątanie...

– Nie mógł właśnie! – zaprotestowała Eliza. – Pokojówki sprzątają codziennie!

– I dlatego ją zabergamotkowałam! Żeby się nie zaśmierdziła!

– Przez jeden dzień? – Eliza z powątpiewaniem uniosła brwi. – Nie przesadzaj. Upałów jeszcze nie ma. Spokojnie mogła poleżeć do kolejnej nocy... Chyba że ją znalazła któraś pokojówka...

– Marlena! – Malwina aż usiadła na łóżku. – Wiedziała? I dlatego zginęła...? Rany, jakie my wespół w zespół jesteśmy genialne!

Eliza pokręciła głową i westchnęła ciężko.

– Nie przywiązywałabym się do tej myśli. Poszłabyś w środku nocy na opustoszały cmentarz z kimś, kogo podejrzewasz o morderstwo?

– Ja nie. Ale ja w swoim życiu już niejedno widziałam i żadnemu chłopu nie uwierzę, a Marlena... – Malwina wzruszyła ramionami. – Młoda była.

Mogła się nabrać na... Skąd wiesz, co jej obiecał?

– A skąd wiesz, że to chłop? Bo użył męskich perfum? Może to dla zmyłki?

– Nie. To chłop. Baby walą na oślep, nie patrzą na efekty... Widziałaś krew? Bo ja nie...

– A skąd wiesz, że te na cmentarzu zginęły w taki sam sposób? – dociekała Eliza. – Komendant nam raportu nie zdawał.

– Ale od razu przyleciał do „Olszynki”. I wymknęło mu się, że w taki sam.

– Malwina łypnęła na przyjaciółkę nieprzyjaźnie. – A cóż ty dzisiaj jesteś ciągle na „nie”?

– Bo chyba się trochę pogubiłam w tym śledztwie – wyznała Eliza, z wysiłkiem powstrzymując ziewanie. – Co my właściwie wie...? Nie. Pytanie powinno brzmieć inaczej: czy my w ogóle coś wiemy? Poza tym, że trafiła nam się niespodziewana atrakcja w postaci wysypu nieboszczek?

– Mimo wszystko nie nazwałabym tego atrakcją – stwierdziła Malwina z naganą. – I, owszem, wiemy. Wiemy, że Joanna nie została zabita dla naszej rozrywki, tylko z jakiegoś powodu. Stawiam na szantaż. Wiemy, że pokojówka zginęła dlatego, że coś widziała i musiała się jakoś z tą wiedzą zdradzić. I jestem pewna, że Józefinę zabójca dołączył do kompletu z tego samego powodu: zobaczyła coś na cmentarzu i polazła na zwiady.

– Czyli wiemy tyle samo, co wszyscy – oświadczyła bezlitośnie Eliza i ziewnęła.

– I mamy podejrzanego.

– Mamu? Kogo?

– Jagodziński mi pasuje. Znał Joannę, mogli nawet romansować. Wygląda mi na takiego bardziej szemranego biznesmena... A! Zaraz! Ja bym się jeszcze nad tym Tomankiem zastanowiła – przypomniała sobie Malwina. – To Igor pracuje w recepcji i to on powinien wiedzieć o wyjeździe Joanny. A nie miał o tym pojęcia. Dlaczego zatem nieboszczka zwierzyła się akurat Tomankowi? I jemu oddała klucz? Dla mnie to podejrzan. Mógł kłamać.

– Bo może Igora gdzieś wywiało. – Eliza znowu ziewnęła. – On, zdaje się, bardzo pracowity nie jest, a w recepcji w tej chwili naprawdę nie ma co robić... Dobra, jutro spróbujemy dowiedzieć się czegoś o Jagodzińskim i Tomanku, a teraz chodźmy spać, bo za chwilę mi się szczęka zwichnie...



## DZIEŃ TRZECI WIELKA ŚRODA

Śniadanie upłynęło w milczeniu. Jagodziński poinformował Tomanka, że musi pojechać do Giżycka w sprawach firmy, wypił tylko kawę i zniknął. Nikola, cicha i jakby przestraszona, szybko umknęła do pokoju. Teresa Zaborska zgarnęła ociągającego się Igora i pojechali w odwiedzinach do starszego Michotka. Seweryn Koziełło zażądał od siostrzenicy pomocy przy spisaniu wspomnień. Zabrali ze sobą termos z kawą i poszli do siebie. Laura Kawecka rozłożyła się przy stoliku w kącie i zaczęła układać pasjansa. Nie wyglądała na chętną do rozmowy. Przygnębione kelnerki w milczeniu zbierały naczynia.

Malwina i Eliza pozostały przy swoim stoliku, popijając świeżo zmieloną kawę z odrobiną kardamonu. Obie były niewyspane. Pierwszej przez pół nocy śniło się, że dzwoni do niej rozwścieczona nieboszczka Joanna i domaga się natychmiastowego ukarania sprawcy swojego zejścia. Malwina usiłowała wydobyć od niej informacje, które owo ukaranie mogłyby przyspieszyć, ale z aparatu dochodziły jedynie mało sympatyczne insynuacje na temat wątpliwej inteligencji samorzutnych tropicielki zbrodni. W dodatku wygłaszane z nieskazitelną aktorską dykcją. Obudziła się umęczona wrzaskiem ze snu i z wyhodowaną przez jedną noc determinacją, by udowodnić rozdarłej nieboszczce, że poradzi sobie bez jej pomocy.

Elizie przyśnił się krukielniczy cmentarz i latający po nim wymoczkowaty ksiądz z piłą w ręku. Szarpała się z nim (księdzem, nie cmentarzem), usiłując pozbawić go piekielnego narzędzia, ale on był zwinniejszy. Kiedy już z rozpaczą uświadomiła sobie, że jest od niej silniejszy i za chwilę dojdzie do lipowej rzezi, do akcji wkroczyły same drzewa. Ich gałęzie wydarły księdzu narzędzie mordu, oplotły swojego kata i przystąpiły do operacji jego unicestwienia. Eliza nie protestowała, tylko od razu zaczęła szukać łopaty, by usunąć ślady dendrologicznej zemsty. Namordowała się okrutnie, ale wreszcie upchnęła resztki po księdzu w ziemi i z pełnym złośliwej satysfakcji wyrachowaniem posadziła na nich drzewko. Rano obudziła się przeraźliwie zmęczona i półprzytomna.

Przyjaciółki popijały w milczeniu upojnie pachnącą kawę i cierpliwie czekały, aż ich mózgi dadzą sygnał, że są gotowe do pracy. Na razie nic tego nie zapowiadało. Najwyraźniej kawa jako pożywka nie zdawała egzaminu.

Kraśniczanki oprzytomniały dopiero wtedy, gdy do ich uszu dotarła prowadzona ściszonymi głosami rozmowa kelnerek.

– Mirek mi mówił, że sprawdzają jezioro. Podobno szukają samochodu pani Joanny – powiedziała jedna. – Komendant ściągnął nurków.

– Jezioro duże. Nie dadzą rady sprawdzić całego w jeden dzień – orzekła druga. – Widziałaś tych nurków? Warto popatrzeć?

– No jak miałam widzieć, jak do pracy szłam... Opuść sobie, Roksi. Przyjadą i wyjadą. Masz chłopaka, to się go trzymaj.

– Ślubu z nim nie brałam. Skąd wiesz, że nie trafię na lepszego? Całe życie mam tu tkwić? O, do Giżycka bym wyjechała. Albo i dalej jakby się dało. Do Niemiec może? Słyszałam, że tam na sprzątanii można dobrze zarobić. Ale musiałabym z kimś, bo języka nie znam... Pati, u ciebie jak z niemieckim?

– Słabo. Angielski trochę łapię, ale z niemieckim gorzej... Ty, ale Igor był w Anglii. I tam podobno kupa naszych siedzi. Może by nas gdzieś wcisnął po znajomości?

Malwina siedziała, wpatrując się tępo w swoją filiżankę, ale Eliza ukradkiem obserwowała dziewczyny, usiłując znaleźć jakiś stały element, który pomoże jej w przyszłości je rozróżnić. Obie były tego samego wzrostu i budowy. Obie miały krótko przycięte srebrzysto-fioletowe włosy i wystrzępione grzywki zaczesane na bok. I czarne legginsy, a do tego popielate golfy. No i jasnozielone fartuszki. Zegarki też miały jednakowe. I makijaż. I barwę tęczy.

Eliza się zaparła. Cały świat przestał dla niej istnieć. Oczy jej latały od jednej kelnerki do drugiej. Z uporem maniaka porównywała poszczególne części ciała obu dziewczyn i nagle doznała olśnienia. Dostrzegła różnicę – jedna miała długi, zwisający złoty kolczyk w lewym uchu, druga w prawym. Teraz pozostawało tylko dopasować do każdej odpowiednie imię.

– Dostałaś oczopląsu? Od czego, na litość boską? Kawa ci zaszkodziła? – Wyrwał ją z transu wściekły szept Malwiny. – Wyglądasz, jakby ci jakiś stabilizator wysiadł! Zachowuj się, Liza!

– Cicho! – wysyczała, nie odrywając oczu od zagadanych kelnerek. – Zaraz będę wiedziała, która jest która!

Malwina przewróciła oczami, ale mimo woli sama zaczęła nasłuchiwać rozmowy, udając, że kontempluje wiszący na ścianie naprzeciwko mazurski pejzaż. Wcale udany.

– ...za Igorem i panią Joanną – ciągnęła ta z kolczykiem w prawym uchu z wyraźną zazdrością. – Bo Florka to bardziej do pana Tomka się łąsi.

– No i co jej z tego przyszło, Pati? – Druga wyprostowała się ze ściereczką w dłoni i uniosła brwi. – Igor się jakoś nie przejął śmiercią Marleny, to chyba wiele u niego nie wylatała...

Eliza uśmiechnęła się z ulgą i satysfakcją. Już wiedziała! Kolczyk w prawym uchu nosiła Patrycja, w lewym – Roksa.

– Ja na Igora nie lecę – fuknęła Patrycja. – Nie lubię rudych. Choć

słyszałam, jak pani Teresa mówiła do pana Bronka, że Igor to taki więcej nie... niespotykany jest.

– W sensie, że co? – nie rozumiała Roksana.

– W sensie, że ma niebieskie oczy. Że to taki... ewement. Bo normalnie tak nie ma – wyjaśniła Patrycja.

– No. Fakt – przytaknęła po zastanowieniu Roksana. – Pan Bronek ma brązowe. Tyle że on już bardziej łysy niż rudy... Może Igor po matce ma niebieskie. Albo po ojcu.

– Może i tak. – Patrycja westchnęła z niechęcią. – Chodź, zapytamy Kaziowej, czy nie ma jakiej roboty, bo znowu będzie pyskować do Tomanka, że się lenimy...

– Przepraszam, mam pytanie – wtrąciła pośpiesznie Eliza. – Intryguje mnie, dlaczego panie noszą po jednym kolczyku z tej samej pary? To teraz moda taka?

Dziewczyny popatrzyły na siebie i jednocześnie potrząsnęły przecząco głowami.

– Kuzynki jesteśmy – wyjaśniła Roksana. – Nasze mamy to siostry. Bliźniaczki. Te kolczyki to po prababci. Prawdziwe przedwojenne złoto. Najpierw przeszły na babcię, ale że miała dwie córki, to one nosiły na zmianę. Żeby złości nie było. A potem był kłopot, bo każda z nas chciała mieć dla siebie. To podzieliły po jednym. Umówiłyśmy się, że Pati nosi swój w prawym uchu, a ja w lewym. Czasem sobie pożyczamy na imprezę.

– Aha – podsumowała Eliza inteligentnie. – Dziękuję za wyjaśnienie.

– Po co ci ta wiedza? – zainteresowała się złośliwie Malwina, kiedy dziewczyny wyszły.

– Bo lubię wiedzieć – burknęła przyjaciółka. – Nie jestem pewna, czy powinnam podziwiać prostotę pomysłu i poczucie sprawiedliwości rodzinnej, czy może bać się...

– Bać się – przerwała Malwina. – Zdecydowanie bać się. Mam wrażenie, że myślenie naszych rządzących idzie tym samym torem.

– Nie mów do mnie o polityce! – syknęła Eliza. – Nie o tym myślałam! Przyszło mi do głowy, że nigdy nie rozwiążemy tej sprawy. Zaczynam się tu czuć, jakbym z Marsa przyleciała z zepsutą antenką. Nic mi się nie łączy.

– Przestań! – skarciła ją Malwina. – Ludzie wszędzie są tacy sami, jak mawiała Jane Marple... Chodź do pokoju. Przebierzemy się i pójdziemy nad jezioro. Trafię.

– Ale Tomanka gdzieś wcięło. Komu się zameldujemy? – spłoszyła się Eliza.

– Florka siedzi w recepcji. Wpiszemy się do zeszytu. Na wszelki wypadek dopiszę numer komórki. I od razu wklepię u siebie ten do recepcji, bo kto wie, czy nie trafimy na coś ważnego na tym spacerze.

– Po co właściwie idziemy nad to jezioro? – zapytała Eliza, kiedy główną

alejką przecięły park. – Jeśli tam jest komendant, to pewnie na nasz widok ten nos mu w końcu eksploduje.

– Idziemy na spacer – odparła Malwina z naciskiem. – Oficjalnie nic nie wiemy o policyjnych poszukiwaniach. Mam lornetkę. I dużą nadzieję, że znajdziemy jakieś krzaki, w których będziemy mogły się ukryć, żeby oszczędzić komendantowi dodatkowego stresu.

Przeszły obok starej willi i jednocześnie przystanąły, żeby popatrzeć na Krukielkę. W ich nozdrza uderzył zapach butwiejących liści i namokłej ziemi. Panującą wokół ciszę zakłócały jedynie pojedyncze trele ptaków. Po wodzie ślizgały się migotliwe słoneczne refleksy. Dzień był wietrzny, ale pogodny.

– Jaki tu spokój – powiedziała z westchnieniem Eliza. – Jeśli kiedyś wygram w totka albo obrabuję jakiś bank, chętnie przepuszczę tu pieniądze.

– Możesz jeszcze dostać spadek po dalekim bogatym krewnym – podsunęła Malwina.

– Nie mam bogatych krewnych. Ani bliskich, ani dalekich. W dodatku jeszcze tobie wiszę kasę... Ale pomarzyć zawsze można...

– Przestań mi tu jęczeć – zirytowała się Malwina. – Naucz się wreszcie cieszyć tym, co masz, a nie lamentować nad tym, co będzie.

Skręciły w lewo, idąc wzdłuż brzegu rzeczki. Po kilkunastu metrach pochylone nad Krukielką stare olsze zastąpiły zarośla z młodych drzewek. Urwały się nagle w miejscu, w którym rzeczka wpływała do jeziora, przechodząc płynnie w szeleszczące na wietrze trzciny. Zza nich błysnęła rozlana szeroko tafla wody, nad którą latały rybitwy, głośno pokrzykując.

Eliza z fascynacją przyglądała się, jak ptaki pikują ku wodzie i podrywają się błyskawicznie, unosząc w dziobach małe rybki.

– Trafiłyśmy na śniadanie – wyrwało jej się z zachwytem.

– Jakie śniadanie? – Malwina już zdążyła zlokalizować niewielką plażę, drewniany pomost, do którego przywiązana była łódka, i coś w rodzaju szopy; teraz szukała miejsca, w którym mogłyby wszystko obserwować, same nie będąc widziane.

– Ornitologiczne – wyjaśniła Eliza. – Ptaszki się pożywiają. Zobacz sama.

– Nie wiem, czy to akurat powód do radości. Ptaszki mają szybką przelotowość. Jak się pożywią, od razu kupczą. Mam nadzieję, że po śniadaniu znajdą sobie rozrywkę gdzieś dalej od nas. Wolałabym uniknąć takich ozdób na sobie... Ty się nie gap na ptaszki, Liza, tylko patrz, czy tu nie ma jakichś chaszczy, w których mogłybyśmy się schować.

Eliza z żalem oderwała się od kontemplacji dzikiej przyrody i posłusznie rozejrzała się po okolicy. O ile Krukielka od razu wydała jej się przyjazna, o tyle jezioro nieco ją zdeprymowało. Lubiła wodę i nawet nieźle pływała, ale na własny użytek stworzyła zasadę numer jeden, której zawsze ślepo przestrzegała – zanim wejdiesz do nieznanego akwenu, sprawdź jego głębokość. Ołowiane wody Jeziora Ptasiego, pomarszczone drobnymi falami

liżącymi plażę, mimo słonecznej pogody nie wyglądały zachęcająco. Wprawdzie u brzegu było płytko, ale kilka metrów dalej czerniała głębia.

Eliza przesunęła wzrokiem po trzcinowisku z prawej strony i łagodną skarpą zeszła nad jezioro, kierując się ku pomostowi. Wychodził poza nadbrzeżne szuwały. Miała nadzieję, że dzięki temu będzie w stanie wypatrzeć, gdzie policyjni nurkowie prowadzą poszukiwania.

– Nie idź tam! – Zatrzymał ją okrzyk Malwiny. – Zobaczą cię i każą nam się stąd wynosić!

– Mnie może nie zobaczą, ale ciebie na pewno usłyszą. – Eliza obróciła się na pięcie i z naganą spojrzała na przyjaciółkę, która właśnie zamierzała wspomóc się lornetką. – Nie słyszałaś, że głos po wodzie niesie? Całe Mazury postawisz na nogi.

– Całe to może nie. Najwyżej kaczkę się przestraszą, bo tu żerują między trzcinami... Czego się panie obawiają? To teren pensjonatu; mają panie prawo tu być jako goście.

Męski głos, który doskonale obie znały, sprawił, że kraśniczanki wzdrygnęły się jednocześnie i spojrzały w kierunku mówiącego.

Tomasz Tomanek, który właśnie nadjechał rowerem z przeciwnego do trasy ich spaceru kierunku, zatrzymał się na polnej drodze i posłał im życzliwy uśmiech.

– Gdzie pan zniknął z rana? – wyrwało się Malwinie z pretensją, którą od razu usiłowała pokryć słowotokiem. – Wpisałyśmy się do zeszytu. Powiedziałyśmy, że idziemy nad jezioro. I mamy numer telefonu do recepcji, w razie gdybyśmy trafiły na coś podejrzanego. Swój też zostawiłyśmy.

– Na co podejrzanego? – zainteresował się Tomanek i zsiadł z roweru.

– Na cokolwiek – wyjaśniła mało przekonująco Eliza i wbiła w niego wyczekujące spojrzenie. – Gdzie pan był?

– U znajomego skutnika – odparł bez oporów Tomasz. – Z drugiej strony jeziora. Niedługo sezon. Trzeba odświeżyć nasze kajaki. Podjechał z przyczepką, we dwóch załadowaliśmy wszystko, ale pochwalił się, że kończy łódź dla klienta i chciałem zobaczyć. Rzeczywiście cacko – westchnął z zazdrością.

– W tej szopie były? Te kajaki? – dopytywała Malwina.

– W tej szopie. A co...?

– To czemu jej pan nie zamknął porządnie? – skarciła go. – Tak się panu śpieszyło do tej łodzi?

Eliza natychmiast zrezygnowała z konwersacji i pomknęła ku szopie, by sprawdzić, co przyjaciółkę tak zbulwersowało. Drzwi były niedomknięte, nie dostrzegła na nich żadnej kłódki. Drewniany skobel dyndał swobodnie.

Obeszła szopę naokoło, zajrzała do środka przez małe okienko, ale niewiele zobaczyła, bo było straszliwie brudne. Pośpiesznie wygrzebała z torebki chusteczkę higieniczną i wróciła do drzwi. Zanim ktokolwiek zdążył ją powstrzymać, chwyciła skobel przez chusteczkę i pociągnęła ku sobie,

wstrzymując oddech z przejęcia.

Tomasz krzyknął ostrzegawczo, porzucił rower na drodze i pognął ku Elizie. Odsunął ją stanowczo od drzwi szopy i ostrożnie zajrzał do środka.

– Jest samochód Joanny? – wysapała z nadzieją Malwina, dobiegając do nich.

Eliza pokręciła przecząco głową i spojrzała na Tomasza, który stał w wejściu i lustrował zawartość szopy.

– To zamknął pan wcześniej czy nie? – zapytała, odrywając go od kontemplacji.

– Zamknąłem – stwierdził krótko. – Na kłódkę. Ktoś musiał...

– Nie włamał się – oświadczyła bezlitośnie Eliza. – Skobel nie jest wyłamany. Otworzył, a kłódkę zabrał ze sobą albo wrzucił do wody. Po co? Co tu w ogóle było?

Tomanek wzruszył ramionami, nie odrywając oczu od wnętrza szopy.

– Kajaki i wiosła zabraliśmy wcześniej. Niczego nie brakowało. Wędki, widzę, też stoją. Wiosła do łódki tam w kącie... Niczego nie zabrał...

– To znaczy, że nie włamywał się, żeby ukraść, tylko żeby coś podrzucić – oznajmiła autorytatywnie Malwina. – Bo nie uwierzę, że akurat dzisiaj zamarzyła mu się przejażdżka kajakiem.

Rozejrzała się na wszystkie strony, zamarkowała ruch, jakby chciała coś wyrzucić, zastanowiła się chwilę, po czym z lornetką przy oczach podeszła ku szuwarom.

– Trzeba zawiadomić komendanta – odpowiedziała Eliza. – Bo potem będzie na pana... Chyba że od razu przeszukamy szopę i sprawdzimy, czy czegoś nie przybyło.

– Nie ma mowy! – spłoszył się Tomasz. – To znaczy, zawiadomić tak, ale poszukiwania absolutnie... – urwał i poderwał głowę, bo usłyszał rżenie motoru, dźwięk doskonale znany wszystkim mieszkańcom Krukielnik.

– Nadchodzą... A, nie. Nadjeżdżają kłopoty – stwierdziła z westchnieniem Eliza na widok komendanta, który zsiadł z motoru i pośpiesznie zmierzał ku nim. Jego nos był nieco zaczerwieniony, ale miała nadzieję, że winę za to ponosił wiatr.

– Co się dzieje? – Alfred Bryzgul rzucił Tomaszowi niespokojne spojrzenie i omiótł wzrokiem okolicę. – Dzień dobry, paniom... Ktoś mi doniósł, że mieliście tu włamanie. Prawda to? Do ciebie też dzwonił, Tomek?

– Kto? – Tomanek uniósł brwi.

– Anonim. – Komendant wzruszył ramionami. – Powiedział swoje i rozłączył się, zanim zdążyłem zareagować. Tyle wiem, że to facet... Do ciebie też dzwonił?

– Nie. Wracalem od Benka Szkutnika i spotkałem panie. To one mi zwróciły uwagę, że jest skobel, a kłódkę zniknęła...

– Jest! – rozdarła się nagle stojąca przy szuwarach Malwina. – Znalazłam! Nawet do wody nie wpadła! Powinny być ślady! To jakieś gniazdo chyba!

Puste, tylko ta...

– Nie wrzeszcz tak, bo może on tu gdzieś się czai i podsłuchuje – zwróciła jej uwagę Eliza i popatrzyła z nadzieją na obu mężczyzn. – Ma któryś z panów przy sobie torebkę? Papierową albo foliową, wszystko jedno. Dowód trzeba zabezpieczyć, żeby śladów nie zatrzeć, bo potem laborato...

– Zaraz! – przerwał komendant, ocknąwszy się z zaskoczenia, i spojrzał na nią podejrzliwie. – Kim panie właściwie są? Skąd panie mają taką...

– Niech pan nie traci na nas czasu – powiedziała niecierpliwie Malwina i pokiwała dłonią na milczącego Tomanka. – Panie Tomku, pan wydłubie tę kłódkę, bo ja nie sięgnę, a do wody nie wejść. Pijawek się boję... Panie komendancie, mój zięć pracuje w policji. W Kraśniku. Nasłuchiwałam się niejednego. A poza tym obie mamy taką śmieszną fanaberię – uważamy, że każde draństwo zasługuje na karę...

– Pierwszej nieboszczki w ogóle nie znałyśmy – włączyła się do dyskursu Eliza w obawie, by przyjaciółce nie wyrwało się coś, co urazi tutejszego przedstawiciela prawa – ale śmierć Józefiny osobiście nas dotknęła, bo przecież mogłyśmy u niej mieszkać...

– Zabicie Marleny też nam nie przypadło do gustu – uzupełniła gorliwie Malwina, która błyskawicznie rozszyfrowała jej intencje. – Nie znamy tu nikogo, ale staramy się zebrać jak najwięcej informacji. Mieszkamy w pensjonacie. Wolałybyśmy wiedzieć, kogo powinniśmy się wystrzeżać.

– Weź tę kłódkę, Fred. – Tomanek podał komendantowi foliową torebkę, w którą zapakował znalezisko wskazane przez Malwinę. – Sprawdźmy od razu szopę. Panie sugerują, że nie chodziło o kradzież, tylko o podrzucenie czegoś. Zdaje się, że miały nadzieję na znalezienie tu samochodu Stompki. – Uśmiechnął się z lekką kpina.

Obaj mężczyźni weszli do środka, zaś kraśniczanki spojrzały na siebie i zakotwiczyły przed drzwiami. W duchu zanosiły modły, by ich sugestia okazała się prawdą i sprawiła, że dowiedzą się czegoś, co pozwoli im trafić na trop nieuchwytnego bergamotka. Okrzyk wydany przez Tomasza niemal pozbawił je tchu.

– Ha! Torebka Joanny! Po to tu przyszedł!

Malwina natychmiast trzęsącymi się z emocji rękami wyszarpnęła z kieszeni dużą plastikową reklamówkę i zamachała nią w szeroko rozwartych drzwiach.

– Pan bierze, panie Tomanek! Czyściutka, nieużywana! Zawsze ze sobą noszę na wszelki wypadek!

Komendant podskoczył, wydarł jej torbę z rąk i podetknął Tomaszowi, który ostrożnie umieścił w niej znalezisko, starając się go nie dotykać.

Przeszukali całą szopę, ale niczego więcej nie znaleźli. Malwina i Eliza wreszcie były w swoim żywiole. Nie dość, że wykazały się przed nieprzystępnym komendantem, to coś im podszeptywało, że efekty ich spaceru mogą stać się przełomem w śledztwie.

– Wiesz, co ja myślę, Tomek? – Bryzgul podrapał się po nosie, który tym razem poczerwieniał z ekscytacji. – Że ktoś próbuje cię wrobić. Masz jakiegoś kandydata? Laboratorium potwierdzi, ale sam widzę, że kłódka została normalnie otwarta. Czyli żadnego włamania nie było. Kto miał dostęp do kluczy?

– Ja i pan Broniek – odparł zamyślony Tomanek. – Tyle to i ja widzę. Tylko nie wiem, po co... Chociaż... Coś mi się kluje...

– Kim pan właściwie jest? – nie wytrzymała Malwina. – Po tym znalezisku komendant powinien pana wsadzić do ciupy na czterdzieści osiem godzin jako najbardziej podejrzanego, a wy tu sobie konwersujecie... Jest pan z policji czy z CBS?

Alfred Bryzgul przewrócił oczami i jęknął.

– Panie się filmów kryminalnych naoglądały? To już społeczeństwo nie może współpracować z policją?

– Niech pan nam tu nie wciska kitu – powiedziała sucho Eliza. – Nawet temu kawałkowi społeczeństwa, które współpracuje z policją, nie udostępnia się materiałów ze śledztwa. Coś o tym wiemy. A pan Tomek był przy ekipie technicznej, a potem razem z panem przy przesłuchaniach. Niby z boku, niby do pomocy, żeby się przesłuchiwanie nie stresowali, ale jakoś nas to nie przekonało... A przez chwilę nawet go podejrzewałyśmy o paskudne rzeczy – przyznała szczerze.

– Dlaczego? – zainteresował się Tomanek, który słuchał z uwagą.

– Bo był pan jedyną osobą, która wiedziała, że pokój Joanny będzie pusty, i mógł pan mieć nadzieję, że uda się panu pozbyć ciała następnej nocy – wyjaśniła Malwina.

– Wtedy nie wpuściłbym dziewczyn do sprzątnia – zauważył Tomasz logicznie. – I nie dopuściłbym, żeby panie zajęły ten pokój.

– Też na to wpadłyśmy. – Eliza pokiwała głową. – I zrozumieliśmy, że jeszcze jedna osoba wiedziała o tym niby wyjeździe Joanny. Zabójca. Może nawet sam ją do tego namówił.

Alfred Bryzgul z lekką zgrozą spozierał na zadowolone z siebie kraśniczanki, ale Tomanek uśmiechnął się życzliwie.

– Niech się pan dobrze zastanowi, kto pana tak nie lubi – zasugerowała Malwina i nagle znieruchomiała, a oczy jej błysnęły. – Zaraz, zaraz... – Zawiesiła wzrok na komendancie. – Co was tak naszło na przeszukiwanie jeziora? Też jakiś anonim podpowiedział? Bo mnie się widzi, że dziś to nie żaden problem pozbyć się trefnego samochodu. Wystarczy mieć odpowiednie znajomości. Po co dokładać sobie roboty i go utykać w jeziorze? Zawsze ktoś może zobaczyć... Znaleźliście chociaż coś?

Nos Alfreda Bryzgula błyskawicznie przybrał barwę strażackiej czerwieni.

– Kim wy, do diabła, jesteście?! – wybuchnął komendant.

– Myślącymi kobietami – odparła Malwina zgryźliwie. – Zapewniam pana, że takie zjawisko istnieje w przyrodzie. – Wyszarpnęła z kieszeni kurtki



smartfona, znalazła w nim to, czego szukała, i podetknęła telefon Bryzgulowi. – Proszę uprzejmie. Kraśnicka policja już doceniła naszą pomoc, więc i pan może przyjąć, że stoimy po właściwej stronie.

Tomasz Tomanek przysunął się do komendanta i zagwizdał z uznaniem, zobaczywszy zdjęcie policyjnego dyplomu z podziękowaniem. Spojrzał na napuszoną wyniośle Malwinę i złożył jej żartobliwy ukłon.

– A pan niech się tu nie wygłupia, tylko zastanowi, dlaczego Igor zrobił tę podrzutkę – skarciła go Eliza, zła na siebie, że nie przyszło jej do głowy, by uwiecznić własny dyplom. – No co? – zirytowała się, widząc minę Bryzgula. – Że on specjalną sympatią pana Tomka nie darzy, to widać. Pewnie jest zły, że to jemu Michotek zlecił nadzór nad pensjonatem. Ale jeśli to rzeczywiście torebka Joanny... – Pokręciła głową. – Skąd ją miał? Znalazł czy to on zabił?

– Zaraz, zaraz! – zaktywizował się zdenerwowany komendant. – Panie jakoś dziwnie dużo wie, chociaż nietutejsze... Od prowadzenia śledztwa ja tu jestem! I przez cały czas działałem, choć może niektórym się wydaje, że nie! To jest grubsza sprawa, o której panie nie mają pojęcia! Możecie mi sparać całą robotę!

– Jagodziński, tak? – Malwina wzruszyła ramionami, widząc, że nos Bryzgula poczerwieniał jeszcze bardziej, chociaż wydawało się to niemożliwe, a jego właściciel wyglądał, jakby za chwilę miał dostać zawału. – Już o nim to i owo słyszałyśmy. Też go nie lubimy, ale do mokrej roboty nam nie pasuje. Chyba że ma tu na miejscu wykonawcę... Panie komendancie, niech pan się tak nie zapowietrza, bo panu żyłka pęknie. My po prostu umiemy zadawać właściwe pytania, słuchać i wyciągać wnioski...

– I jesteśmy sympatyczne – dołożyła pośpiesznie Eliza. – Ozorami też nie chlapiemy.

Tomasz Tomanek pokręcił głową, spojrzął na komendanta i westchnął.

– Ja bym poszedł na układ – powiedział, tłumiąc śmiech. – Panie chyba rzeczywiście sporo się napracowały. Chętnie skorzystam z ich wiedzy. Ten dzisiejszy incydent dał mi do myślenia i już zdążyłem wyciągnąć wnioski. Porównamy informacje, a jak coś mi się wyklaruje, to już obaj będziemy wiedzieć, jak to ugryźć, żeby się nie zadławić. Co ty na to, Fred?

Zirytowany komendant przez chwilę sapał ze wzburzenia, łypiąc spode łba na pełne nadziei kraśniczanki. Wreszcie machnął ręką.

– Tylko pamiętaj: twoja w tym głowa, żeby nikt się nie zorientował – przykazał surowo. – Trzy trupy mi wystarczą.

– Żeby się nikt nie zorientował – oświadczyła Malwina, zanim Tomanek zdążył odpowiedzieć – to trzeba, żeby pan Tomek był podejrzany. Niech sobie Igor myśli, że dał się pan nabrać. Może poczuje się bezpieczny i robi coś głupiego.

– Czy panie mają mężów? – wyrwało się komendantowi z mimowolnym współczuciem.

– W zasadzie nie – stwierdziła po zastanowieniu Eliza. – Malwina na pewno, ja jeszcze się zastanawiam. Bo mam, ale czasami wolałabym nie.

Tomanek parsknął śmiechem i poklepał Bryzgula pocieszająco po ramieniu.

– Nie bój się, Fred. Dam sobie radę... Chyba nie muszę mówić, że oficjalnie nie mamy żadnych konszachtów? – Spojrzał na kraśniczanki, które w milczeniu skinęły głowami. – Świetnie. Zatem wracamy osobno, a panie od razu mogą zdać relację ze spotkania z komendantem i dać pozostałym do zrozumienia, że jestem podejrzany o zabójstwo Joanny. Byłbym zainteresowany reakcją poszczególnych osób. Gdyby kogoś interesowało, gdzie jestem, proszę mówić, że komendant mnie zabrał na przesłuchanie. Wrócę za kilka godzin, będę unikał towarzystwa, a po kolacji zajrzę do pań. Możliwe, że nie sam.

Malwina i Eliza, zarumienione z przejęcia, przytaknęły służbowo i potulnie ruszyły w drogę powrotną. Taniec zwycięstwa odpracowały dopiero, kiedy dotarły nad Krukielkę i nabrały pewności, że nikt ich nie obserwuje.

– Ja piernicę, pora umierać – sapnął komendant, kiedy odeszły na tyle daleko, że nie mogły go słyszeć. – Co za straszne baby... Jakim cudem udało im się tyle wywęszyć? Nietutejsze, nikogo tu nie znają...

– Słyszałeś. – Tomasz się uśmiechnął. – Słuchają, myślą i wyciągają wnioski. Muszę przyznać, że całkiem logiczne... Znaleźliście ten samochód?

– Nie. – Głos komendanta był ponury. – Tu też miały rację. Ktoś nas wpuścił w maliny. W miejscu, które anonim wskazał, niczego nie było, a dalsze szukanie już sobie odpuściłem. Dobrze, że znam chłopaków z klubu nurkowego. Potraktowali to jak ćwiczenia. Gdybym ściągnął profesjonalną ekipę, wypominaliby mi wtopę do emerytury... Już miałem wracać, kiedy znowu zadzwonił tajemniczy informator i powiedział o włamaniu. Nie bardzo wierzyłem, ale sprawdzić musiałem... Cholera, jeśli to ten główniarz, posadzę go za wprowadzanie władzy w błąd! – powiedział ze złością.

– Na razie się nie pokazuj w pensjonacie – poradził Tomanek. – Na szpiega byś się nie nadał. Wszystkie emocje po tobie widać... Dobra, zabezpieczę tę szopę, żeby kogoś nie skusiło, i spadamy stąd. Pojadę za tobą rowerem. Gdyby ktoś nas obserwował, pomyśli, że jedziemy na posterunek. Odbiję przy szosie, bo muszę coś sprawdzić. Jak się czegoś dowiem, dam ci znać.

– Szkoda, że... Przydałbyś mi się w policji – westchnął Bryzgul.

– Jest jak jest. Nie żałuj. W razie czego wiesz, gdzie mnie szukać – pocieszył go Tomasz.

– Znaleźć to ja cię znajdę. Ale zapłacić nie będę miał z czego. Prędzej mi dadzą kasę na pielgrzymkę niż na dobrego informatora... Pieskie czasy...

Jeśli kogokolwiek w pensjonacie zastanawiała nieobecność Tomasza Tomanka, dobrze to ukrywał. Jedynie Nikola Jagodzińska nie miała takich

skrupułów.

– A gdzie Tomek? – zagadnęła Roksanę, która stawiała na stoliku wazę z zupą. – Może by się wreszcie nami zajął? – Popatrzyła z pretensją na pozostałych gości. – Miały być atrakcje i co? – zaśmiała się nieprzyjemnie. – Ten pensjonat powinien się nazywać „Mordownia”, nie „Olszynka”!

– Na twoim miejscu gryzłabym się od czasu do czasu w język – przygadała złośliwie Laura Kawecka. – Sądząc po minie twojego męża, powinnaś się modlić, żeby nie zmienił nazwy na „Otello”. – Rzuciła Jagodzińskiemu zaczepne spojrzenie, ale nie zareagował i zajął się jedzeniem.

– *Рак, рак*, drogie panie! – Seweryn Koziełto uniósł ręce do góry. – Nie psujmy sobie obiadu, bo nam zaszkodzi... Pan Tumanek z pewnością za chwilę się pojawi i postara nam zrekompensować ostatnie... hm... nieprzyjemności.

– Nie jestem pewna, czy da radę. – Eliza wyczuła idealny moment, by zagrać rolę życia. Trąciła pod stołem Malwinę i oznajmiła z ciężkim westchnieniem: – Byłyśmy nad jeziorem na spacerze i widziałyśmy, jak komendant zabiera pana Tomanka na przesłuchanie. Głośno rozmawiali, więc usłyszałyśmy to i owo. W tej szopie z kajakami znaleziono torebkę pani Joanny. Tylko pan Tomek miał tam dostęp, bo pan Michotek jest przecież w szpitalu... Komendant go podejrzewa o...

– To jakaś bzdura! – Klara zerwała się z krzesła, patrząc na Elizę roziskrzonymi z oburzenia oczami.

Zaskoczona Eliza zastygła z otwartymi ustami, wpatrując się w nią z niedowierzaniem. W oczach Teresy Zaborskiej mignęło wyraźne oczekiwanie, kiedy wbiła wzrok w rozemocjonowaną dziewczynę, a na obliczu Koziełty pojawiła się niezrozumiała nadzieja. Malwina chłonęła wszystko i usiłowała jak najwięcej zapamiętać. Złośliwą satysfakcją zaprezentowała tylko jedna osoba, ale zaraz zamieniła ją na obłudne zdziwienie.

– Ależ moja droga Klaro, opanuj się. – W głosie Seweryna Koziełty dźwięczała nagana i dziewczyna opadła na krzesło, próbując się uspokoić.

– Przepraszam państwa – wyjąkała, wbijając wzrok w talerz przed sobą z takim wyrazem twarzy, jakby podano jej truciznę.

Malwina dojrzała, jak na obliczach Zaborskiej i Koziełty rozlewa się rozczarowanie. Spojrzeli na siebie i jednocześnie westchnęli.

– Wietrzę kłopoty – zajęczał w zapadłej nagle ciszy Igor. – Tomek ma wszystkie klucze. Gabinet dziadka jest zamknięty. Chyba będę musiał wyważyć drzwi...

– Zanim zaczniesz pan demolować pensjonat dziadka, radzę się dobrze zastanowić – powiedziała Malwina, usiłując ukryć niechęć, jaką chłopak w niej budził. – Pan Tomek może jednak lada chwila wrócić. Podejrzenia to jeszcze nie oskarżenie. Pan Tomanek jest przesłuchiwany. Nie wiemy przecież, co powiedział komendantowi. Może udowodnił, że jest niewinny.

Klara znad talerza rzuciła jej dziękczynne spojrzenie, a Igor z trudem ukrył złość. Laura Kawecka przyglądała się dziewczynie, jakby coś ją zaskoczyło. Jagodziński wydawał się nie zwracać uwagi na to, co się wokół dzieje, ale jego żona wydeła usta, patrząc na Klarę pogardliwie.

Reszta posiłku upłynęła w milczeniu. Tomasz Tomanek się nie pokazał, choć Klara i Igor co jakiś czas spoglądali ukradkiem na drzwi.

Zadowolona z siebie Eliza ze smakiem pałaszowała popisowe dzyndzałki Kaziowej. Najwidoczniej poranny incydent i spacer pobudziły jej apetyt, bo pierogi z kaszą i skwarkami smakowały jej jak ambrozja. Malwina nie bardzo wiedziała, co konsumuje, ponieważ przez cały czas usiłowała zrozumieć, co się kryje za tą skomplikowaną mimiką prezentowaną przez gości.

Lucjan Jagodziński zaraz po obiedzie zniknął w swoim pokoju. Nikola narzuciła puchową kurtkę i sucho oznajmiła towarzystwu, że idzie do parku. Klara cichutko wymknęła się do siebie. Seweryn Kozięłto zaprosił Teresę Zaborską na pogawędkę przy kieliszku gęlogowej nalewki produkcji Kaziowej. Na moment zajrzeli do kuchni, po czym poszli do jego pokoju.

Igor przez chwilę bawił się bezmyślnie widelcem, jakby nie wiedział, co ze sobą zrobić. Na dźwięk SMS-a drgnął, brzęknął sztucem o talerz i nerwowo wyciągnął komórkę z kieszeni. Spojrzał na ekran, mruknął na pożegnanie coś niezrozumiałego i pośpiesznie wyszedł.

W jadalni pozostały tylko obie kraśniczanki, zamyślona Laura Kawecka i kelnerki, które wcześniej zaniósły obiad siedzącej w recepcji Florce, a teraz same się pożywiały przy jednym ze stolików. Po chwili dosiadła się do nich Kaziowa ze swoją ulubioną herbatką „na spokojność”.

– Bidny pan Tomuś, głodny będzie. – Pokręciła głową z macierzyńską troską. – Nie ma sumienia Bryzgul, że tyle czasu go trzyma. Niech mi się ino pokaże, to już mu do uszu nakładę! – Siorbnęła głośno, spojrzała na siedzące obok dziewczyny i uśmiechnęła się chytrze. – Ja tego naszego nieboraka odkarmię, jak wróci. Dzyndzałki trzymam w piecyku, żeby nie wystygły. Pewnie głodny będzie jak wilk...

– A jak nie wróci? – Głos Patrycji był ponury. – Myśli Kaziowa, że to on... że panią Joannę i Marlenę...

– W imię Ojca i Syna! – Kucharka przeżegnała się ze zgrozą, o mały włos nie strącając kubka z naparem. – Blekotu się opić, dziewczyno?! Pan Tomek muchy by nie skrzywdził! Już zapomniłaś, jak się opiekował Michotkiem, kiedy stary grypę złapał? Rudzielca gdzie nosiło, a ten go położył na górze w swoim pokoju i w nocy wstawał, żeby leki podać! Złego słowa na chłopaka nie dam powiedzieć...! Zamiast języki strzępić, jedzcie szybko i sprzątnijcie ze stołów. Oliwka już szykuje podwieczorek...

Laura Kawecka ocknęła się z zadumy, zrobiła minę, jakby właśnie podjęła jakąś decyzję, wstała i podeszła do stolika, przy którym siedziały kraśniczanki.

– Mogę? – Nie czekając na odpowiedź, przysiadła na wolnym krześle i pochyliła się ku zaintrygowanym przyjaciółkom. – Komendant naprawdę uważa, że Tomanek ma coś wspólnego ze śmiercią Joanny? – zapytała ściszym głosem.

– Może i nie uważa, ale przepytac musi. – Eliza wzruszyła ramionami. – Torebka nieboszczki sama do szopy nie zawędrowała. A pan Tomek ma klucze.

– Wiem, ale... Tomanek? – Laura uniosła sceptycznie brwi. – Nie miał żadnego powodu. Nie zdziwiłabym się, gdyby ukatrupił Nikolę, bo zawracała mu głowę przy każdej okazji. Po tym, jak jej się udało upolować Jagodzińskiego, chyba uznała, że żaden jej się nie oprze. No i pewnie się tu nudziła, bo małżonek znikał na całe dni... Jezu, czaiła się na tego nieszczęsnego Tomka od samego rana. – Skrzywiła się wymownie. – Spacerzy na nim wymuszała. Aż go w końcu stary Michotek objechał. Pewnie mu Igorek doniósł. Wnusio liczył, że tu od razu będzie panem na włościach, a dziadek go posadził w recepcji. – Wydęła pogardliwie usta.

– A on od dawna tu jest? – zapytała Malwina.

– Kto? Igor? Od czterech miesięcy ledwo – prychnęła Laura. – Nie ma pojęcia o prowadzeniu pensjonatu. Dopiero się uczy. Tomanek to co innego. Aśka mówiła, że ktoś go polecił jako fachowca, bo Michotek nie dawał sobie rady z remontem... Ciekawe... – Zamyśliła się nagle. – Wcześniej wszystko szło jak po maśle. Budynek postawili błyskawicznie. Aśka liczyła, że już na sylwestra ruszy piętro, gości będzie dużo, odpowiednio ustawionych i znajdzie sobie jakiegoś sponsora, a tu... Tak sobie myślę, że schody się zaczęły od połowy zeszłego roku – mówiła powoli, jakby uważała na każde słowo. – Otwarcie miało być w sezonie letnim. A tu kłapa – Tomanek się wściekał, że ktoś im ekipę podkupił... Mnie wtedy nie było; Aśka mi opowiadała. Podobno Jagodziński się przymierzał na wspólnika, ale Michotek nie był chętny. I tak sobie myślę – oczy jej błysnęły – że może te kłopoty to jego sprawa. Lucjana. Bo w Warszawie chodzą słuchy, że on czasem korzysta z argumentów siłowych.

– Myśli pani, że to Jagodziński stoi za tymi zabójstwami? – zapytała cicho Eliza.

Kawecka odczekała, aż kelnerki zbiorą talerze i wyjdą do kuchni. Wzruszyła ramionami, strzeliła oczami na boki i ostrożnie powiedziała:

– Nie wiem. Ale jestem pewna, że Tomanek jest niewinny. Nie widzę żadnego powodu, dla którego miałyby zabijać. Wszyscy go bardzo lubią... No, ten stary tetryk mu dokucza, ale u niego to norma. W tym swoim subtelnym szlacheckim stylu każdemu potrafi wbić szpilę. Na miejscu Klary już bym go chyba zabiła. Ale ona chyba... A, nieważne. – Machnęła ręką i wstała. – Idę do siebie. Tu nie wolno palić, bo Kaziowa dostaje szału. Puszczę sobie dymka na tarasie...

– Jak myślisz, co ona właściwie chciała nam powiedzieć? – Eliza rzuciła

przyjaciółce pytające spojrzenie, kiedy Kawecka wyszła z opustoszałej jadalni. – Ba ja się waham...

– Ja też. – Malwina wstała. – Nie wiem, czy bardziej jej chodziło o podkreślenie niewinności Tomanka, czy o obciążenie Jagodzińskiego... Chodź, popracujemy trochę. Musimy jakoś poskładać to, czego się dowiedziałyśmy, żeby się wieczorem wykazać...

Nikola Jagodzińska snuła się bez celu po parku rozżalona i nabuzowana pretensjami do całego świata. Miała dość tej cholernej „Olszynki” i całego towarzystwa. Małżeństwa też miała dość. Nie tak je sobie wyobrażała. Pieniądze małżonka miały ułatwić jej życie. Pozwolić kupować najmodniejsze ciuchy, bywać w najlepszych salonach fryzjerskich, dbać o ciało w modnych spa, jeździć do znanych kurortów, obracać się w towarzystwie znanym z pierwszych stron brukowców... No, owszem. Mieszkała w ogromnym domu z basenem, siłownią, kortami i ogrodem jak z bajki. Nic nie musiała robić. Od tego była gosposia, kucharka, firma sprzątająca. Miała własny samochód i najnowszy model smartfona. Wszelkie rachunki płacił mąż. I na tym w zasadzie kończyły się plusy. Na pierwszej imprezie, na którą oboje byli zaproszeni, zrobiła awanturę jakiemuś obleśnemu, pijanemu ramolowi, który ją bezczelnie podszczypywał, i na tym się jej przygoda z wielkim światem skończyła. Od tej pory Lucjan wychodził sam, nie informując, dokąd idzie i kiedy wróci. Kiedy wyrzucała mu, że czuje się jak w więzieniu, przydzielił jej ochroniarza i przestało go interesować, jak żona spędza czas. Obowiązywał tylko jeden zakaz – nie wolno jej było zapraszać znajomych do domu, ale to akurat Nikoli nie przeszkadzało. Choć przed przyjaciółkami udawała szczęśliwą, nie znosiła tego domu i starała się spędzać jak najwięcej czasu poza nim. Coraz częściej czuła się jak jeszcze jeden element jego wyposażenia. Odwieczna prawda, że pieniądze szczęścia nie dają, zawsze ją wkurzała. I wciąż uważała ją za bzdurę. Pieniądze dają szczęście, pod warunkiem że się je ma. W przypadku Nikoli ich posiadaczem był małżonek i potrafił jej to dać do zrozumienia.

To nie był pierwszy pobyt Nikoli w „Olszynie”, ale za każdym razem przyjeżdżała tu z niechęcią. Nie potrafiła polubić ani miejsca, ani tutejszego towarzystwa. Czuła się wśród tych ludzi obco. Miała wrażenie, że jej nie akceptują. Mało – że nią gardzą. Nawet codzienne rozmowy wykluczały ją z ich kręgu. Czuła się głupsza i ta świadomość wywoływała agresję, którą jeszcze wzmagała wszechobecna nuda. Jediną osobą, która wydawała się akceptować ją taką, jaką jest, był Tomasz Tomanek. Dlatego tak chętnie szukała jego towarzystwa.

Od strony jeziora zawiąło mocniej i Nikola pożałowała, że nie wróciła do pokoju po krótkie futerko z kapturem. Niecierpliwie odgarnęła długie ciemne włosy i skręciła w malutki labirynt uformowany z młodej grabiny. Tomek przytaszczył tam kiedyś dwa pniaki, na których można było usiąść,

a przy okazji schronić się przed wiatrem. I popłakać. Bo właśnie do niej dotarło, że tak prawdopodobnie będzie wyglądało całe jej małżeńskie życie. Chyba że Jagodziński zdecyduje się na kolejny rozwód.

Od alejki dobiegł chrzęst żwiru pod czyimiś butami. Ktoś się zbliżał. Nikola szybko przycupnęła na pniaku z nadzieją, że intruz jej nie zauważy. Nie miała ochoty na żadne towarzystwo. Łzy rozmazały jej makijaż i spływały po twarzy ciemnymi kroplami.

Kroki ucichły gdzieś w pobliżu i Nikola skuliła się na swoim pniaku. Niemal przestała oddychać, zanosząc w duchu modły, by nie odkryto jej obecności. Przerazała ją myśl, że ktokolwiek zobaczy ją w takim stanie. Odczułaby to jak ostateczne upokorzenie. Zastygła w bezruchu. Poszedł czy stanął gdzieś w pobliżu?

Kolejny odgłos naprowadził ją na trop – intruz wszedł do plecionej z wikliny altany, która znajdowała się obok labiryntu. Po chwili usłyszała trzask zapalniczki i odetchnęła z ulgą. Ostrożnie wygrzebała z kieszeni kurtki paczkę nawilżających chusteczek oraz lusterko, z którym nigdy się nie rozstawała, po czym przystąpiła do usuwania śladów swojego nastroju.

Odgłos kolejnych kroków ponownie ją przestraszył. Znieruchomiała i zaczęła nasłuchiwać. Kolejny spacerowicz wszedł do altany i niemal natychmiast Nikola usłyszała doskonale sobie znany głos:

– Po cholereę podrzuciłeś tę torebkę?! – Mówiącego wyraźnie rozszadzała wściekłość, choć starał się ją tłumić. – Bryzgul znowu zaczniesz tu plątać, a ja mam transport na głowie! Ty w ogóle umiesz myśleć, idioto?! Mówiłem, żebyś siedział na dupie! Chcesz się wykazać? To wreszcie wyeliminuj starego! Dość mam jego uporu!

– Ale jak? – W głosie Igora dało się wyczuć popłoch. – W szpitalu leży!

– Odwiedzasz go? Odwiedzasz! Podmienisz tabletki i stary zejdzie. Nikt nie będzie sprawdzał. Na serce leży... Dziś odbieram towar. Nie będzie mnie do wieczora. Jutro rano masz to załatwić. Nowy wspólnik nie będzie dłużej czekał. Trasę mamy zaplanowaną. Ten dom jest mi potrzebny. Jak chcesz zarobić, to się śpiesz, bo czas to pieniądz!

– Ale to szpital! – jęknął Igor. – Ciągle ktoś do starego zagląda! Co ja? Magik jestem?

– Nie obchodzi mnie, jak to zrobisz. – Głos Lucjana Jagodzińskiego był zimny. – Ten dom jest mi potrzebny – powtórzył. – O siebie umiałeś zadbać. To mnie nie interesuje. Płacę ci za to, żebyś dbał o moje interesy. Moje! Rozumiesz...? No. A teraz znikaj stąd, zanim ktoś nas zobaczy.

Struchlała Nikola prawie na bezdechu odczekała, aż ucichną pośpieszne kroki Igora. Miała nadzieję, że równie szybko oddali się jej małżonek, ale do jej uszu dotarł znowu jego głos. Mówił w jakimś zupełnie jej nieznanym języku i niczego nie rozumiała. Zresztą i tak w głowie miała pustkę.

Nikola ocknęła się z otępienia dopiero, gdy usłyszała, że Jagodziński odchodzi. W dalszym ciągu siedziała na pniaku z chusteczką w jednej ręce

i lusterkiem w drugiej, kiedy nagle do niej dotarło, CO usłyszała. Lusterko wyślizgnęło jej się z palców i spadło na ziemię. Podniosła je szybko i jęknęła. Było pęknięte.

– Siedem lat nieszczęścia – wymamrotała z rozgoryczeniem. – Co teraz? Co robić? Może ja źle zrozumiałam i oni wcale nie mówili o Michotku? Co mnie obchodzi jakiś nieznaną człowiek...? A jak go Igor... Tego Michotka... Na policję nie pójdę, nie ma mowy. Lucjan się dowie i będzie po mnie... A jak Michotka... Zadzwoń? Do kogo? Do Tomka? On też podejrzany. Te dwie jędze mówiły... Zaraz! Gdzieś chyba muszę mieć... Cholera! Nie wzięłam torebki...! Portfel! Portfel przełożyłam rano, żeby nie szukać, bo Lucjan... Może tam! – Gorączkowo zaczęła przeszukiwać kieszenie kurtki. Portfel znalazła w wewnętrznej. Wyjęła go i zajrzała do przegródek. – Jest! – Z napięciem wpatrywała się w kartkę z ręcznie wypisanym numerem komórki komendanta. Po zabójstwie Joanny rozdał je wszystkim gościom i pracownikom „Olszynki” z nakazem, by kontaktowali się z nim, jeśli tylko coś im się przypomni lub ich zaniepokoi. Obróciła ją niepewnie w palcach. – Trzeba chyba jakoś szybko. Żeby nie zdążyli wyłapać numeru... Jezu, co ja mam powiedzieć?! – Przygryzła wargę. – Dobra. Zaryzykuję. Może i jestem głupia, ale sumienie mam... – Wzięła głęboki oddech, drżącym palcem wpisała numer w swoim smartfonie i, kiedy tylko usłyszała, że ktoś odebrał, wyrzuciła z siebie, przytomnie usiłując zmienić głos: – Pilnujcie starego Michotka! Ktoś chce go zabić! – Po czym błyskawicznie się rozłączyła i dopiero wtedy poczuła, że cała dygocze.

– To już niczego się dziś od Tomanka nie dowiemy. Jak do tej pory nie przyszedł... Jutro musimy go przydybać i wyciągnąć z niego, ile się da... Nie masz wrażenia, że tu się dzieje coś bardzo dziwnego? Tak jakoś... Coraz bardziej się dzieje? – Wygodnie rozłożona na łóżku Eliza spojrzała pytająco na przyjaciółkę.

– Mam wrażenie, że tu się dzieje samo dziwne – stwierdziła sucho Malwina i umościła się obok. – Masz na myśli coś konkretnego?

– Mam na myśli wszystko... Coś zwróciło twoją uwagę przy kolacji?

– Owszem. Wszyscy zachowywali się, jakby brali udział w stypie. – Malwina wbiła wzrok w szafę po nieboszczce, jakby tam szukała natchnienia. – Znaczą: ci, co zostali – uściśliła. – Kaziowa chyba wymówienie złoży. Konsumenci bezczelnie lekceważą pory posiłków i jeszcze pyskują, że głodni.

– Nie, no, Tomanek nie pyskował, tylko się usprawiedliwił – przypomniała Eliza. – Że musiał coś ważnego załatwić i dlatego nie zdążył... Dziwny był już podwieczorek...

– Zgadza się – weszła jej w słowo Malwina. – Jagodziński w ogóle olał jedzenie i...

– Kolację też olał – przerwała Eliza.

– ...i zniknął. Nikola wyglądała, jakby jej ktoś odłączył zasilanie, a Igorowi



łapy latały...

– A prawie zszedł, kiedy w drzwiach stanął Tomanek – podchwyciła Eliza.  
– Widocznie miał nadzieję, że jednak nieboraka zamkną... To westchnienie ulgi, jakie wydała z siebie Klara, prawie zdmuchnęło serwetki ze stolików. Chyba ona jedna naprawdę ucieszyła się z jego powrotu... A potem zaczęło się to dziwne. – Zmarszczyła brwi. – Zaborska dostała SMS-a, przeczytała, zbladła jak ściana, zerwała się od stolika, złapała Tomanka jeszcze w drzwiach i wywlokła ze sobą. Widziałam przez okno, jak razem odjeżdżali jej samochodem. Jak myślisz? Dokąd pojechali?

– Obstawiam szpital. Już zdążyłam to przemyśleć – stwierdziła autorytatywnie Malwina. – Może Michotkowi się pogorszyło. Myślę, że nic innego tak by Zaborskiej nie trzasnęło. Patrzyłam na nią akurat. Wyglądała, jakby jej się świat zawalił. Coś mi się zdaje, że ona i Michotek... Pamiętasz, jak mówiła o starości? „Olszynka” to chyba dla niej coś więcej niż spokojna przystań...

– Też mi patrzy na to, że Michotek stanowi dla niej sens życia – zgodziła się Eliza i westchnęła. – Nie mam zdania co do Michotka, ale Zaborską polubiłam. I mam nadzieję, że nie utłukła jego małżonki, żeby zrobić miejsce dla siebie.

– Nie. W niej siedzi taki prawdziwy lekarz z powołania. Widziałam, jak się pchała do naszej osobistej nieboszczki. To był odruch... A to drugie dziwne to Nikola. – Malwina zmarszczyła brwi. – Krzywdy fizycznej nie doznała, bo byłoby widać, ale coś ją gryzie i prawie słyhać, jak ciamka. Na kolacji zachowywała się jak klon Klary.

– Może Jagodziński znęca się nad nią psychicznie? – podsunęła Eliza.

– Nie wydaje mi się. – Malwina pokręciła głową. – Nie musi. Po mojemu to ona go kompletnie nie obchodzi.

– To po co się z nią żenił?

– Tego nie zgadnę. Może lubi ładne i głupiutkie? Bo kłopotu nie sprawiają?

– Nie zgadzam się – zaprotestowała Eliza. – Głupota jest zawsze kłopotliwa, bo nigdy nie wiadomo, w czym i kiedy się objawi.

– Odczep się od głupoty. Mnie bardziej interesuje, skąd rudzielec miał torebkę naszej nieboszczki...

– A skąd wiesz, że to on ją podrzucił? To mógł być każdy.

– Nie każdy. Słyszałaś, co Tomanek mówił. I sama widziałaś, że to nie było włamanie. Klucze miał tylko Tomanek i stary Michotek. Igor na pewno miał do nich dostęp.

– Mógł komuś przekazać – sprzeciwiła się Eliza dla zasady. – Na przykład Jagodzińskiemu.

– Po co? – Malwina spojrzała na nią z wyraźnym powątpiewaniem. – Uważasz, że to Jagodziński utłukł Joannę?

– Bo... Uważam! Znała go wcześniej i nawet miała plany co do niego. Jak

ją zlekceważył, chciała się odegrać. Czegoś się dowiedziała o tych jego szemranych biznesach, zażądała kasy i wolał ją sprzątnąć!

– Nie wygląda mi na takiego, co brudzi sobie łapy. Prędzej by jej zapłacił, kazał stąd spadać i nastał bandziorów, żeby ją załatwili w drodze powrotnej. Wypadek samochodowy i sprawa załatwiona... Mnie się wydaje, że on coś kombinuje tu na miejscu i dodatkowa publiczność mu niepotrzebna.

– A dlaczego tak ci się wydaje? – Eliza popatrzyła ze zdziwieniem na przyjaciółkę.

– Bo słucham, patrzę i wyciągam wnioski. Odkąd tu jesteśmy, Jagodziński ciągle gdzieś znika. Sam. Nikołą zostawia w pensjonacie. Czyli gdzieś w pobliżu prowadzi biznesy albo nadzoruje ich przebieg... To jeden wniosek.

– Malwina zagięła palec. – A Zaborska i stary ramol mówili, że ten mafioso bardzo chciał wcisnąć się do spółki i mieć udział w „Olszynce”. Tu jest mnóstwo domów do wynajęcia. Nie pokojów. Domów – podkreśliła. – Miałyby pełną swobodę. Dlaczego wybrał akurat „Olszynkę”?

– Bo zna właściciela od kilku lat. – Eliza wzruszyła ramionami. – I jeszcze kasa by mu się szybko zwróciła.

– Na brak kasy to on chyba nie narzeka – mruknęła kąśliwie Malwina. – „Olszynka” jest na uboczu. Właściwie już za wsią. Nie musi przejeżdżać przez centrum jak na defiladzie. Obejrzałam sobie mapę w Internecie. Tam zaraz jest skrzyżowanie. Może jechać, gdzie chce i nikogo nie zainteresuje jeden samochód więcej. Jest duży ruch, bo to drogi krajowe... Jagodziński mi nie pasuje na zabójcę. Mogę uwierzyć, że Joanna coś o nim wiedziała, ale nie widzę powodu, dla którego miałyby utłuc Marlenę i Józefinę. I to jeszcze na cmentarzu. W środku nocy. Jak wlaźby potem do pokoju?

– Nikola by go wpuściła...

Malwina przewróciła oczami.

– Zapomnij. Nikola jest głupia i on o tym wie. Nie ryzykowałby, że coś jej się wyrwie przy stole... Jagodziński tego nie zrobił.

– No to zostaje tylko... Tomanek i Igor – powiedziała Eliza po namyśle. – Tomanek odpada, bo nie wierzę, że obaj z Bryzgulem kombinują, jak zmniejszy pogłowie tutejszych bab... Igor? Ale dlaczego?

– Igor. Ale nie mam pojęcia, dlaczego. – Malwina westchnęła. – Metoda eliminacji wskazuje na niego... Może za plecami starego Michotka dogadał się z Jagodzińskim? Może Joanna dowiedziała się o tym i zaczęła go szantażować? Może Marlena coś skojarzyła? Podobno snuła się za Joanną jak cień. Mogła coś zobaczyć albo usłyszeć... Nie wiem...

– A Józefina?

– Ciekawość ją zgubiła. Musiała coś zobaczyć przez okno i polazła, gdzie nie powinna.

– Malwina, mnie się to nie klei. – Eliza zmarszczyła brwi. – Jeśli Jagodziński dogadał się z Igorem, to pewnie go uprzedził, że w pensjonacie ma być czysto. On sobie nie podróżuje w ramach rekreacji, tylko pewnie

załatwia te swoje paskudne interesy. Uważasz, że zainteresowanie policji jest mu na rękę?

– No to nie wiem. Nie potrafię wymyślić powodu, dla którego Igor ukatrupił Joannę i Marlenę.

– Czekaj! Bryzgul coś mówił o większej sprawie – przypomniała sobie Eliza. – Że niby możemy mu namieszać w śledztwie... Wiesz co? Nic nie wymyślimy bez dodatkowych informacji. Musimy złapać Tomanka i wydusić z niego, ile się da. Może wtedy zrozumiemy więcej.

## DZIEŃ CZWARTY WIELKI CZWARTEK

Złapanie Tomanka okazało się niewykonalne. Kiedy przyjaciółki zasiadły do śniadania, stwierdziły naocznie, że w jadalni brakuje dwóch osób: Tomasza Tomanka oraz Igora Michotka.

– Pan Tomek znowu siedzi na komendzie – wyjaśniła zagadnięta Teresa Zaborska, która wyglądała, jakby w nocy nie zmrzyła oka. – A Igor pojechał do szpitala odwiedzić dziadka. – Jakiś ponury cień przemknął po jej twarzy. – Nie wiem po co. Mówiłam mu, że Bronia przenieśli na OIOM. Tam nie ma odwiedzin.

– Pogorszyło mu się? – Eliza spojrzała na nią ze współczuciem.

– Wyjdzie z tego – oznajmiła lekarka z przekonaniem. – W Giżycku pracują świetni fachowcy. No i ja sama przypilnuję.

– Proszę w naszym imieniu życzyć panu Michotkowi szybkiego powrotu do zdrowia – odezwała się półgłosem Malwina i posłała jej porozumiewawczy uśmiech. – Pani Tereso, powinna się tu pani zainstalować na pełny etat. Chorzy mężczyźni są jak dzieci. Trzeba ich na każdym kroku pilnować. A i w pensjonacie przydałby się lekarz.

Zaborska przez chwilę przyglądała się z uwagą kraśniczankom, a potem oczy jej błysnęły.

– Pomyślę o tym. I oczywiście przekażę Broniowi życzenia od pań.

Koziełło tym razem odpuścił milczącej jak zwykle siostrzenicy. Rzucił tylko ogólne „dzień dobry” i zajął się konsumpcją. Jego mina sugerowała, że myśli o czymś niezbyt przyjemnym.

Laura Kawecka ukradkiem przelatywała wzrokiem po twarzach współbiesiadników, nieco dłużej zatrzymując spojrzenie na Klarze i Nikoli. Ta ostatnia wyglądała dzisiaj na zadowoloną z siebie i jakby zdeterminowaną. Unikała patrzenia na milczącego małżonka. Od czasu do czasu migotał w jej oczach złośliwy błysk, kiedy spoglądała na puste krzesło Igora.

– Gdzie ten cholerny Tomanek znowu zniknął? – sapnęła ze złością Malwina, kiedy wolnym krokiem wędrowały nad Krukielkę. – Lata jak kot z pęcherzem i nawet nie przeprosił, że nie dotrzymał obietnicy. Mógłby przynajmniej jakąś wiadomość zostawić! Bodaj Florce w recepcji!

– Chyba nie mógłby – stwierdziła po namyśle Eliza. – Zależało mu, żeby

żaden z tubylców nie podejrzewał, że się kontaktujemy. Florka by wypaplała... Uważasz, że on wie o wiele więcej niż my, tak? A ja mam wrażenie, że tu wszyscy wiedzą więcej, niż mówią. Przyglądałam im się dzisiaj przy śniadaniu. Jestem pewna, że każdy z nich coś ukrywa... No, może poza Nikolą... Kurczę, gdzie myśmy trafiły? Do jakiejś „Czerwonej Oberży”? A może oni wszyscy są zaplątani w te zabójstwa?

Malwina przystanęła i rzuciła jej pełne politowania spojrzenie.

– Przestań! Znowu czytałaś Christie? To nie Orient Express, tylko mała wioszczyzna... Pewnie, że wiedzą więcej, bo dłużej się znają. Ale mnie bardziej interesuje wiedza Tomanka. Do tej pory nie mam pojęcia, w jaki sposób te nieszczęśnice zostały zamordowane.

– Myślisz, że on to wie? – W głosie Elizy pobrzmiwał sceptycyzm.

– Myślę! Nie bez powodu knują obaj z Bryzgulem! Wcale by mnie nie zdziwiło, gdyby Tomanek był zakamuflowanym gliniarzem!

Teraz przystanęła Eliza. Przez chwilę przeprowadzała w myślach skomplikowaną operację kojarzenia faktów.

– Wiesz, ty możesz mieć rację – powiedziała wreszcie wolno. – Komendantowi się wyrwało, że to jakaś większa sprawa, a Tomanek nawet okiem nie mrugnął. Czyli musiał o wszystkim wiedzieć... W sumie to dobrze, bo jakoś tego chłopaka lubię... Zaraz! A co nam da wiedza o metodzie tych zabójstw?

– Widziałyśmy pierwsze ciało, tak? Mamy nawet zdjęcia, ale na nich niczego podejrzanego nie widać. Joanna nie została uduszona, bo nie było śladów. Odciągnęłam golf pojemnikiem od tuszu i obejrzałam jej szyję – przyznała się Malwina. – Nie chciałam dotykać... Widocznych ran też nie miała. Żadnej krwi. Nic. Może jej coś wstrzyknęli? Bo jakby narkotyk, to mnie się to kojarzy z...

– ...Jagodzińskim! – krzyknęła w olśnieniu Eliza, po czym zasłoniła usta i rozejrzała się wokół nerwowo. – Ale mówiłaś sama, że on ci nie pasuje – ściszyła głos.

– Bo mi nie pasuje do zabójstwa. Do narkotyków jak najbardziej. Ma do dyspozycji kupę własnych ciężarówek. Może przemycać? Może! I prawdopodobnie właśnie ten przemyt chce rozpracować Bryzgul!

– E, raczej by jacyś ważniejsi nad tym siedzieli – stwierdziła Eliza.

– A skąd wiesz, że to Tomanek nie jest od tych ważnych?

– Zaraz! To on tak sobie przemyca i nikt tego nie sprawdza? – zgorszyła się Eliza. – Przecież na granicy są kontrole. Celnicy są...

– Liza – Malwina spojrzała na nią z politowaniem – gdybyś oglądała programy informacyjne, wiedziałabyś, że w tym politycznym bajzlu można wszystko. Tylko trzeba mieć odpowiednią ilość kasy. I kontakty. Dajesz w łapę i ślepną na chwilę.

Eliza westchnęła, ale nie skomentowała. Dopiero gdy stanęły obie na kamiennym mostku i zapatrzyły się w przejrzystą wodę Krukielki, coś jej

się przypomniało.

– A wiesz, co ja bym chciała wiedzieć? Po cholerę ten bergamotek oblewa nieboszczki tym pachnidłem?

– A skąd wiesz, że oblewa? Miałyśmy możliwość wąchać tylko pierwszą. A ją pewnie oblał, żeby się nie zaśmierdziała.

Tym razem to Eliza rzuciła przyjaciółce pełne politowania spojrzenie.

– Skąd wiem? Bo Bryzgul najwyraźniej uważa, że wszystkie nieboszczki wyprodukował jeden sprawca. Już zapomniałaś, jak się wściekł po odkryciu na cmentarzu? I kazał Tomankowi sprawdzić kosmetyki w pensjonacie?

Tym razem na obiedzie pojawili się wszyscy. Wazy z karmuszką, czyli gulaszową zupą z dodatkiem fasoli, wydzielają tak upojną woń, że nawet Koziełło zrezygnował z wychowywania siostrzenicy, która jadła z takim apetytem, jakby od tygodnia nic nie miała w ustach, i zajął się zawartością własnego talerza. Zresztą dziś chyba nie powiodłaby mu się próba wytrącenia Klary z równowagi. Dziewczyna wydawała się lśnić własnym światłem, choć bardzo starała się to ukryć.

Nawet Nikola, zwykle narzekająca na tutejsze jedzenie, zapomniała na chwilę o narzuconej sobie diecie i jadła z przyjemnością, delektując się smakiem.

Tylko Igor siedział z miną cierpiętnika i sprawiał wrażenie, że je z przymusu.

– Nie smakuje ci? – zdziwił się Tomasz. – W genach powinieneś mieć uwielbienie dla karmuszki. Pan Bronisław wspomniał kiedyś, że twoja matka najchętniej jadłaby ją codziennie. Karmuszkę i sielawę.

W oczach Igora błysnęły niezrozumiałe popłoch. Gwałtownie odsunął talerz i warknął, hamując złość:

– Dziadek leży na OIOM-ie! Powiedzieli, żebym był przygotowany na najgorsze! Mam ci dalej tłumaczyć, dlaczego mi nie smakuje?!

– Sorry, stary. – Tomanek pojednawczo poklepał go po ramieniu. – Nie miałem pojęcia, że jest tak źle.

– Źle, panie Tomku – włączyła się do rozmowy Zaborska, wzdychając ciężko. – Bronio ma wprawdzie dopiero sześćdziesiąt sześć lat, ale serce w strasznym stanie. Tyle razy chciałam go wziąć do Warszawy, ale jest uparty jak... – Machnęła bezradnie ręką i dodała ze smutkiem: – Musimy być rzeczywiście przygotowani na najgorsze.

Malwina i Eliza spojrzały na siebie z lekkim osłupieniem. Informacja zupełnie je zaskoczyła.

W zapadłej nagle ciszy brzęk rozbitego naczynia zabrzmiał jak wystrzał z armaty. Wszyscy wzdygnęli się mimowolnie, ogniskując spojrzenia na stojącej w drzwiach Kaziowej. Na jej pocziwym pyzaty obliczu malowała się zgroza.

– A co będzie z nami, jak Michotka zabraknie?! – jęknęła z rozpaczą, nie

zwracając uwagi na szczątki ulubionego kubka, który wypadł jej z rąk.

– A co ma być? – burknął Igor i wzruszył ramionami. – Będzie, jak było. Przecież nie zostawię pensjonatu.

– Nie będziesz musiał, chłopcze – pocieszył go dobrodusznie Koziełło. – Pomożemy ci oboje z Terenią. Mamy w nim udziały. Jak tylko remont piętra się skończy, przeniosę się tu na stałe. Terenia też może przenieść swoją praktykę do Krukielnik. Pomożemy ci.

Igor wyglądał, jakby za chwilę sam miał dostać zawału. Pocerwieniiał i zacisnął palce na blacie stolika.

– Ale... Jak to? – wykrztusił. – Dziadek nie mówił, że... Skąd ja mogę wiedzieć...

– Nie musisz nam wierzyć na słowo – przerwał mu Koziełło ze zrozumieniem. – Mamy na wszystko stosowne dokumenty. Powiem więcej. Ponieważ oboje zdajemy sobie sprawę z ulotności życia, postanowiliśmy zabezpieczyć przyszłość pensjonatu i spisaliśmy notarialne testamenty. Ja przepisałem swoje udziały na Klarę, zaś...

– ...ja postanowiłam swoją część przekazać panu Tomkowi – dokończyła Teresa Zaborska. – Dzieci nie mam, a pan Tomanek świetnie sobie radzi. Wierzę, że sprosta zadaniu. Za jakiś czas, rzecz jasna, bo mam zamiar jeszcze trochę pożyć.

W jadalni zapanowała gęsta od emocji cisza. Tylko Malwina i Eliza wychwyciły błysk furii w oczach Jagodzińskiego. Tomasz i Klara wyglądali na zszokowanych. Popatrzyli na siebie, a potem jednocześnie przenieśli wzrok na ewidentnie bardzo z siebie zadowoloną dwójkę testatorów. Pozostali spoglądali na ogłupiałego Igora, którego najwyraźniej nadmiar informacji przerósł i chyba nieco ogłuszył. Przez chwilę nie bardzo wiedział, jak zareagować. Wreszcie zerwał się z krzesła, potoczył wokół roziskrzonym wzrokiem i oznajmił jadownicie:

– Dziadek jeszcze żyje. Nie chowajcie go za prędko.

Odwrócił się na pięcie i prawie wybiegł. Po chwili usłyszeli dźwięk zapuszczanego motoru.

Tomasz Tomanek pierwszy ocknął się ze stuporu, z niejakim żalem odłożył łyżkę, wstał i chrząknął, jakby coś uwierało go w gardle.

– Pani Tereso, ja... Nie wiem, co powiedzieć... Może powinna pani jeszcze raz to przemyśleć? Taki zapis to już jakieś zobowiązanie. Nie wiem, czy akurat ja się nadaję na akcjonariusza. Praca to co innego. Pracy się nie boję...

– Panie Tomku – przerwała mu Zaborska z ciepłym uśmiechem – zaręczam panu, że się pan nadaje. Pracy też panu nie zabraknie. Tu naprawdę jest co robić przez cały rok. Wiem, jak bardzo odciążał pan Bronia; mówił mi o tym. Będzie pan dobrym gospodarzem „Olszynki”. Kiedyś. Bo pan Seweryn i ja, a mam nadzieję, że i Bronio – w jej oczach mignęły figlarne iskierki – naprawdę mamy zamiar nacieszyć się jeszcze życiem... A teraz – przesunęła wzrokiem po wszystkich – proponuję dokończyć obiad

i zorganizować grilla wieczorem. Albo ognisko. Zamiast kolacji... Co państwo na to? Nie ma sensu, żebyśmy wszyscy siedzieli z nosami na kwintę. Broniowi to nie pomoże, a nam przyda się trochę relaksu.

Entuzjazmu nie było, ale pokiwali głowami. Tylko Kaziowa wzięła się pod boki i, porządnie rozgniewana, stanęła przed lekarką.

– Zara, zara, moja pani! To my tu mamy balować, jak tam bidny Michotek może już kopyta wyciągnął? Może we Warszawie moda taka, ale u nas ludzie po bożemu żyją. Modlić się trza, a nie zabawy jakieś robić!

Tomanek pośpiesznie podszedł do kucharki, objął ją poufale w pól i naszeptywał do ucha coś, co sprawiło, że Kaziowa uśmiechnęła się szeroko.

– Tak to ja rozumiem. No, to Wielkanoc wyprawię taką, że hej! A jak wy tu zamiarujecie się bawić, to ja sobie do kościoła skoczę. Tu potrzebna nie będę, a pomodlić się nie zawadzi. Wprawę mam. Wyciągnę Michotka spod kostuchy jakem Kaziowa!

Drugie danie Malwina i Eliza spożywały tak pośpiesznie, że omal się nie udławiły. Po czym, pod pretekstem wyboru stroju na ognisko, udały się do swojego pokoju tak szybko, jak było to możliwe.

– Co to było? – odezwały się jednocześnie, kiedy tylko zamknęły drzwi.

Eliza z rozmachem usiadła na łóżku, a Malwina zajęła jedyny fotel. Patrzyły na siebie w milczeniu, choć widać było, że w obu kotłują się pytania.

– Ty pierwsza – ustąpiła wreszcie Eliza.

– Po co było to przedstawienie? – wyrzuciła z siebie Malwina. – Żeby wkurzyć Igora? Czego on się tak boi? O co naprawdę chodzi ze starym Michotkiem? Wczoraj Zaborska wyleciała jak do pożaru, a dziś spokojnie mówi, że razem ze starym ramolem przejmują pensjonat? Co oni knują z tym testamentem? I dlaczego akurat Tomanek ma dziedziczyć? Dlaczego Jagodziński wyglądał, jakby miał ochotę kogoś zabić?

Ogłuszona lawiną pytań Eliza znieruchomiała na długą chwilę. Prawie było widać, jak obracają się trybiki w jej umyśle.

– Czekaj. Rozpracujemy to metodą dedukcji... Z Jagodzińskim nie mam problemów. Wiemy, że kombinował, jak się wcisnąć do spółki. Wyłożyłby kasę i spokojnie prowadził te swoje szemrane biznesy. A Michotek pewnie sam by się wykończył sercowo, jakby mu się tu zaczęły płatać jakieś podejrzane typy...

– Ale jest jeszcze Igor – przypomniała uważnie słuchająca Malwina.

Eliza wzruszyła ramionami.

– Igor ewidentnie już zdążył się z Jagodzińskim dogadać. Chyba nie miał pojęcia, że te dwa ramole...

– Zaborska nie jest ramolem! – przerwała Malwina z irytacją. – Jest niewiele starsza od nas! Uważasz, że my też się kwalifikujemy?

Eliza nie przejęła się reprimendą i ciągnęła dalej:



– ...już zdążyły wykombinować, jak wybronić Michotka od niechcianej spółki. Widziałam ich miny, kiedy wygłaszali to swoje orędzie. Biła z nich satysfakcja, że udało im się tak elegancko ograć Jagodzińskiego. W dodatku zobacz, jak sprytnie się zabezpieczyli. – Pokręciła z uznaniem głową. – Teraz, żeby przejąć pensjonat, musiałby wytłuc całą gromadkę konkurentów.

– Czyli uważasz, że to przedstawienie zorganizowali tylko dla Jagodzińskiego? – W głosie Malwiny dźwięczało powątpiewanie. – Coś tu jest nie tak. Dlaczego przy śniadaniu Zaborska twierdziła, że Michotek wyzdrowieje, a przy obiedzie prawie go pochowała? W dodatku jakoś tak bez specjalnych emocji? Nie wydaje ci się to dziwne?

Zaskoczona Eliza otworzyła usta i zamknęła je bez słowa. Przez chwilę obie z natężeniem wpatrywały się w siebie, a potem krzyknęły razem:

– Igor!

– Igor – powtórzyła Malwina z satysfakcją. – To musi być to. Jeśli nie wiedział o spółce, a codziennie jeździł do szpitala, miał mnóstwo okazji, żeby ukrócić dziaduniowe cierpienia. Może coś wzbudziło podejrzenia lekarzy i powiadomili Zaborską?

– I przenieśli Michotka na OIOM, żeby wnusio nie miał do niego dostępu. – Eliza pokiwała głową i w jej oczach błysnęła odraza. – Okropne! Wnukdziadkobójca... Rany, te stare ramole naprawdę są sprytne!

– Jeden ramol! – warknęła natychmiast Malwina. – Myślisz, że Igor tak się przestraszył właśnie dlatego? Że się wydały jego prawdziwe intencje?

– A może on bardziej boi się Jagodzińskiego? – podsunęła Eliza. – Może mu cudów naobiecował, może liczył na zyski, a tu klops? Ramo... – Dojrzała ostrzegawczy błysk w oczach przyjaciółki i szybko się poprawiła: – Zaborska i Koziętko załatwili go w białych rękawiczkach. Już chyba nie ma ruchu. Ale Jagodziński... No, nie chciałabym być w skórze Igora.

– Możesz mieć rację – powiedziała zamyślona Malwina. – A Klara i Tomanek?

– Co Klara i Tomanek? – Eliza spojrzała na nią tępo.

– Obserwowałam ich dzisiaj. Nie wydaje ci się, że oboje... Jak to ująć... Mam wrażenie, że łączy ich większa zażyłość, którą starannie ukrywają.

– Skąd wiesz, że ukrywają? Może nie ukrywają, tylko nikogo to nie obchodzi? – Eliza dla zasady stanęła w kontrze.

– Ukrywają – uparła się Malwina. – Widziałas kiedykolwiek, żeby ze sobą rozmawiali? A z opowieści personelu i Kaweckiej wiemy, że i Joanna, i Nikola zawsze traktowały Tomanka jak faceta do wzięcia. Ciągłe zawracały mu głowę. Kaziowa na pewno by wiedziała, gdyby nie ukrywali. I chętnie podzieliłaby się tą wiedzą ze wszystkimi. Ale kiedy powiedziałyśmy, że Bryzgul podejrzewa Tomanka o zabójstwo Joanny, z Klary wystrzeliły takie emocje... Dalej uważasz, że nic ich nie łączy? – Uniosła brwi.

Eliza przemyślała wypowiedź przyjaciółki i niechętnie przyznała jej rację.

– No, dobrze. Ale co nas to obchodzi? Niech ich łączy, co chce. I tak nie

mają nic wspólnego z zabójstwami...

– Wiem, że nie mają! – zniecierpliwiała się Malwina. – Próbuję tylko zrozumieć, co w tym cholernym pensjonacie się dzieje!

– A musisz zrozumieć wszystko? – dociekała Eliza. – Nie wystarczy ci odpowiedź na pytanie: kto zabił i dlaczego?

– Muszę! – powiedziała Malwina twardo. – Bo mam wrażenie, że to wszystko się ze sobą łączy! Jedno wynika z drugiego! I wiem, kto zabił. Tylko, psiakrew, nie wiem dlaczego!

– Uparłaś się na Igora, tak? – Eliza westchnęła. – Przez tę torebkę? Przecież to Jagodziński mógł mu kazać, żeby ją podrzucił. Żeby skierować podejrzenia na Tomanka.

– To byłby głupi, a głupi nie jest – oświadczyła Malwina. – Musiałby wcześniej wiedzieć o spółce i o tym, że namaścili Tomanka na współwłaściciela pensjonatu. A jeśli Igor o tym nie wiedział, to i Jagodziński nie miał pojęcia. Był wściekły, widziałam... Nie. To musi być Igor. Tylko wciąż nie wiem dlaczego.

– Przegadajmy to – zaproponowała Eliza. – Może na coś wpadniemy... Pierwsza była Joanna. Zabił ją, bo czegoś się dowiedziała o jego konszachtach z Jagodzińskim? I próbowała go szantażować?

– To głupie – stwierdziła Malwina po namyśle. – Bez sensu. W takim przypadku Joannie bardziej opłacałoby się zaszantażować Jagodzińskiego. To on ma kasę, nie Igor.

– No właśnie. Mnie też zgrzyta ten motyw, a innego nie zgadnę... Jedźmy dalej. Gdyby rzeczywiście zabił Joannę, zrozumiałabym, dlaczego Marlina była następna. Widziała coś tej nocy albo słyszała. Może coś jej się wyrwało do Igora i wołał ją wyeliminować. Józefina...

– Józefinę odpuszczamy. To musiał być wypadek przy pracy. Nawinęła mu się w niestosownym momencie, więc działał siłą rozpędu. Pozbył się świadka. Tylko... – Malwina bezradnie wzruszyła ramionami. – Po cholerę mu była ta bergamotka? Jeśli latał z nią na cmentarz, to chyba coś sobie myślał, nie? Planował pokropić kolejną ofiarę. Po co? Noce jeszcze chłodne, tak od razu by się nie zaromatyzowała. Mógł przewidzieć, że szybko ją znajdą... Ma jakąś obsesję czy co?

Eliza zastygła na moment i nagle ją olśniło.

– Nie ma obsesji! Próbuje zwalić wszystko na kogoś z pensjonatu!

– Myślisz, że... – Malwina zastanawiała się przez chwilę. Wreszcie pokiwała głową. – Może i prawda. Joannę zabergamotkował, żeby mu się nie zaśmierdziała, zanim pozbędzie się ciała, a potem znalazł sobie kozła ofiarnego. Kogo?

– O Jezu, nie wiem! – sploszyła się Eliza.

– Myśl! – zażądała twardo Malwina. – Mogę przysiąc, że zapach był męski. Mamy do dyspozycji czterech facetów, bo starego Michotka wykluczam. Jest sercowy. Prędzej sam by zszedł, niż dał radę kogoś ubić i przeżyć. Jagodziński

odpada. Ramol odpada. Wprawdzie dobrze znosi wiek swój, ale nie wierzę, że zabił. Nie miał motywu. Zostaje Tomanek i Igor. Czyli...

– Igor chciał zrobić Tomanka! – Eliza poróżnowiała z przejęciem. – Kurczę, jakie my jesteśmy inteligentne we dwie!

– Pojedynczo też nie narzekam – nastroszyła się natychmiast Malwina, ale nic więcej nie zdążyła powiedzieć, bo usłyszała delikatne puknięcie od strony tarasu.

Zerwała się z fotela i rzuciła ku drzwiom. Kiedy odsunęła zasłonę, za szybą zobaczyła uśmiechniętego Tomanka i Klarę. Trzęsącą się z emocji ręką pośpiesznie przekreśliła gałkę, by wpuścić niespodziewanych gości i już miała zamiar powitać ich stosownym komentarzem, ale zobaczyła, że Tomanek przykłada palec do ust.

Klara zrobiła krok, by wejść do pokoju, lecz nagle się cofnęła. Coś przykuło jej uwagę. Bez słowa wskazała Tomaszowi stojącą obok wejścia donicę z cyprysikiem. Ten spojrzął, delikatnie wepchnął dziewczynę do pokoju, wyciągnął z kieszeni paczkę chusteczek, wyjął jedną, przykucnął, pstryknął zdjęcie komórką i coś podniósł z ziemi pod drzewkiem.

Malwina prawie wytrzeszczu dostała, zaś Eliza stała przy łóżku jak posąg, patrząc wielkimi oczami na milczących gości. Wreszcie odchrząknęła i zdławionym szeptem zapytała:

– Co się znowu stało, na litość boską?!

Tomanek wszedł do pokoju, zamknął za sobą starannie drzwi, zasunął zasłonę i ostrożnie rozwinął chusteczkę. Wszystkie trzy stanęły obok, wpatrując się w znalezisko, a potem pytające spojrzenia przeniosły na Tomasza.

– Srebrny koziorożec. Klara go wypatrzyła w tej donicy na tarasie – powiedział ponuro. – Jestem pewny, że należał do Marleny. Nosila go jako breloczek przypięty do bransoletki. Mam oko do takich szczegółów. Kiedyś byłem gliniarzem.

Malwina głośno wypuściła powietrze i z satysfakcją pokiwała głową. Podana Tomankowi foliową torebkę (nosiła je ostatnio we wszystkich kieszeniach) i z aprobatą przyglądała się, jak chowa do niej breloczek.

– Przepraszamy, że wczoraj nie mogliśmy z paniami porozmawiać – powiedziała cicho Klara, zajmując fotel – ale Tomek późno wrócił i już nie chcieliśmy przeszkadzać.

– Śmy? – Malwina uniosła brwi. – To pani też współpracuje z komendantem? Trafiliśmy pomiędzy brygadę antyterrorystyczną a szajkę bandziorów?

– Nie – zaśmiała się cicho Klara. – Ale to właściwie przeze mnie Tomek się tu znalazł, dlatego czuję się współodpowiedzialna. Prosił, żebym wszystko paniom opowiedziała, a ja się zgodziłam. Liczę na całkowitą dyskrecję. Całkowitą – podkreśliła.

Kraśniczanki usiadły na łóżku i jednocześnie uniosły dłonie w geście

przysięgi. Dziewczyna z ulgą kiwnęła głową, spojrzała na siedzącego obok na jednym z lakierowanych pieńków Tomasza, który obracał w dłoni torebkę, w zamyśleniu wpatrując się w jej zawartość, i zaczęła mówić:

– Oficjalnie jestem tłumaczką, ale... Podkusiło mnie, żeby napisać książkę. Kryminał. Fabułę miałam obmyśloną, ale utknęłam przy szczegółach związanych z policyjnym śledztwem. Przyjaciółka podpowiedziała, żebym poszukała konsultanta i tak trafiłam na Tomka. Był jedynym policjantem, który mnie nie spławił – wyznała szczerze. – Nieważne. Dość, że przy pisaniu kolejnych powieści również mi pomagał i zaprzyjaźniliśmy się. Dlatego, kiedy dowiedziałam się od pani Teresy, że coś niepokojącego dzieje się w „Olszynie”, zwróciłam się do Tomka.

– A ja akurat wyleciałem z firmy – podjął Tomanek. – Od dwóch lat ciągnąłem sprawę przemytu kamieni. Stworzyłem sobie sieć informatorów, powolutku rozkminiłem strukturę tej przemytniczej ośmiornicy i... Głuchy byłem na dobre rady. Kumple mnie ostrzegali, żebym się nie wychylał, bo to dla zwykłego gliniarza za wysoko. No i dograłem się. Mojego najlepszego informatora znaleźli w podwarszawskich lasach. Martwego. Typowa egzekucja. Szefostwo uznało, że to moja wina. – Wzruszył ramionami. – Musiałem faktycznie za blisko podejść i ktoś się przestraszył... W każdym razie, kiedy Klara przyszła do mnie i w rozmowie padło nazwisko Jagodzińskiego, niebiosą się przede mną otworzyły. Nie zastanawiałem się długo. Spakowałem się i przyjechałem tutaj. Pan Bronisław oczywiście wie, kim jestem. Od razu dogadałem się też z Fredem Bryzgulem. To porządny gliniarz, dał mi zielone światło i wprowadził w tutejszą społeczność... Sporo już wiemy. Znamy trasy przemytu i sposób, w jaki kamienie trafiają do naszego biznesmena. I chyba już wykombinowaliśmy, do czego mu była potrzebna „Olszynka”. Tyle że – westchnął ciężko – sprawa nam się trochę ryła po przyjeździe Igora. Jagodziński nagle jakby spasował w kwestii „Olszynki” i grzecznie siadł na tyłku. Dopiero po tych zabójstwach zrobił się znowu ruchliwy.

Eliza siedziała jak trusia, wpatrując się w Tomanka błyszczącymi oczami, ale Malwina nie wytrzymała.

– Ten musi wszystko schrzanić. – Wydęła pogardliwie usta. – Pati miała rację. On rzeczywiście jest niespotykany. Niespotykany dupek. Nam też wszystko psuje. Całe śledztwo.

Tomasz spojrzał na nią z nagłym zainteresowaniem i nadzieją.

– Igor? Co Pati miała na myśli? W jakim sensie niespotykany?

Eliza ocknęła się z zapatrzenia i nagle zbystrzała.

– Ciekawe – mruknęła. – Podobną minę miała pani Teresa, kiedy o tym rozmawialiśmy. Jakby miała nadzieję, że to, co mówi, powinno mnie naprowadzić na właściwy trop...

– A co powiedziała? – przycisnął niecierpliwie Tomanek.

– Że w ludzkiej populacji – powiedziała wolno Eliza – istnieje tylko jeden

procent rudowłosych z niebieskimi oczami. I że matka Igora miała brązowe tęczęwki, tak jak jej rodzice.

Tomasz milczał przez długą chwilę, a potem w jego oczach coś błysnęło.

– Jasna cholera! – sapnął i zerwał się z pieńka, na którym siedział. – Co to za pokolenie jest? Nie mogła mi tego wprost powiedzieć? Wie przecież, po co tu jestem... Klara, nie obraż się, ale oni oboje są straszni z tymi swoimi dobrymi manierami... Przepraszam, muszę coś sprawdzić.

Ostrożnie uchylił drzwi do pokoju, sprawdził, czy korytarz jest pusty i wyszedł. Trzy kobiety przez chwilę patrzyły na siebie z osłupieniem. Pierwsza ocknęła się Malwina.

– Co go tak... Zaraz! Czy ja dobrze myślę? Igor to nie Igor?!

– Coś ci zaszkodziło? – zaniepokoiła się Eliza, patrząc z troską na przyjaciółkę. – Jak to nie Igor? Michotek by nie poznał wnuka?

– Nie poznałby – odezwała się Klara z westchnieniem. – Nigdy go nie widział na oczy. Z opowieści wiem, że Irka uciekła, kiedy miała osiemnaście lat. W Warszawie poznała jakiegoś Brytyjczyka i razem wyjechali. Chyba była już w ciąży, bo podobno bardzo szybko dostała paszport. Tyle że musiała zrzec się obywatelstwa, bo to było jeszcze wtedy, kiedy nikt nie myślał o wejściu do Unii. Igor urodził się jako obywatel brytyjski. Oboje rodzice bardzo przeżyli ucieczkę jedynej córki i brak kontaktu. Nigdy nie zadzwoniła ani nie napisała. Pan Bronisław szukał jej przez swojego stryja, który po wojnie został w Anglii. Już po śmierci żony dowiedział się, że Irka też nie żyje. Z powodu przedawkowania. To od tamtej pory zaczęły się jego problemy z sercem.

– Wiedział, że ma wnuka? – W głosie Elizy pobrzmięwało współczucie.

– Nie miał pojęcia! Dlatego nie mógł uwierzyć w swoje szczęście, kiedy Igor nagle tu przyjechał i powiedział, kim jest.

– I tak od razu uwierzył, że to jego wnuk? – Malwina uniosła brwi. – Bez żadnego sprawdzenia?

– Igor miał ze sobą medalik Irki. Robiony na zamówienie. Unikalny. Dostała go na komunię od chrzestnych. I znał szczegóły z jej życia. Tu i tam. Opowiadał, jak ciężko pracował, żeby zarobić na przyjazd do Polski i odnaleźć dziadka. – Klara spojrzała Malwinie prosto w oczy. – Pani by nie uwierzyła?

– Ja pimplę – sapnęła oszołomiona informacjami Eliza. – To się porobiło... Hej! Malwina! Mamy motyw!

– I właśnie podsunęły go panie Tomkowi. – Uśmiechnęła się Klara. – Bo też nie mógł się go dopatrzeć. A wiedział, że Jagodziński nie zabił.

– Skąd...? A! Pilnował go jakoś. – Malwina pokiwała głową. – No to chyba już wszystko wiemy – odetchnęła z ulgą. – Wychodzi na to, że jednak dałyśmy radę.

– Nie wszystko! – Eliza skierowała podejrzliwy wzrok na Klarę. – Pisz pani kryminały? Jestem na bieżąco z nowościami w tym gatunku, ale pani

nazwiska nie kojarzę.

– A czytała pani *Śmiertelny podarunek?* Albo *Zabójcze kartki?* Albo *Wszystkie grzechy Ewy?*

Elizę prawie zatchnęło z wrażenia.

– To pani?! Dora Donato to pani?!

– We własnej osobie. – Uśmiechnęła się Klara. – Ale proszę o dyskrecję. Poza wydawcą i Tomkiem nikt o tym nie wie. Bawi mnie układanie takich historii i cieszę się pieniędzami, bo te powieści nieźle się sprzedają. Nie mam strony na Facebooku, nie pokazuję się publicznie, nie udzielam wywiadów. Po prostu sobie dorabiam.

– Dorabiam? – nadęła się Malwina. – Nad tą ostatnią zarwałam pół nocy, żeby się dowiedzieć, kto zabił...! Miałam być kulturalna, ale nie wytrzymam. Dlaczego, na litość boską, pozwala pani wchodzić sobie na głowę temu ra... wujowi?! Powinna się pani skupić na pisaniu, a nie znosić... Przecież on panią traktuje jak bezwolnego dzieciaka! Gorzej! Jak tresowanego zwierzęcia!

– Ma tylko mnie i moją... matkę. – Ostatnie słowo dziewczyna wypowiedziała z wyraźną niechęcią. – Ja też mam... miałam do niedawna tylko ich. Ktoś musi im pomagać. Jestem jedynaczką, więc padło na mnie.

– A miewa pani w ogóle jakieś życie prywatne? – zainteresowała się z irytacją Malwina.

– Zwykle wtedy, gdy tu jestem – przyznała Klara. – Istnieją jeszcze komórki i media. A wuj przeważnie wcześniej się kładzie, więc mam wtedy wolne...

– A to cicha woda – powiedziała wolno Eliza i spojrzała na przyjaciółkę. – Spryciulka niewinna... Pamiętasz, jak jej wujaszek dawał alibi? Że słyszał w nocy stukanie klawiatury? Nasza panna Klara skorzystała z klasyki gatunku... Taśma?

– Płyta. – Klara roześmiała się i nieco zarumieniła. – Wuj nigdy nie przeszkodziłby mi w pracy. Jest pod tym względem bardzo zasadniczy. – Wstała z ociąganiem. – Muszę się jakoś przemknąć do siebie. Tomek się uparł na to ognisko, żeby wszystkich mieć na oku. Wieczory jeszcze chłodne, muszę się przebrać.

– Dziękujemy za zaufanie. – Eliza poklepała dziewczynę po ramieniu. – I bardzo się cieszymy, że mogłyśmy osobiście poznać Dorę Donato. Szkoda, że nie mamy przy sobie książek. Zdaje się, że autograf od pani to niezły cymes.

– Wyślę swoje egzemplarze autorskie, jeśli podadzą mi panie adresy przed wyjazdem.

Nikola siedziała w pokoju i czuła, jak rośnie w niej furia. Nie strach. Przestała się bać w chwili, kiedy zobaczyła minę Igora przy obiedzie. Choć uznała, że nie musiała uprzedzać komendanta o planowanym zabójstwie, bo Michotka i tak przenieśli na OIOM, gdzie wnuk nie miał do niego dostępu, to i tak była z siebie dumna. Gdyby nie ten szczegół, jej telefon

pokrzyżowałby mu plany. Uważali ją za głupią, a proszę, jaka jest skuteczna.

Tak naprawdę Michotek niespecjalnie ją obchodził w tej chwili. Bardziej niż jego życie obchodził ją fakt, że przy okazji udało jej się storpedować plany małżonka. Może kiedyś mu nawet o tym powie. Kiedyś, bo w najbliższym czasie zamierzała skutecznie i nieodwracalnie zniknąć mu z oczu. Miała dość.

Wczoraj po kolacji, kiedy wrócili do pokoju, próbowała go namówić, żeby wracali do Warszawy. Zagroziła rozwodem. Spojrzał na nią takim wzrokiem, jakby oceniał towar, i stwierdził zimno:

– A jednak nie doceniłem siły głupoty. Jesteś kompletnie bezużyteczna. Jak myślisz, dlaczego się z tobą ożeniłem? Miałem nadzieję, że będziesz jak echo. W obie strony. W towarzystwie powtórzysz to, co ci powiem, a to, co usłyszysz, przekażesz mnie. Taka byłaś w pracy. Jesteś głupia i bezmyślna. Nie rozumiesz nawet wagi tego, co powtarzasz. Ale ty już na początku wszystko popsulaś, bo uznałaś, że jesteś nietykalna i zwykłe klepięcie w tyłek cię obraża – prychnął pogardliwie. – Do niczego mi się nie przydasz, dlatego zdecydowałem, że nie będę cię dłużej utrzymywał. Korzystaj, ile możesz, bo niczego więcej nie dostaniesz. Podpisałaś intercyzę. Nie masz żadnych praw do mojego majątku.

Nikola nie spała całą noc. Na samą myśl, że lada moment zostanie bez grosza, bez dachu nad głową i bez pracy ścisnęła ją w żołądku. Doskonale pamiętała, ile kosztuje wynajęcie mieszkania w stolicy. Nie znajdzie takiej pracy, która pozwoliłaby jej utrzymać się w Warszawie. Jedynym jej atutem była uroda. Kiedyś marzyła o karierze modelki, ale agencje nie były zainteresowane.

Po nieprzespanej nocy doszła do wniosku, że sama musi o siebie zadbać. I zamierzała to zrobić. Jeszcze dziś stąd zniknie. Ale najpierw poczeka na okazję i poszuka czegoś, co nadawałoby się na stosowny ekwiwalent za upokorzenie, jakie jej zafundował małżonek. Zapłaci jej za wszystko.

Obłożony polnymi kamieniami krąg przeznaczony na ognisko otaczał drugi, który tworzyło siedzisko z drewna. Obsiedli go uczestnicy imprezy i młodszy personel „Olszynki”, bo dziewczyny od razu zgłosiły się do pomocy. W pobliżu stał murowany grill z dwoma blatami. Tam kelnerki i Oliwka ustawiły butelki z różnymi napojami (wśród nich wyciągniętą ze spiżarni bez wiedzy Kaziowej nalewkę z owoców dzikiej róży na miodzie i spirytusie), pokrojony chleb i bułki do przypiekania, koszyk jabłek, cały półmisek kiełbasy oraz plastikowe tacki i widelce. Pomyślały również o sporej rolce papierowych ręczników. Teraz wszyscy siedzieli przy ognisku z kijami, a wokół unosiła się woń przypiekanych kiełbasek. No, nie wszyscy. Brakowało Kaziowej, bo – jak zapowiedziała – poszła do kościoła, oraz Igora, który od obiadu przepadł bez wieści, co nikomu nie zepsuło humoru.

Malwina i Eliza ukradkiem obserwowały zachowanie uczestników niespodziewanej imprezy. Lucjan Jagodziński siedział nieco z boku. Minę

miął nieprzeniknioną, ale nie wyglądał na spiętego. Jego żona przysunęła się do trójki dziewcząt. Zdążyła już zażyć kieliszek słynnej nalewki. Oczy jej błyszczały nie tylko z powodu alkoholu. Nie zamierzała się upić. Łyk nalewki miał jej dodać odwagi. Była już spakowana. Nie chciała, żeby mąż za szybko się zorientował, co zrobiła, więc uznała, że zabierze ze sobą tylko to, co zajmuje mało miejsca, a może przynieść dodatkową kasę – w torebce upchnęła biżuterię i jedną kartę zbliżeniową wyjętą z portfela Lucjana, kiedy brał kąpiel. Myśl, że – aby z niej skorzystać – należałoby znać PIN, jej nie zaświtała. Czuła głównie satysfakcję, że coś mu zabrała. A kiedy po obiedzie wyszedł bez słowa przez drzwi tarasowe, zdążyła sprawdzić, ile pieniędzy ma na koncie, którego używała, i bez skrupułów przelała wszystko na swoje panińskie. Od dawna nie było tam ani grosza, bo na polecenie małżonka miała je po ślubie zlikwidować, ale na szczęście zapomniała to zrobić. Grzebiąc w szafie, trafiła na coś jeszcze, lecz to musiało poczekać. Zabierze to ze sobą w ostatnim momencie, żeby Lucjan nie zorientował się za wcześnie. Ten bonus pozwoli jej na beztrudne życie z dala od człowieka, który potraktował ją jak przedmiot. Miała wrażenie, że pozwoliłby i na zagraniczny wyjazd, ale nie znała języków, więc postanowiła zatrzymać się w Szczecinie u dalekiej kuzynki. To duże miasto. Nikt jej tam nie znajdzie. Przeczeka jakiś czas, a potem poszuka sobie jakiegoś spokojnego miejsca.

Na razie siedziała obok trzech paplających dziewczyn, obracała nad ogniskiem kielbaskę i łowiła pojedyncze słowa z ich rozmowy, wyobrażając sobie wściekłość Lucjana, kiedy odkryje uszczerbek w swoim stanie posiadania.

Seweryn Koziełto i Teresa Zaborska siedzieli obok siebie, rozmawiali półgłosem i z niejakim zaskoczeniem spoglądali na przytuloną do Tomasza Tomanka roześmianą Klarę. W oczach Laury Kaweckiej, która również nie mogła oderwać wzroku od wyraźnie zajętej sobą pary, nie było zaskoczenia, tylko coś bliskiego zazdrości.

– Niektórzy mają szczęście – westchnęła, trącając w ramię Elizę. – Oby się nigdy nie dowiedziała, że faceci to dranie.

– Babom też nic nie brakuje – zauważyła natychmiast Eliza, puszczając mimo uszu oburzone syczenie Malwiny.

– Prawda – przyznała Laura i skrzywiła usta w paskudnym grymasie. – Aśka była tego najlepszym przykładem. Choć właściwie nie wiem, kto w tej sytuacji okazał się wredniejszy. Mój ukochany mąż, który ochoczo wskoczył do łóżka najlepszej przyjaciółki żony, czy przyjaciółka, która uznała, że co moje, to i jej.

– Oboje – powiedziała stanowczo Malwina. – Co pani zrobiła z mężem?

– Wyrzuciłam z domu i rozwiodłam się z nim tak szybko, jak mogłam. – Kawicka wzruszyła ramionami. – Może też jestem wredna, bo jakoś nie lubię się dzielić. Został biedaczek na lodzie, bo Aśkę od razu przestał interesować. A potem specjalnie szukałam gamoni, których mi uparcie odbijała. Nie



zależało mi na nich, więc tyle mojego, że miałam niezły ubaw, patrząc, jak się stara.

– Wszystkim tak robiła czy tylko pani? – zapytała Eliza ze współczuciem.

– Mam wrażenie, że pod tym względem akurat mnie wyróżniała – odparła sucho Laura. – Ale zdarzało jej się zabiegać także o tych, którzy mogli jej ułatwić karierę. Przez łóżko wepchnęła się do serialu. Co prawda dostała drugoplanową rolę, ale pieniądze były z tego niezłe. Przy okazji próbowała mnie wyślizgać, ale jej nie wyszło.

– Aż dziw bierze, że nikt jej wcześniej nie utłukł – zauważyła Malwina z wyraźną niechęcią. – Pani nigdy nie miała ochoty?

– Miałam. Za pierwszym razem. I tylko przez chwilę, bo dotarło do mnie, że właściwie zrobiła mi przysługę. Myślałam o dziecku. Gdybym się zdecydowała, a on by mi wywinął taki numer, miałabym większy problem. Aśka wyleczyła mnie ze złudzeń i przypomniała rodzinną mądrość: umiesz liczyć, licz na siebie... Jak panie myślą? Gdzie się podział Igor? – zmieniła temat. – Mam nadzieję, że nie robi nic głupiego, bo się stary Michotek zapłacze. Tylko wnuk mu został... No i chyba Zaborska – dodała z przekąsem. – Ciekawe, co robi, jak mu dziadek nową babcie zafunduje... Chyba jednak wspomogę się nalewką Kaziowej. – Wstała. – Robię się złośliwa. Alkohol mnie trochę stępi. – Zaśmiała się niewesoło, przestąpiła drewnianą ławę i podeszła do grilla.

Malwina i Eliza przyglądały się, jak jednym haustem opróżnia kieliszek, a potem bierze głęboki oddech i przysiadła się do Jagodzińskiego.

– Swoją drogą, chciałabym wiedzieć, gdzie się podział ten rudzielec – mruknęła Eliza. – Tomanek wygląda na bardzo zadowolonego. Nie wydaje ci się to podejrzanе? Może już zwinęli Igora i dlatego taki wniebowzięty?

– Wniebowzięty, bo ma Klarę obok siebie. – Malwina wydeła usta i na chwilę zatrzymała wzrok na obojgu. – Coś mi się widzi, że Dora Donato napisze niedługo kolejny bestseller. Fabuła sama jej się utkała...

Nikola stwierdziła, że lepszego momentu nie będzie. Do małżonka przyssała się ta podstarzała aktorka i na pewno prędko się jej nie pozbędzie. Wstała, a czując na sobie uważne spojrzenie Lucjana, podeszła najpierw do blatu z oprowiantowaniem i nalała sobie jakiegoś napoju. Udając, że przygląda się iskrom strzelającym z ogniska, ostrożnie przesunęła się w cień, odczekała chwilę, rzuciła kij z przypieczoną kiełbaską w krzaki i przemknęła alejkami parku.

Taras zwykle rozjaśniały światła bijące wieczorami od okien pokojów. Teraz tonął w ciemności, a Nikola przewidująco założyła czarne spodnie i ciemną kurtkę. Wślizgnęła się cichutko do pokoju i odruchowo sięgnęła ręką do kontaktu, kiedy przypomniło się jej, że nie wolno jej zapalać światła. Zaklęła, wyszarpnęła z kieszeni smartfona i włączyła latarkę. Pośpiesznie rzuciła się do szafy, przyświecając sobie telefonem, zlokalizowała garnitur męża i wyciągnęła z jego kieszeni płócienny woreczek. Szeroki,

pełen złośliwej satysfakcji uśmiech rozlał się na jej twarzy, kiedy zajrzała do środka. To była jej przepustka do lepszego życia.

Wyłączyła latarkę i odłożyła telefon na nocną szafkę. Nerwowo wepchnęła woreczek do torebki, zlokalizowała pilota do samochodu męża i już zamierzała sięgnąć po smartfona, kiedy bardziej poczuła, niż usłyszała ruch za sobą. Próbowwała się odwrócić, ale nie miała szans. Ktoś przytrzymał ją za ramię, czyjaś dłoń zatkała jej usta. W panice na oślep macała przestrzeń przed sobą w poszukiwaniu telefonu. Wreszcie znalazła go, ale zdołała tylko oprzeć dłoń na ekranie, a zaraz potem została szarpnięta do tyłu. Ekran smartfona rozbłysnął światłem i zgasł w chwili, gdy na jej szyi zaciskały się czyjeś ręce. Zapomniała naładować baterię.

## DZIEŃ PIĄTY WIELKI PIĄTEK

Malwinę obudził męczący dyskomfort. Otworzyła oczy z niejakim trudem i od razu poczuła, że jest właścicielką głowy. Dużej, ciężkiej i obolałej. Do stanu posiadania dołączyło przeraźliwie wyschnięte gardło. Leżąc bez ruchu obok śpiącej przyjaciółki, przeprowadzała w myślach skomplikowaną analizę, która wyjaśniłaby przyczyny dokuczliwego samopoczucia. Ani chybi infekcja. To było pierwsze, co jej przyszło do obolałej głowy. Niby wspomagała organizm niezbędnymi do jego funkcjonowania witaminami, ale wiadomo – wirusy są złośliwe i dopadają człowieka niespodziewanie. Ognisko. To musiało być to. Przy ogniu było ciepło, ale mogło ją przewiać od tyłu mimo ciepłego okrycia. Aż jej się gorąco zrobiło, kiedy pomyślała, że do kompletu cierpień może dołączyć jeszcze efekt przeziębionego pęcherza. Usiadła gwałtownie, zapominając o śpiącej Elizie. Profilaktyka! Natychmiast musiała zażyć tabletkę. Żaden złośliwy pęcherz nie ma prawa psuć jej rekreacyjnego wyjazdu!

Obudzona nagłym ruchem Eliza otworzyła oczy i od razu jęknęła, łapiąc się za głowę.

– Co mnie podkuśiło, żeby próbować tej cholernejszej nalewki? – Zamknęła z powrotem oczy i pomasaowała delikatnie skronie. – Jeśli jeden kieliszek tak działa, to po wypiciu butelki delikwent chyba od razu schodzi... Kac... Fuj, co za okropne słowo... Przysięgam, że ostatni raz miałam kaca jakieś dwadzieścia lat temu! – Otworzyła jedno oko i łypnęła na znieruchomiałą Malwinę. – Może powinnam jednak wziąć pod uwagę okoliczności łagodzące w sprawie tego Stasiulkowego picia? Jak on tak miał codziennie... A może i nie – zdecydowała po namyśle. – On sobie tego kaca fundował z pełną świadomością. Ja go złapałam niechcący. Nie przewidziałam, że Kaziowa produkuje prawdziwą wodę ognistą i jeden kieliszek mnie zmiecie. Nikt mnie nie uprzedził, że ta nalewka jest na czystym spirytusie... – Otworzyła drugie oko, bo bezruch przyjaciółki ją zaniepokoił. – Co ci się stało? Żle się czujesz?

– Kac? – powtórzyła Malwina ze zgrozą. – Jak to...? Kac? Taki od alkoholu?

– Podobno jest jeszcze moralny, ale do niego nie widzę podstaw... Pewnie, że od alkoholu!

– Ale... Jak to? Chcesz powiedzieć, że po prostaku się urznęłyśmy? Jak

menelki? Jednym kieliszkiem? – zapytała Malwina, czując, jak w środku kotłuje się w niej okropna, dusząca kula niepokoju.

– Jak menelki to nie. To ta cholerna nalewka – westchnęła Eliza. – A smakuje! Te pijaczyny z Olimpu pewnie coś podobnego musiały żłopać na swoich ucztach... Dzięki Bogu, że nie wypiałam więcej, bo dziś odkryłabyś kolejną nieboszczkę... Militarnie to my jako państwo chyba leżymy, ale jakby Kaziowa sprzedała patent wojsku jako broń biologiczną, dalibyśmy radę każdemu!

Do świadomości Malwiny dotarło, że żadna choroba jej nie grozi. Winę za jej paskudne samopoczucie ponosi alkohol.

– Ale jak to tak? – jęknęła z pretensją. – Przecież czasami zdarza mi się wypić lampkę wina czy koniaku i... No, jak to tak?

– Nie nadajemy się na alkoholiczki – stwierdziła ponuro Eliza, masując prawą skroń, która przejawiała wyraźne tendencje do bolesnego łupania. – Pijamy znormalizowane procenty. Ta nalewka Kaziowej i słonia by zmogła... O, chyba mam dobry tytuł dla Klary. *Zabójcza nalewka* – dwa kieliszki i trup... Chyba musimy jakoś wstać, bo nam śniadanie przepadnie.

Malwina z obrzydzeniem pomyślała o posiłku i nagle coś jej się przypomniało. Z wrażenia zrobiło jej się słabo.

– Co my wczoraj... Czy my wczoraj coś zrobiliśmy? Głupiego? – zapytała straszonym głosem. – Bo... Jezu, mam nadzieję, że to był tylko koszmar sen!

– A co ci się śniło? – zainteresowała się niemrawo Eliza, siadając ostrożnie i grzebiąc w leżącej na nocnej szafce torebce w poszukiwaniu panaceum na dolegliwości.

– Straszne rzeczy. – Malwina otrząsnęła się lekko, bo przed jej oczami pojawił się okropny obraz. – Że odgrywamy obie nasz popisowy kawałek ze szkolnego teatru *Golono, strzyżono*... Błagam, powiedz, Liza, że mi się to śniło!

Eliza znieruchomiła z ręką w torebce, bo miłosierna zasłona niepamięci nagle opadła i przypomniał się jej wczorajszy wieczór. Ze wszystkimi szczegółami.

– Święta Cecylia! – sapnęła ze zgrozą. – Nie śniło ci się! Zrobiliśmy to! Uznałyśmy, że to ognisko przypomina stypę i postanowiłyśmy ich rozruszać... Jakim cudem pamiętałyśmy ten cholerny wiersz... Chyba nawet dałyśmy z siebie wszystko, bo ten bandyta Jagodziński tak się śmiał, że mało z ławki nie zleciał...

– A reszta? – spytała słabo Malwina.

– Też się śmiali – przypomniała sobie niepewnie Eliza. – A potem wszyscy bili nam brawo. Zaborska... Albo ten ramol... Ramol! Powiedział, że już w tym życiu nie spodziewał się usłyszeć tak wykonanej klasyki... To chyba komplement, nie?

– A potem? Zrobiliśmy coś jeszcze? – drążyła ze strachem Malwina. – Bo szkolny repertuar miałyśmy dosyć bogaty... Marianowicza wierszyków,

mam nadzieję, nie recytowałyśmy?

Eliza zastanowiła się uczciwie i po chwili na jej twarzy pojawiła się ulga. Wygrzebała wreszcie z torebki jakieś rozpuszczalne tabletki przeciwbólowe, zrezygnowała rozsądnie z efektów ruchowych na rzecz werbalnych i powiedziała:

– Nie. Zdaje się, że ten popis nas wyczerpał i uznałyśmy, że musimy się zregenerować. Wróciłyśmy do pokoju i chyba nawet się umyłyśmy. Więcej nie pamiętam.

Malwina odetchnęła i starając się nie wykonywać zbyt gwałtownych ruchów, wstała z łóżka. W drzwiach łazienki odwróciła się i obrzuciła przyjaciółkę ponurym wzrokiem.

– Pić będę na pewno. Dużo. Ale jeść... W dodatku chyba powinnam siedzieć na twarzy. Mniejszy wstyd.

– E tam. – Eliza nonszalancko wzruszyła ramionami. – Nie przesadzaj. Jakbyśmy gołe latały, to może i wstyd. I prospekt ucieszny, jak powiadał Zagłoba. Ale odrobina klasyki nikomu jeszcze nie zaszkodziła... Myj się szybko, bo ja też mu...

Przerwało jej dość gwałtowne pukanie. Nie zważając na struchlałą Malwinę, która zastygła jak kamień, ani na ból głowy, Eliza żwawo potruchtała do drzwi i uchyliła je nieco.

– Panie się pośpieszą – zatrajkotała zaróżowiona z przejścia Florka. – Komendant przyjechał i chce, żeby wszyscy przyszli do jadalni. Nos ma czerwony jak burak – dodała konspiracyjnie.

– Coś się stało? – wykrztusiła zaskoczona Eliza.

– Nic nie powiedział, bo Kaziowa się tam piekli... Panie się pośpieszą.

Kiedy obie kraśniczanki wchodziły do jadalni, odświeżone i zaintrygowane, choć nieco niepewne reakcji towarzystwa, powitał je jazgot Kaziowej. Kucharka z wściekłą miną, podparta pod boki, wydzierając się właśnie na stojące przed nią skruszone kelnerki.

– Tak was w domu nauczyli?! Bez pytania brać?! Trza było z drugiej półki, a nie z tej! Na tej stoją lecznicze nalewki! Na spiricie uczciwym! To leki są, nie do chłania! Do chłania trza było wziąć orzechówkę albo cytrynowkę! Cud boski, że nikogo nie wykończyły! Jak mi jeszcze raz bez pytania w kuchni porządzą, będzie Michotek szukał nowej kucharki! Oliwka! A ty gdzie byłaś, jak...

– Spokój, Kaziowa! – huknął wreszcie zniecierpliwiony komendant. – To pierdoły są! Ja tu prawdziwy problem mam! Pan Jagodziński zgłosił zaginięcie żony. Tomanek i dwóch moich ludzi przeszukują posiadłość. Macie mi powiedzieć, kiedy ostatni raz każde z was ją widziało!

– Jezusie, Maryjo! – Kaziowa pobladła i osunęła się na krzesło. – Przy obiedzie ją widziałam. Wyszłam wcześniej, bo pan Tomuś ognisko chciał zrobić i kolacja miało nie być. W kościele byłam. Pomodlić się za Michotka.

Ksiądz mnie widział i baby... Jezusie, Maryjo... A jak się bieduli co stało?

- My później - zagadała szybko Roksana, patrząc dziękczynnie na komendanta, który ocalił obie kuzynki przed dłuższą pogadanką. - Przy ognisku. Siedziała koło nas. Nawet się trochę zdziwiłam, że nie koło pana Jagodzińskiego, bo przeważnie to nas w ogóle... no, jakby nie widziała. A wtedy siadła, ale nie rozmawiała, tylko tak sobie siedziała. Kiełbasę miała na patyku. Potem gdzieś poszła. Myślałam, że do pokoju.

- Ognisko zaczęło się o dziewiętnastej - powiedziała z namysłem Klara. - Zanim Tomek porządnie rozpałił ogień, minęło z pół godziny. Wszyscy tam byliśmy. Poza Igorem. W ogóle się nie pokazał od obia...

- To może być on. Ten gówniarz - przerwał jej ostro Jagodziński. - Może to on zabił tamte kobiety, a w końcu dorwał moją żonę!

- Niby po co? - zainteresował się Bryzgul. - Ma pan jakieś podejrzenia?

- A dlaczego tamte zginęły? To pan powinien wiedzieć, nie ja! - W głosie biznesmena dzwięczała irytacja. - Może poszła do parku się przejść i skorzystał z okazji? Miał dostęp do firmowych kosmetyków przecież! Sam widziałem, jak Joanna się z nim kłóciła!

- To dlaczego pan tego nie powiedział od razu? - Nos komendanta złowrogo poczerwieniał.

- Nie wtrącam się w cudze sprawy. - Jagodziński wzruszył ramionami.

- A skąd pan wie, że pozostałe denatki zostały oblane bergamotką? - W oczach Bryzgula błysnęła podejrzliwość. - Nic o tym nie mówiłem.

- Niech pan nie obraża mojej inteligencji! - warknął Jagodziński. - Nie bez powodu sprawdzał pan stan kosmetyków w pensjonacie...! Dość tego! Moja żona zniknęła! Była w pokoju, kiedy się kładłem, a rano nie było po niej śladu! Razem z nią zniknęła jej torebka! I telefon!

- No i widzi pan, ja bym od razu podejrzewał, że kobieta gdzieś sobie prysnęła - powiedział wolno komendant. - A pan uznał, że małżonka nie żyje i już nawet wskazał winnego.

Tym razem poczerwieniał Jagodziński. Zaciśnął szczęki i pięści, a w jego oczach zamigotała furia. Zanim jednak zdążył coś powiedzieć, do jadalni wszedł Tomasz Tomanek. Wyglądał na zmęczonego.

- Znaleźliśmy ją. W zaroślach przy starej willi. Pod ciałem była torebka, a w niej dokumenty i telefon. No i ta cholerna bergamotka... Wezwij ekipę, komendancie.

- Jezusie, Maryjo - wyszeptała nabożnie Kaziowa, bo pozostali skamienieli. - Bidny dzieciak... Świeć, Panie, nad jej duszą...

- Zauważyłaś, że ani Tomanek, ani komendant słowem nie odnieśli się do Igora? - Malwina spojrzała pytająco na przyjaciółkę.

Stały obie na ulubionym kamiennym mostku, oparte o balustradę i z przyjemnością wdychały pachnące wilgotną ziemią powietrze. Zdążyły się już zreanimować. Brak codziennego śniadania im nie przeszkadzał. Żadna nie

miała ochoty na porządny posiłek. Zadowolili się sokiem i płatkami z mlekiem.

Wieść o śmierci Nikoli nie tylko im odebrała apetyt, a Kaziowej i tak wszystko leciało z rąk. Poddała się, kiedy kolejne jajko wylądowało na podłodze zamiast na patelni i oznajmiła, że obiad może ugotuje, ale śniadania zrobić nie da rady. Usiadła w kącie kuchni i zaczęła szeptać modlitwy. Kelnerki, pod czujnym okiem Oliwki, postawiły przed gośćmi pieczywo, twarożek, masło i domowej roboty dżemy. Nikt się nie buntował.

– A i owszem – przytaknęła zamyślona Eliza. – Najwyraźniej jego nieobecność ich nie zmartwiła. Coś mi się zdaje, że oni doskonale wiedzą, gdzie jest Igor... Zauważyłam coś jeszcze. Komendant był dziś jakoś wyjątkowo wrogo nastawiony do Jagodzińskiego. Co nam to mówi?

– Że go nie lubi – odparła głupio Malwina, która właśnie poczuła ogromną ulgę, że w obliczu kolejnego zabójstwa ich wczorajszy alkoholowy wyczyn odszedł w niepamięć.

– Ta nalewka mózg ci przepaliła? – zirytowała się Eliza, rzucając jej pełne nagany spojrzenie. – To nam mówi, że coś na niego mają i już nie muszą być grzeczni!

Malwina wydeła usta z powątpiewaniem.

– Chyba przesadzasz z tymi wnioskami. Przedtem też nie byli specjalnie grzeczni... Zaraz! – zbystrzała nagle. – Jeśli wiedzą, gdzie jest Igor i nie lubią Jagodzińskiego bardziej niż zwykle... Podejrzewają go o zabicie Nikoli?! Dlaczego miałby ją zabić?!

– Tego to ja nie wiem – przyznała Eliza. – Ale jakby zabił i oni by to udowodnili, mogliby mu dołożyć więcej. Ja bym była za. Coś się Tomankowi za wywalenie z roboty należy.

Usłyszały kroki na ścieżce i odwróciły się gwałtownie. Szła ku nim Teresa Zaborska z taką miną, jakby właśnie trafiła jedyną szóstkę w totolotka.

– Dzisiaj przywozimy Bronia ze szpitala! – oznajmiła radośnie, wchodząc na mostek. – Tak myślałam, że panie tu znajdzie... Kaziowa od razu się pozbierała, kiedy usłyszała, że szef wraca. Dziś na obiad będzie ucha. Specjalnie na jego cześć. No i do postu pasuje.

– To już aż tak mu się poprawiło? – zdziwiła się Eliza. – Bo trochę się w tym wszystkim pogubiłam...

Lekarka poczerwieniała z zakłopotania i uśmiechnęła się niepewnie.

– Wyjaśnię paniom, ale proszę o dyskrecję. Nie chciałabym, żeby Bronio dowiedział się o wszystkim... On nie leżał na OIOM-ie. Mam znajomego lekarza w Giżycku. Pomógł mi przenieść Bronia do innej sali. Ten OIOM... Chodziło o to, żeby Igor nie miał do niego dostępu. Teraz... Cóż, sytuacja się zmieniła, prawda?

– Prawda – przytaknęła chłodno Malwina i od razu zaatakowała: – Podejrzewała pani, że to nie jest prawdziwy Igor, tak? To dlaczego nie powiedziała pani tego Tomankowi? Przecież on tu przyjechał, żeby chronić

Michotka! I to wy zaalarmowaliście Klarę!

– Podejrzywałam – przyznała Zaborska. – Ale musiałam być ostrożna. Bronio mu uwierzył. Igor miał przy sobie pamiątkę po jego córce, znał fakty z jej życia... Dla niego to było tak, jakby odzyskał po latach Irenkę. Był szczęśliwy. Bałam się to psuć. Gdybym się myliła... – Pokręciła głową ze smutkiem. – Zrobiłabym krzywdę jemu, Igorowi i... sobie – dokończyła ciszej.

– Nikomu nie musiała pani robić krzywdy. – Eliza wsparła przyjaciółkę. – Pan Tomanek mógł to sprawdzić po cichu. Na pewno jeszcze ma jakieś kontakty w policji... Nie będzie pani miała wyrzutów sumienia, jeśli okaże się, że pani podejrzenia mogły uratować życie kilku osobom?

– Będę miała. – Zaborska spojrzała jej prosto w oczy i dodała twardo: – Ale będę miała także świadomość, że to nie ja byłam tą osobą, która pozbawiła Bronia złudzeń. To zaboląoby go najbardziej...

Kaziowa, uszczęśliwiona nadzieją powrotu do normalności, przeszła samą siebie. Zupa rybna była tak smakowita, że w jadalni na długą chwilę zapadło milczenie przerywane tylko od czasu do czasu brzękiem sztućców. Świeżo przybyły ze szpitala rekonwalescent nie odstawał apetytem od reszty towarzystwa. Jadł, jakby go tydzień nie karmili, a stojąca w drzwiach kuchni kucharka spoglądała na niego z pełnym dumy zadowoleniem.

– Ja tu Michotka odkarmię – obiecała donośnie. – Bo w tym szpitalu to... E, szkoda gadać. Gęba się chłopu wyciągnęła od tego chorowania. No, na Wielkanoc odje swoje.

– Zapasie nas Kaziowa przez te święta – zaśmiał się Tomasz.

– Pana to nie dam rady. Wszystko pan wylata – fuknęła kucharka. – Ale pannie Klarze trochę tłuszczu się przyda.

– Nie będę się bronić – przyznała radośnie Klara. – Przy pracy spalę każdy nadmiar, a grzech pogardzić dobrym jedzeniem. W Warszawie nie mam takich pyszności. – Jakiś cień przeleciał jej po twarzy.

Tylko Malwina, która ukradkiem obserwowowała Seweryna Koziełkę, by zareagować, gdyby chciał dokuczyć siostrzenicy, dostrzegła zaskoczenie w jego oczach. I coś jeszcze, czego nie potrafiła nazwać. Żal? Współczucie? Bezsilność?

– Ktoś wie, gdzie podział się Igor? – zapytała nagle Laura Kawecka z paniką w oczach. – I Jagodziński?

Teresa Zaborska obrzuciła ją niechętnym spojrzeniem i pośpiesznie zagadała siedzącego obok Michotka, który na chwilę przerwał jedzenie.

– Spokojnie – odezwał się z uspokajającym uśmiechem Tomasz. – Wszystko jest pod kontrolą. Nic złego więcej się nie wydarzy. Igor jest pod dobrą opieką, a Jagodziński jest na komendzie. Bryzgul ma do niego parę pytań. To formalność... Panie Bronku, miałby pan coś przeciwko, gdybym zaprosił na śniadanie wielkanocne Freda? W tym roku święta wyprawia jego



teściowa. Chętnie by gdzieś zniknął, ale nie wie, jak się wyłgać. Ja bym chętnie posłuchał, jak mu się udało rozwiązać sprawę tych zabójstw. Inni pewnie też. No i... Tak prywatnie też bym go chciał zaprosić, bo zaprzyjaźniliśmy się, a będę miał nowinę przy okazji święta... Co pan na to?

Wszyscy zamarli z łzykami w dłoniach i z wyraźną nadzieją wpatrzyli się w Michotka.

– To oni już wiążą? – wyrwało się Kaziowej z oburzeniem. – I nic nam nie powiedzieli?!

– Wiążą. – Uśmiechnął się Tomasz. – Ale ciągle jeszcze zbierają dowody i spisują zeznania. W komendzie siedzi CBS i powiatówka.

– Panie Tomku, oczywiście, że się zgadzam. – Właściciel pensjonatu spojrział na niego ciepło. – Alfred jest na noże z teściową, odkąd przymknął szwagra za zakłócanie spokoju. – Pokręcił głową. – Całe Krukielniki o tym mówiły przez miesiąc. Szalał pijany na motorze po nocy, bo się z żoną pokłócił. Alfred go zamknął, zabrał prawo jazdy, wygłosił pogadankę i mandat wypisał. Obaj się pogodzili, tylko teściowa nie odpuściła. Bo uważa, że rodzina powinna być traktowana na innych prawach.

– U nas wszyscy tak uważają – nie wytrzymała Malwina. – Od góry do dołu. A nie przyszło jej do głowy, że synalek mógł zabić kogoś lub siebie?

– Nie przyszło – powiedziała Zaborska. – Znam ją. Ona ma dosyć ograniczone spojrzenie na świat. – Przeniosła na Tomanka wzrok, w którym było wyraźne ostrzeżenie. – Mam nadzieję, że komendant daruje nam krwawe szczegóły.

– Z tego, co mi wiadomo, bardzo krwawych nie było – uspokoił ją Tomasz.

– Jakie by nie były, ja tam jestem ciekawa – wyznała spokojnie Kawecka. – Znałam Aśkę od lat. Chciałabym wiedzieć, jak zginęła i dlaczego.

– My też – oznajmiły jednym głosem Malwina i Eliza.

– Chętnie się dowiem, jakie motywy kierują ludźmi, kiedy decydują się na zabójstwo – przyłączyła się Klara.

Seweryn Koziętko zerknął na nią ukradkiem, a widząc, że pozostali patrzą na niego wyczekująco, pokiwał głową.

– Ja również. Choć tyle już w życiu widziałem, że chyba niewiele... Jednak nie. Ludzie wciąż nie przestają mnie zadziwiać – westchnął.

Patrycja, Roksana, Oliwka i Florka, którą wreszcie odwołano z recepcji, nic nie mówiły, tylko oczy im błyszczały. Już się widziały w roli najbardziej popularnych mieszanek Krukielnik. Co najmniej przez miesiąc to one będą najważniejsze w całej wsi.

Po południu za radą Tomasza obie kraśniczanki wybrały się do Giżycka. Ponieważ w Poniedziałek Wielkanocny zamierzały wracać, postanowiły poszukać prezentów dla rodziny. Wróciły zmęczone, ale zadowolone. Przy kolacji dowiedziały się, że obiecane przez Tomanka sielawy i dwa węgorze

już się wędzą. Zwróciły mu pieniądze, a po posiłku zaszyły się w swoim pokoju, bo jednak wędrowniacy po Giżycku i poranny kac dały im się we znaki. Musiały szybko wrócić do formy. Na sobotę Tomasz zapowiedział wycieczkę.

– Chyba mnie jakoś przybyło – stwierdziła z niezadowolaniem Eliza, stojąc w drzwiach od łazienki i z popłochem obmacując biodra. – Dlaczego te wredne kilogramy zawsze wybierają tyłek jako punkt docelowy?

– U niektórych wybierają brzuch – mruknęła zalegająca na łóżku Malwina i rzuciła przyjaciółce potępiające spojrzenie. – Jak się tyle wsysa, to nic dziwnego. Gdzieś się musi ulokować.

Eliza popatrzyła na nią z urazą.

– Też ci smakowała smażona sielawa – wytknęła. – Co ja poradzę, że Kaziowa tak dobrze gotuje. I jakoś inaczej. W Kraśniku takich rzeczy nie jadłam.

– Jak wrócisz, chlapij sobie rycyny – poradziła Malwina złośliwie. – Wylezie wszystko za jednym posiedzeniem. Już sprawdziłaś kiedyś. Tylko najpierw uprzedź dzieci, że bierzesz łazienkę w ajencję na dłuższy czas.

– Odczep się. Po powrocie zrobię sobie dietę i będę piła herbatki odchudzające – powiedziała Eliza z nadzieją. – A może już jutro trochę zgubię? Tych kilogramów? Tomanek powiedział, że będziemy dużo chodzić.

– Jutro może i zgubisz, ale przy śniadaniu wielkanocnym pewnie odrobisz... Nic cię dzisiaj nie zdziwiło?

– Zdziwiło. – Eliza z westchnieniem ulgi wyciągnęła się na swojej połowie łóżka. – Nieobecność Igora i Jagodzińskiego. Młodego Michotka chyba już zgarnęli, ale Tomanek nie chce denerwować jego dziadka. A Jagodziński był na komendzie jako... A! Zaraz! Tam CBS jest, tak? No to chyba nie bez powodu... Coś mi się zdaje, że nasz biznesmen już nie wróci do pensjonatu.

– Mówiła mi Florka, że policja tu była. Kiedy pojechaliśmy do Giżycka. Przeszukali pokój Jagodzińskiego i zabrali jego samochód. I sprawdzili mieszkanie przy recepcji. I tę willę Michotka. Ale Florka nie wie, czy coś znaleźli, bo ją Tomanek do roboty zagonił. Mówiła tylko, że wyglądali na zadowolonych, kiedy wychodzili. – Malwina niecierpliwie machnęła ręką. – To akurat nie jest dziwne. Same wydedukowaliśmy, że zabójcą jest Igor. A Jagodziński też nie święty, bo robi jakieś machloje... Mnie chodzi o starego ramola. Zauważyłaś, że przestał dokuczać Klarze?

– Może mu Tomanek do słuchu nagadał? – podsunęła Eliza.

– Może i tak. Ale on się jednak dziwnie zachowuje... Ramol, nie Tomanek. Jakby miał na coś nadzieję i jednocześnie bał się, że to nie wypali.

– Jeśli nikogo nie zabił, to mnie jego zachowanie kompletnie nie obchodzi – powiedziała stanowczo Eliza. – Nigdy wcześniej nie trafiło nam się tak skomplikowane śledztwo. Chyba mi się mózg przegrzał, bo już mi się nie chce myśleć o problemach herbowych ramoli. Teraz poczekam na relację komendanta, bo jestem ciekawa, czy miałyśmy rację... Patrz, a naprawdę myślałam, że to będzie rekreacyjny wyjazd – westchnęła z żalem.

- Bo to wszystko przez ciebie – wytknęła Malwina.
  - Przeze mnie?! – Eliza aż usiadła z oburzenia. – Przez tego cholernego krasnala! Bo ci zaburzał poczucie estetyki! Ja nie zgłaszałam pretensji!
  - Przez ciebie! – uparła się Malwina. – Bo ci się nie chciało poszukać porządnej kwatery!
- Po chwili w pokoju grzmiała potężna awantura.

## DZIEŃ SZÓSTY WIELKA SOBOTA

Zaraz po skromnym śniadaniu Kaziowa bez słowa postawiła przed gośćmi pięknie przybrane koszyki ze święconką. Koziełło zauważył zdziwienie kraśniczanek i wyjaśnił:

– Tradycją „Olszynki” jest, że to goście noszą pokarmy do święcenia. Jeszcze pani Jadwiga to wymyśliła. Ona, jako gospodyni, zawsze była wtedy zajęta, więc do kościoła szli goście. Oczywiście nie ma przymusu, ale zapewniam, że to bardzo przyjemny spacer. Zwłaszcza że dzień mamy słoneczny.

– Spacer? – Laura Kawicka uniosła brwi. – Daleko ten kościół? Nigdy tu nie byłam na Wielkanoc.

– Niedaleko – pocieszyła ją Zaborska. – Zaraz za cmentarzem. Pójdziemy szosą, a wrócić możemy brzegiem Krukielki.

– W takim razie idę z wami.

W rezultacie poszli wszyscy i zabrali ze sobą Michotka, czego stanowczo domagała się Kaziowa, twierdząc, że ma on Panu Bogu za co dziękować.

Po powrocie z kościoła Tomasz dał im czas, żeby się przebrali, zapakował ich do małego busa z logo „Olszynki” na masce i uwiózł w sobie tylko znanym kierunku na cały dzień, zyskując tym dozgonną wdzięczność kucharki i pozostałego personelu.

Najpierw zawiózł ich do Świętej Lipki, gdzie trafili na koncert organowy *Pasji* Bacha. Kiedy uznał, że potrzeby duchowe zostały zaspokojone, zabrał swoją czeredkę do leśniczówki „Pranie”, wcześniej umówiwszy tę wizytę ze znajomym kustoszem. Tu błysnęła talentem Laura Kawicka, która przeczytała ulubione fragmenty „Kroniki olsztyńskiej”.

Potem Tomanek pojechał do Mikołajek, wsadził swoich gości na statek i obiecał, że będzie na nich czekał w Giżycku.

Rejs szczególnie przypadł do gustu Elizie, która szybko zorientowała się, jaki cel przyświeca kłębiącym się nad pokładem rozkrzyczanym rybitwom. Rozanielona, natychmiast wyciągnęła z torebki nabytą na nabrzeżu bułkę i zaczęła dokarmiać wygłodniałe ptaszki, które – zgodnie ze swoją naturą – zaraz po zapchaniu przodu uruchamiały działalność tylną, co (słusznie) wywołało protesty pozostałych pasażerów rejsu. Rozwścieczona Malwina zdołała oderwać przyjaciółkę od ulubionego zajęcia tylko dzięki temu,

że wzięła ze sobą lornetkę. Wepchnęła ją Elizie, która na tyle zafrapowała się oglądanymi widokami, że zrezygnowała z dokarmiania latającej żywiny.

W Giżycku zjedli obiad w niewielkim barze, po czym Tomasz zagonił ich do busa i zawiózł do Gierłóży. Wilczy Szaniec rozczarował kraśniczanki, ale potulnie przewędrowały całą trasę z nadzieją, że uda im się spalić trochę kalorii.

W drodze powrotnej wszyscy byli już tak zmęczeni, że po dotarciu do pensjonatu i zjedzeniu mało wykwintnej kolacji rozeszli się do siebie. Ruch i świeże powietrze sprawiły, że spali jak susły.

## DZIEŃ SIÓDMY WIELKANOC

– Dzisiaj możesz założyć te swoje godowe szaty – zezwoliła łaskawie Malwina, wychodząc z łazienki. – I umaluj się jakoś. Niech sobie szlachta nie myśli, że jak mieszczańki, to gorsze.

– Szlachtę reprezentuje tu jeden osobnik – zauważyła Eliza i od razu się poprawiła: – A, nie. Przepraszam. Klara też szlachcianka. Ale i tak jesteśmy w większości... Jak myślisz – jeśli Klara wyjdzie za Tomanka, to to będzie mezalians?

– Casy ci się chyba pomyliły. – Malwina puknęła się w czoło. – Dziś mezalians może być najwyżej wtedy, kiedy głupota weźmie ślub z mądrością. Reszta nie ma znaczenia.

– Mam nadzieję – mruknęła Eliza. – Na mędrca nie mam kwalifikacji, ale taka najgłupsza też się nie czuję... Dobra, idę się myć, bo się spóźnimy na śniadanie.

W jadalni wszystko było już przygotowane. Stoliki zsunięto na środku w dwuszereg i nakryto białymi obrusami, dzięki czemu powstał wielki stół. Pomiędzy nakryciami kelnerki, pod czujnym okiem Kaziowej, poustawiały małe koszyczki z ręcznie robionymi kolorowymi pisankami i gliniane podstawki z zielonymi żdźbłami żyta. Na środku na podłużnej tacy leżał sporych rozmiarów baranek z ciasta. W małych wazonikach tkwiły bazie. Wazy z barszczem, półmiski z obranymi jajkami i koszyki z pieczywem czekały na konsumentów.

Odświętnie ubrany Bronisław Michotek, od którego biła serdeczna życzliwość i spokój, osobiście rozsadał gości i swój stały personel. Jako ostatnia wpadła do jadalni zarumieniona Klara, próbując uśmiechem pokryć przygnębienie. W pastelowej zielonej sukience wyglądała tak wiosennie i uroczo, że Tomankowi na jej widok zaświeciły się oczy. Tylko Seweryn Koziełło wychwycił kiepski nastrój siostrzenicy i westchnął bezradnie. Prawie pożałował, że nie przewidział rozwoju sytuacji i zamiast Klary nie przywiózł tu gość innego.

Michotek wziął talerzyk ze święconym jajkiem i zaczął podchodzić do wszystkich, składając życzenia. Przez chwilę panował radosny gwar, który skutecznie uciszył jeden gest wystrojonej świątecznie Kaziowej – wskazała parujące wazy i natychmiast całe towarzystwo poczuło wilczy głód

wzmagany jeszcze kwaskowatym aromatem barszczu na domowym zakwasie. Widząc, że panowie nalewają sobie kolejne porcje, kucharka puchła z dumy.

– No i co, Bryzgul? – Spojrzała na pałaszującego komendanta z chytrym uśmiechem. – Nie żałujecie, żeście do teściowej nie poszli?

– A co mam żałować? Nikt mi za uszami nie jazgocze, a wyżerka taka, że... Od was, Kaziowa, to i cykuta by smakowała.

Kucharka pokraśniała z zadowolenia i dała mu spokój. Swoją uwagę przeniosła na resztę towarzystwa. Kiedy stwierdziła, że wszyscy mają dosyć, dała znak Oliwce. Dziewczyna popędziła do kuchni, a kelnerki pośpiesznie zaczęły zbierać naczynia.

– Jeszcze nigdzie tak dobrze nie jadłam – wyznała Malwina. – Choć sama nieźle gotuję.

– Bo nigdzie nie ma takiej drugiej Kaziowej – zaśmiał się gospodarz i wstał. – Skoro już nikomu w brzuchu z głodu nie burczy, chciałbym coś ogłosić. – Nabrał tchu i wyrzucił z siebie: – Poprosiłem Terenię o rękę. W czerwcu weźmiemy cichy ślub. – Przyciągnął do siebie zarumienioną lekarkę. – Ale gratulacje przyjmujemy chętnie już teraz.

Znowu zapanował gwar, bo wszyscy rzucili się do obojga z życzeniami. W międzyczasie Patrycja i Roksana wносиły pełne półmiski, strzygąc z emocji uszami i rzucając sobie porozumiewawcze spojrzenia. Oj, najświeższe nowiny zatrzęsą całą wsią...

Ledwo goście zdążyli usiąść na swoich miejscach, podniósł się Tomasz.

– Dobrze, że wcześniej się nie wychylałem, choć już przed śniadaniem mnie pchało. Gospodarz ma pierwszeństwo. Teraz już mogę... No więc, Klara i ja...

– ...zaręczyliśmy się – weszła mu w słowo dziewczyna, rzucając wujowi wyzywające spojrzenie. – I też zamierzamy się pobrać, ale jeszcze nie myśleliśmy o dacie... Wuju...? – Zastygła, patrząc na Koziełkę, który wbił w siostrzenicę uszczęśliwiony wzrok i łyzy mu pociekły po pobrużdżonej twarzy.

– Dożyłem tego. Dożyłem – powtarzał Seweryn w upojeniu i prawie miał ochotę tańczyć ze szczęścia, choć łyzy sprawiły, że wszystko mu się rozmazało przed oczami. – Dożyłem... Teraz już mogę spokojnie umrzeć... Klaruniu – powoli wstał i wyciągnął ręce – dziecko kochane... Taki jestem szczęśliwy... Chodźcie tu do mnie oboje. Niech was wyściskam...

Zdezorientowana Klara i zaniepokojony Tomasz potulnie pozwolili się wyściskać, a potem zostali przechwyceni przez pozostałych gości. Zaborska rzuciła starszemu panu konspiracyjne spojrzenie, a potem przeniosła wzrok na Kaziową, od której biło szczęście. Kucharka kiwała się na swoim krześle, oczy jej błyszczały jak stuwatowe żarówki i powtarzała jak najpiękniejszą mantę:

– Podwójne wesele... Święta Cecylia, podwójne wesele... Trza Michotka

pilnować, żeby za wcześnie kopyt nie wyciągnął... Nigdy we wsi nie było podwójnego wesela... Przez lata będą o tym gadać... O mnie będą gadać... – Nagle coś sobie uświadomiła i złapała za rękę przechodzącego obok Tomasza. – Panie Tomek! Tu nie ma co kombinować! Na co pan będziesz czekał? Tu zrobimy wesele! W czerwcu! Podwójne wesele!

– Ale... – Tomasz z popłochem spojrział na Klarę.

– Dlaczego tak pani na tym zależy? – zapytała dziewczyna, pochylając się ku Kaziowej.

– Bo u nas nikt jeszcze nie robił podwójnego wesela! Będę pierwsza!

– To chyba nie mamy wyjścia, Tomek. – Klara się zaśmiała. – W porządku, pani Kaziowa. W czerwcu.

Wniebowzięta kucharka zapomniała o bożym świecie. Przestały do niej docierać wszelkie bodźce zewnętrzne. W jej głowie otworzyła się wielka książka kucharska ze zbieranych przez lata przepisów i nic nie było przyjemniejsze niż wyłuskiwanie z pamięci tych, które pasowały na wesele.

– Oliwka, a daj no, dziecko, jakąś mocniejszą wypiteczność na tę okazję – poprosił Michotek. – Toast się należy w taki dzień.

Pomocnica kucharki ze strachem obejrzała się na zadumaną Kaziową i potrząsnęła głową.

– Nie dam, bo mnie Kaziowa zabije. Już Pati i Roksi oberwały za wczoraj.

– A co zrobiły? – zainteresował się gospodarz.

– Wzięły na ognisko różaną nalewkę. Bo im ładnie pachniała. Elegancko.

– Upił się ktoś? Chorował?

– Na szczęście nie, bo więcej jak po jednym nikt by nie dał rady wypić. To miało być babskie. Dla chłopów pan Tomek piwo kupił... Ale te dwie nowe to chyba nienawykłe. Wierszem gadały, ale takim, że wszyscy boki zrywali.

– Idź do spiżarni i weź dwie butelki – polecił stanowczo Michotek. – Orzechówki. Wiesz, gdzie stoi. Na jednej będzie dopisek: damska, na drugiej tylko nazwa. Nie bój się. Biorę to na siebie.

– Broniu, jesteś po szpitalu – zwróciła mu uwagę Zaborska.

– Jestem. Ale ten jeden kieliszek muszę wypić, bo czeka mnie opowieść Alfreda. Obiecuję, że na jednym poprzestanę... Oliwka, idź.

Malwina i Eliza wzdrygnęły się nieco, kiedy na stole pojawiła się butelka. Nieufnie przyglądały się, jak Tomanek sprawnie ją otwiera.

– To dla dam – powiedział uspokajająco. – Słabiutka. Nic paniom nie będzie. Przysięgam. Nie dość, że nie powoduje skutków ubocznych, to jeszcze wspomaga trawienie.

Obszedł stół, napełniając kieliszki paniom, a potem powtórzył tę operację, rozlewając trunek dla mężczyzn.

– Kochani, niech nam dopisuje i zdrowie, i szczęście, bo to bardzo zacna para. – Michotek uniósł swój kieliszek. – Wypijmy też za tych – głos mu lekko drgnął – których dziś przy tym stole zabrakło...

– Nie za wszystkich – zastrzegł komendant.



– Masz rację. Nie za wszystkich. Za tych, którzy na to zasługują...

W milczeniu spełnili toast i sięgnęli po zakąski. Michotek przełożył spory plaster pasztetu z półmiska, który stał przed nim, spróbował i na jego obliczu błysnęła czysta błogość. Widząc jego minę, Zaborska poszła jego śladem i z uznaniem pokiwała głową.

– Broniu, Kaziowa jest genialna – oznajmiła półgłosem. – Daj jej podwyżkę, żeby nam nie uciekła. Pierwszy raz robiła pasztet z soczewicy, bo jej powiedziałam, że powinieneś unikać tłustego mięsa.

– Mogę? – Bryzgul nie wytrzymał i sięgnął po półmisek. Przełożył kawałek pasztetu na talerz, spróbował i stwierdził zdziwiony: – Smakuje jak mięso. Jest pani pewna, pani Tereniu?

– Jestem. Widziałam, jak go robiła. Specjalnie dla Bronia.

– Dałaby przepis? – zainteresowała się natychmiast Malwina, która też złapała kawałek. – Pyszny jest. Sama próbuję zmieniać nawyki żywieniowe w swoim barku, ale ciężko to idzie. Moi klienci upierają się przy tradycyjnych potrawach.

– Niech pani próbuje. – Uśmiechnęła się Zaborska. – Ale sukcesu nie gwarantuję.

Laura Kawecka delikatnie uderzyła łyżeczką o stojącą przed nią szklankę. W jej oczach błyszczała niecierpliwość.

– To już mamy odpracowane ogłoszenia parafialne i rozmówki towarzyskie. Czy możemy w końcu przystąpić do meritum? Chciałabym wreszcie usłyszeć, co pan komendant ma nam do powiedzenia. Chyba na to zasługujemy, prawda?

– Prawda – zgodził się Tomasz. – Opowiadaj, Fred.

Bryzgul z żalem popatrzył na pełne półmiski, ale posłusznie odłożył widelec. Przez chwilę zastanawiał się, od czego zacząć swoją opowieść i jakich słów użyć, żeby nie zdenerwować zbytnio Michotka. Wreszcie wziął głęboki oddech i zaczął:

– Ten gnojek, którego wszyscy uważali za Igora, naprawdę nazywa się Marek Trok. Cebosie mi go sprawdzili. Oni mają szybsze dojścia. Zdjąłem mu paluszki i znaleźli go w bazie. Był karany na Wyspach.

– Zdjął mu pan... Czyli Igor siedzi, tak? – upewniła się Eliza.

– Siedzi – przytaknął Tomasz. – Fred go zapudłował prawie zaraz po tym, jak wyleciał od nas. Wsiadł na motor, walnął dwa piwa, a kiedy zamierzał jechać dalej, chłopaki Freda go zgarnęli na dołek. Grzeczny był. Nawet mu nie zagwizdało, że może być o coś podejrany. Myślał, że to zwykłe zatrzymanie za próbę jazdy po pijaku.

– A Igor... – Głos Michotka załamał się nieco, ale mężczyzna szybko opanował się i dokończył. – Igor w ogóle istniał? Czy to też kłamstwo?

– Istniał – mruknął ponuro Bryzgul. – Ale nie mam dobrych wieści, Bronek. Zmarł z przedawkowania. W jakiejś melinie. Trok zwinął mu dokumenty, a podrzucił własne, bo już mu się pod tyłkiem paliło

i stwierdził, że musi zniknąć. Był dilerem. Handlował twardymi narkotykami i coś mu nie wyszło... Jeszcze wszystkiego z niego nie wydusiłem, bo dopiero od dwóch dni go magluję. Więcej pewnie wyśpiewa tym z powiatówki... W każdym razie podrzucił prawdziwemu Igorowi swoje dokumenty, poprawił jego...

– Sfałszował? – upewniła się Malwina.

– Nie sam. Zapłacił jakiemuś fałszerzowi. Trochę chyba byli podobni. Tylko kolor włosów musiał zmienić. Prawdziwy Igor był bowiem rudy... Szkoda, że pani nie wspomniała o swoich podejrzeniach, pani Tereniu. – Spojrzał z wyrzutem na lekarkę, która spuściła wzrok. – Mogliśmy go już wcześniej namierzyć.

– Zostaw – poprosił Michotek. – Takie pretensje to i do mnie możesz mieć. Też go podejrzewałem. Wolał mieszkać ze mną, choć za recepcją jest całkowicie wyposażone mieszkanie. Szybko zauważyłem, że znika mi gotówka. Wydawało mi się okropne podejrzewać rodzzonego wnuka... Tak, wiem. – Machnął bezradnie ręką. – To głupie. Czasami nic nie poradzisz. Tak było z Irką. Miała kochającą rodzinę, a wolała żyć po swojemu – westchnął. – Ale Irka nie kradła. Przez wiele lat odkładaliśmy na jej studia. Miała upoważnienie. Można powiedzieć, że zabrała swoje... Postanowiłem go sprawdzić. Tego Igora. Mógł nie wiedzieć o życiu matki tu, w Polsce. Nie musiała mu wszystkiego opowiadać. A nawet jakby, on nie musiał pamiętać. Ale przecież powinien wiedzieć, jaka matka była. Zapytałem, czy w Anglii nauczyła się wreszcie posługiwać prawą ręką. I tu przedobrzył. Wyczuł zasadzkę, ale wybrał złą odpowiedź. Irka zawsze była praworęczna, a on mi powiedział, że nie, ale lewą posługiwała się tak dobrze jak inni prawą. To już miałem pewność. Syn by takie rzeczy wiedział... Dlatego przed wyjazdem do szpitala złożyłem troskę o pensjonat na głowę pana Tomka. Jemu ufałem... Wiem, Fredziu. Powinienem od razu przyjść do ciebie, ale przysły te kłopoty z remontem, a potem naciski Jagodzińskiego... Za dużo miałem na głowie... Gdybym wiedział, że... Bo to on, prawda? Te kobiety...?

– Nikt nie mógł wiedzieć! – przerwała ostro Zaborska. – Nie możesz się obwiniać!

– Dlaczego zabił Joannę? – zapytała Laura. – Szantażowała go? Że wie?

– Tak twierdzi. Podśluchała jego rozmowę o interesach. Chciał wejść w spółkę z Jagodzińskim. Jeden miał załatwić towar, a drugi zainwestować. Obaj uznali, że pensjonat to świetny punkt przerzutowy. Jagodziński wiedział, że Igor nie jest prawdziwym wnukiem Bronka. Nie wiem skąd, ale wiedział. I nie wiem, czy dowiedziała się o tym od niego, czy sama to wykombinowała, ale nie miała zamiaru zadzierać z Jagodzińskim. Szantażowała Igora, że powie Bronkowi o fałszywym wnuku. Chyba że jej zapłaci. – Komendant pokręcił głową i westchnął. – Źle trafiła. Jagodziński najwyżej by ją pewnie postraszył. Igor postanowił ją uciszyć. Nie miał chwilowo kasy na zbyciu, a spodziewanymi zyskami nie zamierzał się dzielić.

Kazał jej udać, że wyjeżdża i w nocy zakraść się do pokoju, który wcześniej zajmowała. Miał tam na nią czekać z pieniędzmi. Nie przewidział tylko, że Joanna poprosi Marlenę, która była w nią zapatrzona jak w bóstwo i zrobiłaby dla niej wszystko, żeby po jej wyjeździe weszła do pokoju i przekręciła gałkę przy drzwiach tarasowych. A sam akurat tego samego dnia namówił dziewczynę, żeby mu przyniosła wodę toaletową z pokoju Tomka. Bo mu się podoba i chce pokazać ją w sklepie, ale nie ma mowy, żeby zapamiętał nazwę.

Eliza głośno wciągnęła powietrze, po czym ugryzła się w język. Przypomniała jej się reakcja Marleny na widok zwłok Joanny.

– W jaki sposób zabił Joannę? – zapytała Malwina. – Nie widziałam żadnych obrażeń.

– Nie chciał ryzykować, że zostaną ślady – włączył się Tomasz. – Na dnie szafy znaleźli drobinki piasku. I w peruce. Nie pasowały do tych z butów... Stary, zapomniany, bezpieczny sposób. Tylko trzeba mieć dobre oko i sprawną rękę. Igor miał... Pończocha z piaskiem.

– Zabił – podjął Bryzgul. – Powiedział, że zwłoki miał zamiar przewieźć nad jezioro, obciążyć starymi łańcuchami i zatopić. Znał dobre miejsce. Tam głębia i szlam. Mogliby jej nigdy nie znaleźć...

– Dlaczego nie zrobił tego od razu? – zainteresował się Koziełto.

– Mówił, że usłyszał kroki, a potem szarpanie za klamkę. Ten ktoś po drugiej stronie zrezygnował, ale Igor się zdenerwował i postanowił pozbyć się ciała następnej nocy. Wiedział, że pokój będzie pusty aż do świąt, bo sam pilnował rezerwacji. Na wszelki wypadek poleciał po to Tomkowe pachnidło do recepcji, spryskał ciało i ukrył je w szafie. Czuł się podwójnie bezpieczny.

– A co z samochodem Joanny? – przypomniała zastłuchana Klara.

– Samochód sprzątnęli ludzie Jagodzińskiego. Igor zadzwonił do niego tej samej nocy, powiedział, co zrobił i zażądał pomocy. Uważał się już za współnika. Jagodziński podobno był uściekły, ale ściągnął samochód z rampą... Nie znajdziemy go już. Pewnie dawno w częściach...

– A Marlena? – zapytały nieśmiało jednym głosem Patrycja i Roksana. – Też Igor? Za co?

– Źle wybrała powiernika – powiedział Tomasz i westchnął. – Radziła się Igora, czy powinna powiedzieć policji o tym, że Joanna zamierzała spotkać się w nocy z kimś z pensjonatu. Nie powiedziała od razu o tym Fredowi, bo zgubiła brelok od bransoletki, kiedy próbowała zajrzeć do pokoju od strony tarasu, i bała się, że to ją oskarżą o zabójstwo. Igor się przestraszył, że po zeznaniach Marleny policja zacznie węszyć wokół pensjonatu, a to jeszcze bardziej wkurzy Jagodzińskiego. W Warszawie zrobiło się gorąco, sprawdzali jego ciężarówki, więc pan Lucjan wołał nie ryzykować. Bazę zrobił sobie tutaj, a towar odbierał osobiście na trasie. Igor nie znał szczegółów, bo Jagodziński nie ufał mu za bardzo. Wiedział tylko tyle, że nie

życzy sobie żadnych problemów. Postanowił na wszelki wypadek pozbyć się Marleny. Najpierw ją postraszył, że Joannę na pewno zabił ktoś z gości. Potem dołożył, że ten ktoś mógł ją widzieć w nocy i może być następna. W ramach ochrony przed niebezpieczeństwem przetrzymał ją po pracy w tym mieszkaniu za recepcją i obiecał odprowadzić do domu. Przez cmentarz, bo krócej. Tam kazał jej iść przodem, bo on musi pod drzewko, potem zawołał, że jej nie widzi, więc zaczęła machać latarką w telefonie, a on tymczasem podkradł się z tyłu i... Szkoda. Dobra z niej była dziewczyna...

– A Józefina mu się napatoczyła przez przypadek, tak? – spytała Eliza.

Komendant ponuro pokiwał głową i zacisnął pięści, aż chrupnęło. W jego oczach błysnęła złość.

– Ja bym tego gnoja... O tak. – Pokazał, rozcapierzając dłonie w geście duszenia. – Gołymi rękami. Bo szantażysta zawsze może się spodziewać, że trafi na sprytniejszego od siebie. Ale żeby niewinne kobiety? Ja bym takich na sznur!

– Na sznur nie można – powiedziała Eliza ostrzegawczo. – Choć pewnie niektórzy zasługują – przyznała z westchnieniem. – Ja bym skazywała na ciężkie roboty. Na przykład do kamieniołomów. Bo niby dlaczego mają mieć dach nad głową, wikt i opierunek z naszych podatków? Nie wszystkich bym skazywała – zastrzegła. – Ale tych najgorszych chętnie.

– A Nikola? – przerwała te dywagacje Laura. – Ją też zabił? Dlaczego? Też coś widziała? Nie obrażając zmarłej, logika nie była jej domeną.

Alfred Bryzgul spojrział na Tomasza, w którego oczach błysnęła złośliwa satysfakcja.

– Ty mów – poprosił. – Więcej wiesz o tej sprawie. Gadałeś z cebosiami.

– Nikoli nie zabił Igor... Marek Trok – poprawił się. – Może nie grzeszyła rozumem, ale udało jej się zrobić coś, z czym sobie nie poradzili przez kilka lat policja i CBS. Jagodziński od dawna prowadzi swoje mętne interesy, genialnie pozorując znajomości na rozmaitych szczeblach władzy. I stać go na bardzo skutecznych adwokatów. Zawsze się wywijał. Teraz chyba mu się nie uda. Nikola zrobiła wszystko, żeby wskazać swojego zabójcę... Wiedzieliśmy, że to nie mógł być I... – machnął ręką – ...niech już zostanie ten Igor. Kiedy zginęła Nikola, Igora już przytulił u siebie Fred. Ale Jagodziński o tym nie miał pojęcia. Uznał, że za jednym zamachem pozbędzie się żony i niedoszłego współnika, który sprawiał więcej kłopotów, niż był wart. Jagodziński nie musiał bawić się w narkotyki. I bez nich świetnie prosperował. Co prawda ostatnio policja i CBS deptali mu po piętach, ale i z tym sobie poradził. Chwilowo. Bo do pełnego szczęścia potrzebny mu był pensjonat. We wsi, na uboczu, obce twarze nikogo tu nie dziwią, bo wieś turystyczna. Idealny punkt. Zaoferował pieniądze, ale pan Michotek odrzucił ofertę. Jagodziński sprawdził, że remont finansują kredyty i postanowił przydusić właściciela pensjonatu. Na początek jego ludzie postraszyli fachowców, do których się zgłaszaliśmy. Pewnie Lucjan miał jakiś

długofalowy plan, ale pojawił się Igor, który był bardziej niż chętny i nie miał skrupułów. Odzyskany cudem wnuk miał nadzieję, że przekona dziadka do nowego inwestora. W ostateczności mógł mu pomóc w opuszczeniu tego padołu. Wszyscy wiedzieli, że pan Michotek ma kłopoty z sercem... Znaleźliśmy telefon Nikoli w torebce. Jagodziński pewnie specjalnie go tam wrzucił, bo wiedział, że żadnej ofierze nic nie zginęło. Telefon był rozładowany i zablokowany, ale chłopaki z CBS sobie poradzili. Sprawdzili połączenia... Pamięta pani tego SMS-a od Freda? Że trzeba schować pana Michotka? – Spojrzał na Zaborską, która powoli skinęła głową. – To Nikola zadzwoniła na policję. Powiedziała, że ktoś chce zabić pana Bronka. Być może ocaliła mu życie, bo nie mam pojęcia, co i kiedy Igor by zrobił. Nie wiem, jak się o tym dowiedziała, ale zareagowała w porę. Obeszło ją to. Chciała pomóc, choć pewnie się bała. A w ostatnim momencie życia udało jej się zrobić zdjęcie, nim bateria siadła. Nie widać twarzy, ale po łańcuszku można poznać, że to szyja Nikoli, a ręce, które się na niej zaciskają, należą do Jagodzińskiego. Na palcu ma sygnet, z którym nigdy się nie rozstaje. Unikam robiony na zamówienie. To on zabił swoją żonę. Nie wiem dlaczego i nie sądzę, żeby się przyznał. Pewnie niewiele dla niego znaczyła. Sami widzieliście, jak ją traktował. Miał okazję rzucić wszystko na Igora i zrobić to. Za jednym zamachem chciał pozbyć się niechcianego współnika i małżonki. Tylko trochę mu nie wyszło, choć bardzo się starał. Zabił ją, kiedy wszyscy siedzieliśmy przy ognisku. I tu popełnił pierwszy błąd, bo nie zapytał Igora o *modus operandi*. Udusił ją po prostu. Potem zawłókł ciało pod starą willę, spryskał bergamotką i czekał, aż Fred wsadzi Igora. Tu popełnił drugi błąd – użył męskich perfum z bergamotką. Własnych. Mają trochę inny skład niż moja woda toaletowa. Trzeci błąd to telefon. Powinien był sprawdzić jego zawartość. Nie docenił żony.

Przez chwilę w jadalni panowała cisza. Kaziowa uparcie pogrążona była w słodkim kucharskim delirium i nic z zewnątrz do niej nie docierało, bo stół weselny widziała przed sobą ogromny. Pati, Roksi i Oliwka, choć nadstawiały uszu do granic wytrzymałości, siedziały milczące i poblądłe. Nie mieściło im się w głowach, że chłopak, który od kilku miesięcy codziennie z nimi żartował, okazał się mordercą. Dopiero teraz dotarło do nich, że Marlena naprawdę nie żyje. W ich oczach błysnęło przerażenie, kiedy uświadomiły sobie, że na jej miejscu mogła się znaleźć każda z nich.

Bronisław Michotek siedział ze spuszczoną głową i wyrzucał sobie, że tak naiwnie przyjął pod swój dach chłopaka, o którym właściwie nic nie wiedział. Chęć odzyskania rodziny przesłoniła mu wszystko. Siedząca obok Teresa Zaborska piastowała własne wyrzuty sumienia.

Laura Kawecka też czuła się niewyraźnie – uważała Nikolę za idiotkę o ptasim mózdzku i nie ukrywała tego. Owszem, Jagodzińskiego nigdy nie darzyła sympatią, ale pewnie przyjęłaby od niego pieniądze, gdyby chciał sfinansować monodram, o którym marzyła. Pośpiesznie usunęła z głowy te

myśli. Cóż, nikt nie mówił, że los obdziela sprawiedliwie. Czasami trzeba sobie pomóc. W każdy sposób...

– A ja byłbym ciekawy – odezwał się Seweryn Kozięłto, który słuchał z uwagą – czym właściwie zajmował się pan Jagodziński? Bo o tym żaden z panów nie wspomniał... Co chciał zrobić z naszej „Olszynki”?

– Przemyczał kamienie szlachetne – powiedział Tomasz. – Drogą morską. Kontenery należały do różnych firm. Oficjalnie przewoził je na zlecenie klienta. Był kryty. Nawet gdyby coś znaleźli, mógł się upierać, że to nie jego towar. Sprzedawał wszystko od ręki paserowi, który skupował kamienie i biżuterię dla jednej z organizacji terrorystycznych. Ponieważ ostatnio Warszawa nasiliła kontrole jego ciężarówek, bał się, że w końcu wpadnie. – Uśmiechnął się złośliwie. – CBS zna każdy jego ruch, odkąd tutaj przyjechał. Przyczepiłem mu nowiutki malutki nadajnik do samochodu. Na ich prośbę zresztą. Codziennie przez te dwa tygodnie pobytu osobiście odbierał przesyłki na bocznej drodze przy zjeździe nad jezioro. Kiedyś sobie popatrzyłem przez lornetkę. Wyglądało to tak, jakby kierowca sprawdzał opony. Nic podejrzanego... Jagodziński zostawiał samochód przy głównej szosie, robił sobie spacer, brał, co trzeba i wracał. Ale nie miał ochoty wечно tu przesiadywać, bo musiał pilnować biznesu w stolicy. Dlatego potrzebował pensjonatu i Igora, który miał go zastąpić. Odbiorca mógł przecież przyjechać tutaj pod pretekstem wypoczynku.

Starszy pan słuchał tego ze zgrozą.

– Może to i dobrze, że ja już nad grobem stoję – westchnął. – Przystaję rozumieć dzisiejszy świat... Skończcie już z tymi smutnymi historiami, drodzy państwo, i zacznijcie świętować. Ja sobie zaczerpnę świeżego powietrza...

Kiedy opuścił towarzystwo, które – poza całkowicie zaimpregnowaną na świat zewnętrzny Kaziową – rzuciło się na jedzenie, Malwina spojrzała na zamyśloną przyjaciółkę i pochyliła się ku niej.

– Muszę dorwać tego starego ramola – oświadczyła cicho. – Bo pęknę.

– Po co ci ramol? – Eliza także ściszyła głos. – On nikogo nie zabił.

– Nie zdziwiła cię jego reakcja na zaręczyny Klary? Wcześniej ją gnębił, a teraz nagle się rozczulił? Coś się za tym kryje. I pęknę, jeśli się nie dowiem co. Idziesz ze mną?

– Bo ja wiem? – zawahała się Eliza. – Jakoś chyba nie bardzo umiem rozmawiać z herbową szlachtą. Obrażę go i nic nam nie powie... Idź sama. Potem mi opowiesz.

– Pójdę. – Malwina wstała. – Tylko nie wpychaj w siebie za dużo, bo mi się do samochodu nie zmieścisz – ostrzegła, widząc wzrok przyjaciółki łakomie błędzący po półmiskach.

Eliza sapnęła z urazą, ale gdy tylko Malwina zniknęła jej z oczu, rzuciła się na jedzenie. „Barszcz już dawno spaliłam przez te opowieści z dreszczykiem. Mogę spokojnie jeść” – rozgrzeszyła się w duchu.

Dopiero wieczorem, kiedy obie – przejedzone i senne – leżały już w łóżku, Malwina powiedziała z westchnieniem:

– Zawsze mi się wydawało, że sprawiedliwie i trafnie oceniam ludzi. Myliłam się. Od dzisiaj będę sobie powtarzać rano i przed snem, żeby nie oceniać po pozorach. To jednak pójdzie na łatwiznę.

– A cóż cię tak zebrało na rachunek sumienia? – zdziwiła się Eliza.

– Ramol jest w porządku – oświadczyła Malwina stanowczo. – Odszczekuję wszystko, co na niego wygadywałam. Bardzo kocha Klarę i życzy jej jak najlepiej. Ona jeszcze o tym nie wie, ale w testamencie zapisał jej nie tylko udziały w pensjonacie. Również całkiem pokaźny majątek. Będzie sobie mogła pisać dla przyjemności, nie dla kasy.

Eliza z wrażenia usiadła.

– Chyba żartujesz?! – zabułgotała z oburzeniem. – Jakże: w porządku?! Kocha Klarę?! I dlatego ją tresuje na każdym kroku?! I złośliwie „Tumankuje” Tomankowi?!

– To nie tak... Klara ma matkę – zaczęła Malwina i urwała.

– No to co? Każdy ma matkę – prychnęła Eliza.

– Ale Klara ma bardzo wredną matkę – uściśliła Malwina. – Musi z nią mieszkać i ją obsługiwać, bo kiedy tylko wspomni o wyprowadzce, mamusia dostaje hysterii. A też jest wiekowa, bo urodziła jedynaczkę pod pięćdziesiątkę i potrzebuje opieki. Przy tym jest głupsza od świętej pamięci Nikoli, nigdy w życiu nie kiwnęła palcem, żeby cokolwiek zrobić, nie ma przyjaciół, nigdzie nie wychodzi, prezentuje pańskie fochy, wmawia córce wszystkie wady świata, a kiedy Klara próbuje prowadzić życie osobiste, od razu umiera...

– Baba z piekła rodem – sapnęła ze zgrozą Eliza.

– Owszem. Klara musi być cicha, bezwolna i grzeczna, bo mamusia popada w histerię przy najmniejszym odstępstwie od normy – ciągnęła Malwina. – Ramol widzi, jak Klara się męczy i już nie może na to patrzeć. Próbował ją przekonać, żeby zamieszkała z nim. Ma wielkie mieszkanie i siedzi w nim sam. Upiorna siostrzyczka usłyszała to i dostała amoku. Kazała mu urodzić sobie własne dziecko i odcepić się od jej własności. Bo ona nie po to się męczyła przy rodzeniu, żeby teraz Klara wysługiwała się komuś innemu. Próbował przenieść babę do domu opieki o wysokim standardzie; nie chciała o tym słyszeć. Wbiła się w Klarę jak kleszcz i nie ma zamiaru puścić. No i ramol usiłował w ten dziwny sposób zmusić Klarę do normalnej reakcji. Sprowokować wreszcie do jakiegoś buntu. Popłakałby się ze szczęścia, gdyby raz wreszcie mu się odcięła, wrzasnęła, tupnęła. A ona nic. Dlatego tak zareagował na wieść o zaręczynach. I dlatego zapisał jej udziały w „Olszynie”. Żeby miała tu azyl. Bo mamuska nie ruszy się z Warszawy. Teraz uwierzył, że Klara wyrwie się ze szponów tej zarazy.

– Chyba już wcześniej się wyrwała – zauważyła Eliza. – Pisze książki, o których mamusia nie ma pojęcia, i znalazła sobie Tomanka, który patrzy

w nią jak w obrazek... Czarno widzę przyszłość mamusi. Tomanek mi wygląda na twardego faceta. Nie będzie się szczypał z teściową.

- Też mi się tak wydaje - zgodziła się Malwina z satysfakcją.

- Ale nie wydałaś sekretu Klary? - zaniepokoiła się Eliza. - Że pisze?

- Za kogo mnie masz! - zachnęła się Malwina. - Nie zdradzam cudzych tajemnic! Sama mu powie, jak będzie chciała.



## DZIEŃ ÓSMY PONIEDZIAŁEK WIELKANOCNY

Przyjaciółki dotarły do Kraśnika późnym popołudniem, bo po drodze robiły postoje, żeby rozprostować nogi. Malwina podwiozła Elizę pod blok, wyjęła pakunek z wędzonymi rybami i jedną z toreb, które wręczyła im Kaziowa, przykazując, by zajrzały do nich dopiero w domu.

– W sumie fajnie było, co? – Malwina westchnęła. – Polubiłam „Olszynkę”. Chętnie bym tam zajrzała latem. Przyjemnie by było postać na mostku nad Krukielką. Albo popływać łódką... Tomanek mówił, że teraz to już ruszą z remontem. Może i dla nas znalazłby się jakiś pokój? Nie jesteśmy jakoś specjalnie uciążliwe... Szczerze mówiąc, nie spodziewałam się aż takich atrakcji, ale... Fajnie było.

– Fajnie – przyznała Eliza i pokręciła głową. – I pomyśleć, że to wszystko przez jednego krasnala...

## OD AUTORKI

Krukielniki nie istnieją. A może istnieją, tylko jeszcze nikt do nich nie dotarł? Fikcyjne są również wszystkie występujące w książce postacie. Na pewno jednakże istnieją ogrodowe krasnale. Zatem wystrzegajcie się ich, bo nigdy nie wiadomo, jakie ich obecność może spowodować skutki...

## PODZIĘKOWANIA

Serdecznie dziękuję za pomoc Grażynie Strumiłowskiej, szefowej portalu *Książka zamiast Kwiatka*, której opowieści pozwoliły mi stworzyć kilkoro bohaterów.

Dziękuję Wydawnictwu LIRA za wspaniałą, przyjazną autorowi współpracę.

Pięknie dziękuję wszystkim Czytelnikom, którzy polubili Malwinę i Elizę na tyle, by sięgnąć po kolejną powieść opowiadającą o ich wyczynach.

JUŻ W KSIĘGARNIACH

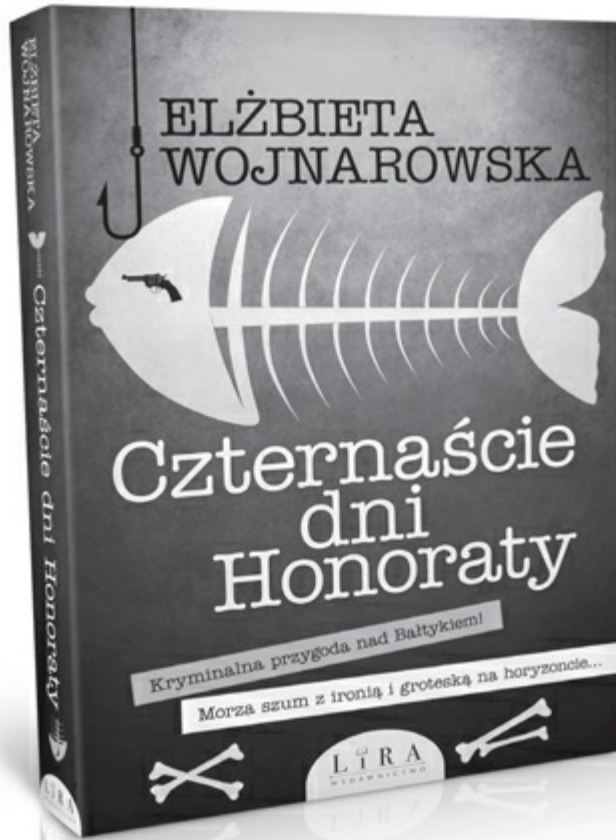


Eliza nie może uwierzyć w samobójstwo sąsiadki, która zginęła, wypadając z okna. Dzieli się wątpliwościami ze swoją przyjaciółką Malwiną. Obie panie postanawiają wziąć sprawy w swoje ręce... Czy dwie pięćdziesięciolatki poradzą sobie, dysponując jedynie wiedzą nabytą z filmów kryminalnych?

[www.wydawnictwolira.pl](http://www.wydawnictwolira.pl)

**L i R A**  
WYDAWNICTWO

JUŻ W KSIĘGARNIACH



Honorata wyrusza w podróż, chcąc uciec od dawno niewidzianego przyjaciela, który nagle pojawia się w jej życiu. Niestety wplątuje się w historię rodem z Hitchcocka... Ta kryminalna przygoda nad Bałtykiem w wykonaniu Honoraty przeradza się w zabawną opowieść, z ironią i groteską na horyzoncie.

[www.wydawnictwolira.pl](http://www.wydawnictwolira.pl)

**L I R A**  
WYDAWNICTWO



Malwina i Eliza, dwie przyjaciółki z Kraśnika, postanawiają spędzić Wielkanoc z dala od domu. Trafiają do wioski w okolicach Giżycka, gdzie spotkanie z ogrodowym krasnałem zmusza je do zmiany kwatery. Pensjonat „Olszynka” oferuje rozmaite rekreacje, dostęp do jeziora i... zaskakujący wysyp nieboszczek.

Osiedlowy duet w akcji!



Padniecie trupem z wrażenia!

Jakie tajemnice ukrywają goście pensjonatu?  
Co zwiastuje niewinny zapach bergamotki?  
Czy dwóm pomysłowym pięćdziesięciolatkom  
uda się rozwiązać zagadkę kolejnych zgonów?



Gwarantujemy, że kibicując ich kolejnemu śledztwu,  
padniecie trupem z wrażenia!



**MAŁGORZATA J. KURSA** – Kraśniczanka wzrostu mizernego, który to feler rekompensuje nadmiarem wyobraźni. Wieczna optymistka, antytalent techniczny i potulny ludzki podnóżek kocura o imieniu Duszek. Redaktorka literackiego portalu Książka zamiast Kwiatka i autorka kilkunastu humorystycznych powieści. Nakładem Liry ukazała się dotychczas „Malwina i Eliza na tropie. Szczęśliwa nieboszczka”.



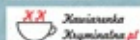
www.wydawnictwolira.pl

**LIRA**  
WYDAWNICTWO

Patronat  
medialny:



PORTAL  
KRYMINALNY



ZBRODNI  
i KRYMINALISTYKA



ISBN: 978-83-66503-43-4



cena: 29,99 zł  
(w tym 5% VAT)